

Dr Maciej Lasek
Prostujemy bujdy o trotylu

Prof. Jacek Wódz
Nic nie wróci do normalności

Wojsko w cieniu caracali

Nowe pokolenie analfabetów

Z COVIDEM PRZEZ ŻYCIE



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



MIĘDZYNARODOWY

KONKURS

IM. SZYMONA

SZURMIEJA

NA DRAMAT

WSPÓŁCZESNY

O TEMATYCE ŻYDOWSKIEJ

12.04-15.09 2021

SZYMON

SZURMIEJ'S

INTERNATIONAL

COMPETITION

FOR A CONTEMPORARY
JEWISH-THEMED
DRAMA



MIĘDZYNARODOWY KONKURS
IM. SZYMONA SZURMIEJA
NA DRAMAT WSPÓŁCZESNY
O TEMATYCE ŻYDOWSKIEJ

www.teatr-zydowski.art.pl
www.facebook.com/teatr.zydowski



im. Ester Rachel i Dory Kanielskich



Tych ofiar mogło nie być

Radzimy sobie nieźle. Ile razy słyszeliście te słowa z ust ministrów Dworczyka i Niedzielskiego? Powtarzają to kłamstwo dzień w dzień. Czego w tym gadaniu jest więcej? Głupoty czy bezczelności? Faktów i ponurej rzeczywistości nie da się jednak przykryć propagandowymi frazesami. System ochrony zdrowia, za który także oni odpowiadają, rozpadł się na kawałki. Jesteśmy świadkami największej katastrofy od zakończenia wojny. W kraju, który chwali się ogromnym budżetem, codziennie na covid umierają setki Polek i Polaków. A ile osób umiera na inne choroby?

Od wielu miesięcy setki tysięcy zdiagnozowanych ciężko chorych nie ma gdzie się leczyć. Jedyny pomysł, jaki ma dla nich władza, to ograniczanie wizyt i zabiegów, zamykanie oddziałów, kierowanie opiekujących się nimi specjalistów do zespołów zajmujących się covidem. Ciężko chorych ludzi, których można byłoby wyleczyć, zostawiono z problemami. Podobny los czeka tych, którzy mimo widocznych kłopotów ze zdrowiem nie mają nawet szansy na badania. Po sześciu latach rządów PiS nie chce brać odpowiedzialności za efekty własnej polityki. Za niedofinansowanie służby zdrowia, za fatalną organizację, ciągłe i pozorne reformy oraz politykę kadrową eliminującą ludzi z kompetencjami i charakterem.

Brakuje wszystkiego. Strategii, finansowania, planowania, ponadpartyjnego porozumienia w sprawie modelu służby zdrowia, rozszerzonego systemu kształcenia lekarzy, pielęgniarek i pracowników medycznych. Zamiast współpracy ze środowiskiem, które ratuje nasze życie kosztem własnego zdrowia, skrajnego przemęczenia, bezsilności wobec ogromu zadań i wynikającej z tego frustracji, mamy arogancję władzy, która wie lepiej od lekarzy ekspertów.

Efekty widzimy. Co oznacza suchy komunikat ze szpitala: czekamy na zwolnienie łóżka covidowego, gdy przed tym szpitalem stoją karetki z chorymi? Zwolnienie łóżka to po prostu śmierć chorego.

Polska stała się wielką umieralnią. Choć nie musiało tak być. Za skalę tych śmierci odpowiadają konkretni ludzie.

Dzieją się w naszym kraju rzeczy straszne, o których prawie nie mówimy. Wolimy słuchać opowieści o trudach akcji szczepionkowej. Ulegamy tej wielkiej propagandowej bańce, choć dotyczy ona najprostszej czynności, jaka jest w medycynie. Ukłucie igłą jawi się odpowiedzialnym za zorganizowanie tego prostego, choć masowego procesu jako niezwykle skomplikowane wydarzenie. Tym to smutniejsze, że w Polsce są setki, jeśli nie tysiące menedżerów, którzy by to zorganizowali o wiele, wiele sprawniej niż obecna ekipa.

BAKOWSKI



CYTATY

MARIAN BANAŚ, prezes NIK

Posiadamy dowody świadczące o głębokich patologiach i dysfunkcji władzy.

„Business Insider”

JEREMY PAXMAN, prezenter BBC

Pełno tu mądrych ludzi wykonujących bezsensowną pracę i uważających się za kogoś ważnego.

„Forum”



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Prostujemy bujdy o trotylu**
– rozmowa z dr. Maciejem Laskiem
- 16 PiS wchodzi w buty AWS**
Morawiecki jak Buzek, Gowin jak Gowin...
- 19 Rzetelny sąd nad PRL**
O zbiorze tekstów prof. Andrzeja Walickiego
- 20 Jak się kręci koronabiznes**
Wzbogaceni na pandemii
- 23 Burmistrz nam podpadł**
Mieszkańcy Prabut czują się obrażeni
- 26 Powrót analfabetyzmu**
Zdalna szkoła cofa w edukacji
- 30 Dramat w cieniu caracali**
Skutki rezygnacji z zakupu śmigłowców
- 32 Bezdzielnicy z wyboru**
Szczęście bez potomstwa

ZDROWIE

- 9 Z covidem przez życie**
– rozmowa z dr. Michałem Chudzikim
- 12 Nowa normalność**
Świat kontra skutki wirusa

ZAGRANICA

- 36 Sto dni po brexicie**
Co poszło nie tak
- 40 Głosowanie z przeszkodami**
Nowelizacja prawa wyborczego w Georgii

OPINIE

- 42 Jacek Wódz**
Nic „nie wróci do normalności”

HISTORIA

- 45 Polska wieś przed wojną**
O tym nie piszą w podręcznikach

KULTURA

- 48 Buntownik wyraża uczucia pominiętych**
– rozmowa z Łukaszem Czapskim
- 51 Culturalia**
- 66 Międzynarodowe Biennale Miniatury**

OBSERWACJE

- 52 Włochy – kraj kawą płynący**
Espresso jak religia
- 56 Człowiek jest łatwym celem**
Tygrysy bengalskie polują na ludzi

SPORT

- 58 Z futbolową kadrą leci pilot, ale...**
Po debiucie Paula Sousy

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Tych ofiar mogło nie być
- 15 Jan Widacki**
Stodoły z kolumnadą
- 29 Andrzej Romanowski**
Wstydlivy chrzest Polski
- 35 Roman Kurkiewicz**
Leć, Jurko
- 39 Tomasz Jastrun**
Namiestnicy
- 55 Wojciech Kuczok**
Czerstwa dama

32
KRAJ



BEZDZIETNI Z WYBORU
Szczęście bez potomstwa



48
KULTURA

BUNTOWNIK
WYRAŻA UCZUCIA
POMINIĘTYCH
– rozmowa
z Łukaszem Czapskim

56
OBSERWACJE



CZŁOWIEK JEST ŁATWYM CELEM
Tygrysy bengalskie polują na ludzi

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 9ebcae88ca





✉ Oddolne wsparcie Polski Ludowej

Bohdan Piętko w doskonale udokumentowanym tekście „Historia nigdy nie jest czarno-biała” (PRZEGŁĄD nr 14) pokazuje, że rozmiary aktywnego zaangażowania ludzi podziemia w odbudowę rodzącej się po wojnie nowej Polski były niemałe, mimo że nie zgadzali się oni z jej politycznym charakterem. Dla IPN jest to jednak temat tabu. Chciałbym wskazać również

niedostrzegane publicznie zjawisko oddolnego wspierania Polski Ludowej. W rozmowie Władysława Gomułki ze Stalinem (III kw. 1945 r.) pada liczba 200 tys. PPR-owców działających w kraju (Ryszard Strzelecki-Gomułka, Eleonora Salwa-Syzdek, „Między realizmem a utopią”). Wiosną 1945 r. liczbę członków PPR szacowano na 250-300 tys. (Andrzej Leon Sowa „Historia polityczna Polski”). W książce Teresy Torańskiej „Oni” znajdziemy liczbę 350 tys. członków PPR dla okresu 1945-1946. W „Atlasie polskiego podziemia niepodległościowego 1944-1956”, opracowanym przez prof. Rafała Wnuka z KUL i dr. Sławomira Poleszaka z IPN, podane są następujące liczby członków PPR: w 1945 r. – 300 tys., w 1948 r. – 900 tys. Według Czesława Kozłowskiego pod koniec 1947 r. PPR liczyła 821 tys. członków, a PPS – 750 tys. („Namiestnik Stalina”). Andrzej Paczkowski („Zdobycie władzy 1945-1947”) twierdzi, że liczba członków PPR wzrosła z ok. 400 tys. jesienią 1946 r. do ponad 800 tys. rok później. Latem 1947 r. do PPS należało ponad 650 tys. osób. Ujawnienie przynależności do lewicy oznaczało wówczas przeważnie wyrok śmierci z rąk „żołnierzy wyklętych”. Ten temat to kolejne tabu dla IPN, widzącego Polskę Ludową wyłącznie w objęciach Armii Czerwonej, NKWD, UB i milicji.

Eugeniusz Guz

✉ Smoleński hochsztapler

Mam wielki żal do bliskiego mi środowiska technicznego, że odwróciło się od wysokiej klasy specjalisty z bylej Państwowej Komisji Badania Wypadków Lotniczych dr. inż. Macieja Laska, który badał też katastrofę pod Smoleńskiem. Jak można było nie bronić fachowca znającego się na rzeczy, tylko pozwolić na zalewanie społeczeństwa bredniami podważającymi prawa fizyki w wielu jej obszarach, awioniki, materiałoznawstwa i wszystkich tych, które były badane przez członków komisji Millera? Dlaczego tak łatwo środowisko techniczne, tysiące inżynierów i techników, utytułowanych naukowców z politechnik i instytutów badawczych, fachowców z przemysłu i branż związanych z lotnictwem, podkuliło ogon i pozwoliło pleść androny totalnemu laikowi w tych obszarach? Dziś błąd tamtego opuszczenia i zaniechania jest nie do odrobienia.

Janusz M. Kowalski



f Plusy dodatnie i plusy ujemne

Słaba ocena ministrów „dobrej zmiany” wynika z dominującej roli Jarosława Kaczyńskiego, który nie zna i nie rozumie zagranicy. Brak jego zainteresowania tym tematem ma odzwierciedlenie w decyzjach kadrowych i umocowaniu politycznym ministrów.

Jaroslav Kacer

ZDJĘCIE TYGODNIA



9 kwietnia nad ranem, w wieku 99 lat, zmarł książę Filip, mąż królowej Elżbiety II. O jego śmierci informują specjalne komunikaty, m.in. ten wyświetlany na Piccadilly Circus w Londynie.



PYTANIE TYGODNIA

Czy palenie na klatkach schodowych i balkonach powinno być zakazane?

DR PAWEŁ LIPOWSKI

*Instytut Zdrowia Publicznego
Collegium Medicum UJ*

Tak, jeżeli przyjmiemy za punkt wyjścia do rozważań ochronę zdrowia publicznego, rozumianą jako zdrowie populacji (podobnie jak w przypadku idei obowiązkowych szczepień ochronnych). Wówczas wartością chronioną przez prawo w wyższym stopniu niż wolność osobista (możliwość palenia papierosów) byłoby właśnie zdrowie innych osób. Istotne byłoby przy tym założenie, że nie naruszamy prywatności człowieka (nietykalności mieszkania), ale eliminujemy zachowania godzące w przestrzeń publiczną (narażenie sąsiadów na szkodliwe emisje dymu tytoniowego). Z punktu widzenia egzekucji prawa najlepiej byłoby, aby decyzja o zakazie wydana przez podmioty zarządzające *sui generis* przestrzeniami wspólnymi (spółdzielnia mieszkaniowa, wspólnota mieszkaniowa) poparta była zmianą ustawodawstwa (w tym Ustawy z 1995 r. o ochronie zdrowia przed następstwami używania tytoniu i wyrobów tytoniowych).

PROF. ZBIGNIEW MIKOŁEJKO,
filozof, eseista, poeta

Jestem stanowczo przeciwny zakazowi palenia na balkonach, ponieważ szkodliwość tego zachowania dla otoczenia może być tylko pozorna, a taki przepis może służyć różnym działaniom represyjnym nieprzyjaznych sąsiadów. Wprowadzanie podobnych regulacji jest kolejnym wyrazem tego, że palacze stali się kozłami ofiarnymi rozmaitych lęków społecznych. Polityczna poprawność naszych czasów zabrania przesładowania innych grup, a osoby palące same często mają poczucie winy, dlatego mnoży się szykany przeciwko nim, zupełnie lekceważąc zagrożenia dużo groźniejsze, chociażby związane z konsumpcją alkoholu.

DR KRZYSZTOF PUCHALSKI,
sociolog zdrowia i medycyny

Należałoby poprzeć wszelkie działania służące ograniczaniu niechcianej ekspozycji na dym tytoniowy, gdyż jego wdychanie przez osoby niepalące to dla nich duże ryzyko zdrowotne, a ponadto wiążą się z nim negatywne konsekwencje psychiczne, węchowe i smakowe. Inną kwestią jest skuteczność działań na rzecz zdrowia

publicznego, których sednem są regulacje prawne. Jesteśmy społeczeństwem, które lubi kwestionować wszelkie zakazy, natomiast wśród decydentów istnieje tendencja do prób rozwiązywania problemów za pomocą zmian przepisów. Tymczasem równie ważne są inne narzędzia, w tym przypadku np. intensyfikacja kampanii edukacyjnych poświęconych skutkom biernego palenia. Od lat obserwujemy pozytywne zmiany w zachowaniach palaczy, jest więc szansa, że takie inicjatywy byłyby skuteczne.

Czytelniczy PRZEGLĄDU
ANITA DURAN

Nie, bo to będzie martwe prawo, trudne do wyegzekwowania, a martwe prawo to złe prawo. Przeszkadza mi, gdy sąsiad pali latem na balkonie, ale bardziej przeszkadza i rujnuje moje zdrowie smog.

JERZY KRAWIEC-MOSTOWIAK

Nie można pozostawić uzależnionych bez miejsc zaspokajania ich potrzeb. Balkon wydaje się tutaj dobrą propozycją, ale według mnie należałoby wprowadzić dozwolone godziny palenia, bo trzeba także uwzględnić niepalących.



Prostujemy bujdy o trotylu

Katastrofa smoleńska: co mówi raport pirotechników?

Rozmawia Robert Walenciak

Słyszał pan, PiS wraca do teorii trotylu. Pisowskie media twierdzą, że w laboratoriach we Włoszech wykryto na ciałach ofiar ślady trotylu.

– A jaka była liczba tych cząsteczek na milion, czyli ppm? Od tego zaczniemy. W 2012 r., od września do października, biegli prokuratury, technicy kryminalistyki, specjaliści od badań pirotechnicznych, byli w Smoleńsku na miejscu katastrofy. Pobierali próbki gleby, próbki ciał, próbki z foteli, ze wszystkiego tak naprawdę. Po roku, po ośmiu i pół tysiącu godzin pracy, wydali kompleksową opinię, ponad-tysiącstronicową, w której wykluczyli działanie materiałów wybuchowych.

Badali też odfosforyzowanie?

– Badali także te elementy samolotu, w których, jak wskazywał Antoni Macierewicz, miały być podłożone jakieś materiały wybuchowe.

Trotyl!

– Trotyl jest najbardziej prymitywnym materiałem wybuchowym. Od wielu, wielu lat stosowane są inne materiały. Ale wróćmy do śladów w samolocie. Na przykład fragment skrzydła, który odpadł – ewidentnie widać, że odcienie tego fragmentu nastąpiło na skutek zderzenia z twardą przeszkodą. Pamiętam, że Antoni Macierewicz twierdził, że materiał wybuchowy eksplodował w kuchni samolotu. To ciekawa teoria, ponieważ podłoga w tej części maszyny była badana i okazało się, że nawet nie jest odfosforyzowana i nie stwierdzono śladów materiałów wybuchowych ani produktów ich przemiany. Pod podłogą zamontowane były pasy do zabezpieczania bagażu. One nie tylko nie były nadtopione, ale nawet nie były osmalone. A miejmy świadomość, że temperatura podczas wybuchu np. trotylu wynosi ponad 2800 st. C. To zawsze zostawia ślady.

To jest kolejna kompromitacja prokuratury. Przypomnę, jak pracowała Naczelna Prokuratura Wojskowa. Można dużo mówić, czy lepiej, czy gorzej się komunikowała, ale regularnie pokazywała postęp swoich prac, ich wyniki, i publikowała bardziej ważne raporty. Prokuratura Ziobry od dawna niczego nie robi, chowa głowę w piasek i organizuje przecieki do zaprzyjaźnionych mediów, które mają tylko podtrzymać atmosferę nieufności, a nie wyjaśnić sprawę. Działa nie jak prokuratura, ale jak organizacja partyjna, która wykonuje polecenia partyjnych szefów.

Co to jest ppm?

– Liczba wykrytych cząstek jakiegokolwiek poszukiwanego materiału na milion innych. W ten sposób określa się, czy jego ilości są znaczące, czy śladowe. Podczas badań przesiewowych w Smoleńsku, na miejscu katastrofy, w 2012 r. wykryto cząstki wysoko-energetyczne i wytypowano materiały, które sprawdzano potem w badaniach dokładnych, laboratoryjnych. Stwierdzono, że są to tak śladowe ilości, że nie wskazują absolutnie na działanie materiałów wybuchowych, tylko na zanieczyszczenie próbek.

Ten samolot transportował żołnierzy wracających z Afganistanu, przewożono nim broń.

– Rozmawiałem na ten temat z pirotechnikami, którzy prowadzili badania w Smoleńsku. Jeden dał mi taki przykład: przypuśćmy, że miał pan do czynienia z materiałem wybuchowym. Gdzieś na stole była kostka plastyczna czegoś. Dwa dni później

Dr inż. Maciej Lasek – od 2002 r. członek Państwowej Komisji Badania Wypadków Lotniczych, w latach 2012-2016 jej przewodniczący. Wchodził w skład tzw. komisji Millera. Poseł na Sejm IX kadencji.



DR MACIEJ
LASEK

leciał pan za granicę i zrobiono panu badanie na lotnisku na obecność materiałów wybuchowych. I to badanie wykryło obecność śladów materiału wybuchowego. Ale czy to znaczy, że ma pan ten materiał ze sobą? Gdy się mówi o materiałach wybuchowych, trzeba przedstawić kompleksowy raport. Dokładnie pokazujący, co i jak badano. Co mówili pirotechnicy, którzy byli w Smoleńsku? Mówili: kompleksowy raport można wydać wtedy, kiedy samemu się pojechało, obejrzało próbki, nie tylko pod kątem badań chemicznych, ale również śladów fizycznych, czyli odfosforyzowań.

Każdy wybuch zostawia ślady.

– Rozerwania, nadtopienia, działania wysokiej temperatury. Polscy pirotechnicy powiedzieli jedno – że dopiero jednoczesne oględziny oraz badania fizykochemiczne pozwoliły im na wydanie kompleksowej opinii pirotechnicznej. A co zrobiła prokuratura kierowana przez Zbigniewa Ziobrę? Przekazała próbki, które zostały zabezpieczone, do zbadania chemicznego, do innych laboratoriów zagranicznych, ale nie zamówiła wniosków. Chciała sam wynik chemiczny. A kto będzie to oceniał później?

Oceni się stosownie do okoliczności.

– Ktoś poważny powie, że był wybuch? To musiałby być wybuch z tłuścikiem, czyli całkowicie bezgłośny.

Zapis czarnej skrzynki żadnego wybuchu nie zarejestrował.

– A ludzie na lotnisku? Przecież tam było mnóstwo ludzi w delegacji, którzy czekali na ten samolot, a on rozbił się kilkaset metrów od nich, we mgłę. I jedyne, co było słychać, to silniki Tu-154 i uderzenie w ziemię. Więc niech nie kombinują – badania, które zostały przeprowadzone, wykluczają, by przyczyną katastrofy mógł być jakiś wybuch. Tyle.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Z covidem przez życie

Setki tysięcy ozdrowieńców z powikłaniami zasilą kolejki do specjalistów

Długofalowych skutków COVID-19 doświadcza nawet 10-20% pacjentów, którzy przeszli tę chorobę. W skali kraju grupa ta może liczyć nawet kilkaset tysięcy osób – wcześniej zdrowych, teraz wymagających opieki lekarzy specjalistów: kardiologów, pulmonologów, nefrologów, neurologów czy wreszcie fizjoterapeutów.

Tymczasem według raportu Fundacji Watch Health Care w 2019 r. średni czas oczekiwania na gwarantowane świadczenia zdrowotne w Polsce wynosił niemal cztery miesiące (3,8). Na przyjęcie przez kardiologa czekano aż 5,2 miesiąca, na wizytę u neurologa czy nefrologa – średnio 2,7 miesiąca. Zmniejszająca się liczba placówek podpisujących umowę z NFZ nie wróży skracania kolejek. Dane za 2020 r. nie są jeszcze dostępne. Jednak wobec faktu, że pandemia spowodowała zamknięcie lub zmniejszenie wielu oddziałów różnych specjalizacji w szpitalach – ze względu na pozytywne testy na koronawirusa u pacjentów – albo konieczność wydzielenia łóżek dla chorych na covid, można się spodziewać, że ten rok okaże się

katastrofą. Znaczne powiększenie się grupy osób chorych przewlekłe, z dolegliwościami neurologicznymi czy kardiologicznymi po przechorowaniu covidu, pogłębi zapaść systemu.

Rząd zapowiedział już start programu post-COVID, jednak z informacji o nim wynika, że ma być realizowany przez uzdrowiska czy zakłady rehabilitacji leczniczej. Cztery modele leczenia opisane w rozporządzeniu MZ z lipca 2020 r. zakładają głównie trening wydolnościowy i oddechowy, inhalacje czy relaksacje – nie ma tu więc mowy o diagnostyce czy leczeniu kardiologicznym lub neurologicznym.

Prowadzony przez kilka specjalistycznych placówek w Łodzi (pełna lista na stronie stop-covid.pl) oraz fundację Cardica program STOP-COVID, którego inicjatorem i koordynatorem jest dr Michał Chudzik, to na razie jedyna tego rodzaju inicjatywa w Polsce. Pacjentom z innych regionów kraju pozostaje wizyta u lekarzy rodzinnych, a następnie ustawienie się w kolejce do obłożonych specjalistów.



DR MICHAŁ CHUDZIK
z I Kliniki Kardiologii
Uniwersytetu
Medycznego w Łodzi

– internista i kardiolog, w trakcie specjalizacji z geriatrici. W Centrum Medycznym Szpital Świętej Rodziny w Łodzi oraz Centrum Medycznym Boruta w Zgierzu prowadzi poradnię dla pacjentów po przechorowaniu COVID-19 – w ramach projektu STOP-COVID. Informacja o badaniach oraz zapisy na stronie www.stop-covid.pl. Badania prowadzone są w ramach umowy z NFZ.

utrzymują się dłużej niż przez trzy-cztery tygodnie, gdy chory powinien już czuć się dobrze i normalnie funkcjonować. Jeżeli jednak mijają cztery tygodnie i pacjenci wciąż skarżą się na różne dolegliwości, może to sugerować powikłania.

Zastanawiam się, ilu to będzie pacjentów w liczbach rzeczywistych.

– Jeśli dziś wiemy, że 2 mln Polaków chorowało na covid – a jak mówi nam minister Niedzielski, liczba ta może być dwa-trzy razy większa, czyli możemy przyjąć, że chorowało ok. 6 mln – widzimy, że grupa pacjentów z długotrwałymi objawami może obejmować nawet pół miliona Polaków. Jeśli z kolei weźmiemy pod uwagę to, że u połowy z nich dolegliwości utrzymują się dłużej niż trzy miesiące, mamy 250 tys. osób z przewlekłymi problemami po covidzie.

To ogromna grupa!

– Tak. To problem porównywalny do katastrofy, w której jest wielu rannych i brakuje dla nich miejsc w okolicznych szpitalach, bo mówimy o osobach, które z reguły wcześniej były zdrowe. Średnia wieku „pacjenta domowego” to 48 lat. To chorzy, którzy wcześniej raczej nie leczyli się na choroby przewlekłe, nie obciążali

Rozmawia Anna Brzeska

Zajmuje się pan badaniem i leczeniem pacjentów, którzy cierpią na długofalowe skutki przechorowania covidu.

– Tak, nieskromnie powiem, że stworzyliśmy jedyne w Polsce kompleksowe centrum dla tej grupy pacjentów. Od niemal roku nie tylko diagnozujemy i leczymy, ale też zbieramy i analizujemy dane naukowe. Podchodzimy do tego problemu całościowo, bo covid to ciężka, ogólnoustrojowa infekcja. Skupiamy się na osobach, które przeszły chorobę w tzw. warunkach domowych – są to więc głównie pacjenci bez chorób współistniejących.

Nie ma innych tego typu placówek w Polsce?

– Niestety, na razie brakuje innych ośrodków, które kompleksowo zajmowałyby się tymi pacjentami.

Ilu pacjentów doświadcza powikłań po covidzie?

– Z literatury światowej wiemy, że objawy długofalowe występują u 10-20% osób przechodzących covid w warunkach domowych. Zaznaczę, że chodzi o dolegliwości, które

► więc systemu ochrony zdrowia, chodząc regularnie do jakiejś poradni specjalistycznej. Mówimy zatem o olbrzymiej grupie zupełnie nowych pacjentów, którzy teraz masowo zjawiają się u już wcześniej obleganych kardiologów, neurologów, pulmonologów. Nie bardzo wiemy, jak przy tych ograniczeniach zasobów ludzkich, które dziś obserwujemy w polskim systemie opieki zdrowotnej, uda się nam przyjąć 250 tys. osób.

Jakie są najczęstsze objawy długofalowe?

– Pacjenci cierpią na bóle w klatce piersiowej, duszność, bardzo duże zmęczenie, szybką pracę serca, bóle głowy. Chorzy często mówią, że postarzeliby się o 20 lat. Teraz, po jesiennej fali covidu, doszły jeszcze problemy neurologiczne, czyli zaburzenia pamięci, orientacji – ogólnie są to zaburzenia podobne do demencyjnych, jakie zwykle notuje się u osób starszych. Najbardziej niepokojące jest jednak to, że objawy te utrzymują się nawet po trzech miesiącach u co najmniej połowy osób, które zgłaszają się z nimi do nas. I mimo że po

Objawy, których nie powinniśmy zlekceważyć

- **duszność**
- **bóle w klatce piersiowej**
- **odczucie szybkiego lub nierównego bicia serca**
- **znaczące zmęczenie i osłabienie**
- **bóle głowy**
- **wysokie ciśnienie krwi (powyżej 140/90)**
- **omdlenia i utraty przytomności**

z powikłań po covidzie, czy raczej z tego, że jest to bardzo ciężka, ogólnoustrojowa infekcja, po której pacjent wymaga regeneracji i fizjoterapii. Nie możemy jednak kierować na nią, nie wykluczając wcześniej poważnych powikłań w sercu, naczyniach krwionośnych, płucach czy układzie nerwowym. Pacjentom przeprowadzamy więc diagnostykę kardiologiczną, neurologiczną i pulmonologiczną.

Po jesiennej fali covidu doszły problemy neurologiczne, czyli zaburzenia pamięci, orientacji.

sześciu miesiącach – na szczęście – już niewielu pacjentów doświadcza tego rodzaju dolegliwości, zmiany otępienne u młodych osób ogromnie nas martwią. Bardzo długo utrzymują się też zaburzenia węchu i smaku oraz właśnie poczucie zmęczenia, brak mobilności.

Czy nowe warianty wirusa (np. brytyjski) powodują silniejsze powikłania? Widać tu zmianę?

– Jeśli chodzi o odsetek osób z dolegliwościami utrzymującymi się dłużej niż trzy miesiące, jest on podobny w grupie wiosennej i jesiennej. Za wcześniej jednak, by mówić o tym, co będzie się działo z osobami, które zostały zakażone odmianą brytyjską. Ci chorzy do mnie przyjdą za cztery-sześć tygodni. To są ważne pytania, ale tak naprawdę możemy ocenić te dane, dopiero mając ok. 1 tys. chorych – po roku od zachorowania.

Proszę opowiedzieć o schemacie postępowania z pacjentami.

– Najpierw musimy sprawdzić, czy dolegliwości rzeczywiście wynikają

chorych stwierdzamy uszkodzenie serca. Ponieważ są to osoby, które wcześniej nie miały dolegliwości odsercowych, przyjmujemy, że te uszkodzenia mają związek z covidem – inaczej nie można wytłumaczyć aż takiej skali zniszczeń. Dodam, że problemy z nadciśnieniem tętniczym po covidzie także dotyczą zarówno osób młodszych, jak i starszych.

Co z dolegliwościami neurologicznymi?

– Tu również nie widzimy zależności wiekowej. To jednak temat, który badamy od niedawna, odkąd mamy specjalne urządzenie z Politechniki Łódzkiej. Pozwala nam ono ocenić funkcjonowanie małych i dużych naczyń krwionośnych – i na tej podstawie stwierdzamy możliwość obronienia się danej osoby przed infekcją.

Chodzi o naczynia krwionośne w mózgu?

– W mózgu, w płucach i w każdym innym narządzie. Istotą covidu jest właśnie to, że krew wykrzepia się w małych naczyniach krwionośnych. Dochodzi do niedotlenienia komórek i te po prostu umierają, powodując powikłania. To, jak organizm potrafi sobie radzić z chwilowym niedokrwieniem małych naczyń, w dużej mierze decyduje o jego potencjale do lekkiego bądź zupełnie bezobjawowego przechorowania. Jesteśmy w trakcie badań nad tą hipotezą – znamy ją z wcześniejszych publikacji dotyczących innych chorób, ale chcemy to sprawdzić u osób z covidem. Po pierwszych badaniach już widzimy tę zależność.

Czy wirus wnika do komórek, np. komórek krwi czy innych narządów, poza płucami, powodując w nich infekcję – czy powikłania wynikają właśnie z niedotlenienia komórek tych narządów?

– Zostało już udowodnione, że wirus SARS-CoV-2 wnika do komórek naczyń krwionośnych przez obecny w nich enzym ACE2 odpowiadający za regulację ciśnienia krwi. Mamy też jeden opublikowany opis przypadku izolacji wirusa z mięśnia sercowego – tylko jeden, ponieważ w zaleceniach Europejskiego Towarzystwa Kardiologicznego nie uwzględniono na razie biopsji serca u osób z podejrzeniem zapalenia mięśnia sercowego po covidzie. Dla mnie jako lekarza klinicysty nie ma dużego znaczenia,



Rehabilitacja pulmonologiczna po covidzie prowadzona jest w Uzdrowisku Kopalni Soli Wieliczka.

czy zmiany w sercu wynikają z obecności wirusa w jego komórkach, czy tylko z jego obecności w naczyniach krwionośnych – informacja ta i tak nie wpłynie na sposób diagnostyki, na leczenie ani na dolegliwości chorego. Zgadzam się jednak z tezą, że powikłania po covidzie mogą wynikać z niedotlenienia różnych narządów.

Niektórzy mówią, że w tym koronawirus jest podobny do grypy, która też może powodować powikłania.

– Różnica między nimi polega na tym, że wirus grypy ma powinowactwo do płuc, jeśli zatem powikłania po grypie dotyczą serca, dzieje się to niejako przypadkowo. Natomiast SARS-CoV-2 w sposób zaplanowany szuka miejsc do wnikania w komórki. Kluczowy w tym procesie jest właśnie enzym ACE2, zlokalizowany w naczyniach krwionośnych – te zaś są wszędzie: w płucach, sercu, mózgu, nerkach, wątrobie czy mięśniach. I stąd bierze się wielobjawowość u chorego w czasie infekcji. Nigdy nie wiadomo, gdzie wirus znajdzie sobie miejsce, by wniknąć i się namnażać. To skutkuje dużą różnicą w liczbie powikłań w stosunku do grypy.

Co jeszcze powoduje większą śmiertelność?

– Kolejnym problemem jest silna odpowiedź immunologiczna na wirusa, widoczna zwłaszcza w szóstym dobie, gdy wielu pacjentów „załamuje” się i trafia do szpitala. Nadmierna obrona organizmu przed wirusem powoduje, że nasz organizm w sposób niekontrolowany zaczyna

niszczyć swoje narządy. Wtedy dochodzi do niewydolności oddechowej lub masywnego wykrzepiania krwi. Sprawne działanie układu odpornościowego nie polega tylko na tym, że włącza się w odpowiednim momencie – musi jeszcze we właściwym momencie się wyłączyć. Przed skutkami zbyt silnej odpowiedzi immunologicznej nie potrafimy na razie w pełni skutecznie się bronić.

Dodam, że znajomość schematu działania naszego układu odpornościowego pozwala zrozumieć, dlaczego sterydów nie należy podawać pacjentom na etapie leczenia domowego – choć ci czasem o nie pytają. Sterydy osłabiają nasz układ

40% chorych, którzy byli wcześniej zdrowi, ma po covidzie podwyższony poziom cukru.

odpornościowy, hamują go, gdy już działa nadmiernie. Wcześniej jednak chcemy przecież, by nasz organizm walczył z infekcją. Pacjenci często nie rozumieją schematu leczenia. Stąd zresztą biorą się te wszystkie krążące między ludźmi rady na temat amantadyny.

Przy okazji zapytam, co pan o niej sądzi i jak ona właściwie działa.

– Amantadyna ma hamować namnażanie się wirusa. Nie znaczy to jednak, że powinna być podawana pacjentom domowym, we wczesnej fazie choroby. Jest to lek o dużej toksyczności i dużej liczbie groźnych

działań ubocznych, związanych z pracą serca – z ryzykiem nagłego zgonu sercowego włącznie. Podawanie choremu amantadyny w domu – bez żadnej kontroli czy wykonania EKG – stwarza duże ryzyko zatrzymania pracy serca, szczególnie u osób, które już na serce chorowały. Co więcej, amantadyna dopiero weszła w fazę badań klinicznych i nie mamy jeszcze dowodów na to, że naprawdę działa.

Lekarze nie powinni więc na razie jej przepisywać?

– Jeśli jakiś lekarz chce podawać ten lek, powinien też zadać sobie trud, by tego pacjenta codziennie zobaczyć i zbadać. Nie wolno nam zalecić – szczególnie teraz, gdy powszechnie leczy się pacjentów w systemie telemedycyny – by lekarze rodzinni przepisywali ten lek do przyjmowania w domu. Nie mają przecież możliwości, by chorego codziennie zbadać i zrobić EKG – a w razie wątpliwości skierować od razu do kardiologa.

Trzeba zatem poczekać na wyniki badań klinicznych.

– Tak. Co ciekawe, zwykle te same osoby, które zachęcają do stosowania amantadyny jeszcze zanim te badania się zakończą, negują bezpieczeństwo szczepionek jako produktów, które nie przeszły wszystkich faz badań klinicznych.

Wróćmy do powikłań pocovidowych. Jak się je leczy?

– Jeśli chory ma powikłania kardiologiczne, np. zaburzenia rytmu serca czy uszkodzenie serca, stosujemy leki, którymi już wcześniej

leczyliśmy w tego rodzaju przypadkach, i obserwujemy pacjenta. Gorąco wierzę, że u tych osób wszystko wróci do normy, szczególnie jeśli udało się wcześniej je zdiagnozować i zacząć leczenie, zanim doszło do uszkodzeń serca.

Jeśli chodzi o tzw. mgłę mózgową, musimy pamiętać o trzech rzeczach. Po pierwsze, konieczne jest utrzymanie niskiego ciśnienia krwi, ponieważ wysokie bardzo uszkadza naczynia krwionośne w mózgu. Po drugie, liczy się utrzymanie niskiego poziomu cukru. Nie bez powodu chorobę Alzheimera nazywamy cukrzycą ▶

► typu III – wysoki poziom cukru działa destrukcyjnie również na mózg. Tymczasem 40% chorych, których badamy, a którzy byli wcześniej zdrowi, ma po przechorowaniu covidu podwyższony poziom cukru. Trzecia rzecz to powrót chorych do aktywności społecznej i zawodowej.

To jest tak ważne?

– Tak. I z tym mamy duży problem, bo chorzy po covidzie trafiają do pracy zdalnej, do komputera, a nie między ludzi. To nie jest dla nich dobre. Próbuje więc ich mobilizować do społecznej aktywności, jak tylko się da. Niezwykle istotna jest też szybka rehabilitacja. W pomiarach wykonywanych aparatem z Politechniki Łódzkiej, o którym wspominałem wcześniej, widzimy, jak wymęczone są mięśnie pacjentów. Wcale nie dziwimy się, gdy nawet młodzi ludzie mówią, że są tak zmęczeni, że nie mają sił wejść na pierwsze piętro.

Co powinni robić, by odzyskać siły?

– Tu zalecamy fizjoterapię – tradycyjną, z fizjoterapeutą i ćwiczeniami – oraz nowoczesną, wspomaganą specjalnym aparatem umożliwiającym naprzemienne oddychanie powietrzem o niskiej i wysokiej zawartości tlenu. To takie hartowanie mitochondriów, czyli tych struktur w komórkach, które dostarczają im energię. My je troszkę przyduszamy – co je mobilizuje do zwiększonej produkcji energii – a potem dajemy im więcej tlenu, by mogły tę energię wykorzystywać. Ta metoda do tej pory była stosowana głównie w procesie regeneracji u zawodowych sportowców, miała także umożliwiać im osiąganie lepszych wyników. Teraz widzimy jej bardzo dobre efekty u pacjentów po covidzie. To działa jak wyjazd w góry na 3-4 tys. m n.p.m. – bo tam jest mniej tlenu – a potem zjazd windą na poziom morza. My to robimy w trakcie 40-minutowych seansów.

Każdy chory z powikłaniami powinien móc skorzystać z takiej rehabilitacji.

– Jak wspominałem wcześniej, najpierw trzeba wyleczyć powikłania, potem sprawdzić, czy mamy do czynienia właśnie z tym rodzajem zmęczenia, o którym mówiliśmy – i dopiero potem terapia. Nie możemy ogłosić, że mamy Świętego Graala i teraz wszystkich będziemy leczyć tą samą metodą. Medycyna tak nie działa.

Częstym i poważnym problemem po covidzie jest też wypadanie włosów. Przy współpracy z Kliniką Dermatologii i prof. Joanną Narbutt stosujemy unikatową metodę leczenia i rehabilitacji – lampę typu Blue Light. Do tej pory używano takich lamp głównie w leczeniu atopowych zapaleń skóry. Ponieważ jednak działają antystresowo, ich promieniami leczymy również chorych, u których widzimy duży komponent stresu po-covidowego, skutkującego właśnie m.in. wypadaniem włosów. Światło lampy powoduje wydzielanie się endorfin – pacjenci są bardzo zadowoleni z tej terapii, odczuwają poprawę samopoczucia.

Jakie objawy powinny nas skłonić do wizyty u specjalisty? I gdzie szukać pomocy?

– Objawy, których nie powinniśmy zlekceważyć, to: duszność, bóle w klatce piersiowej, odczucie szybkiego lub nierównego bicia serca, znaczne zmęczenie i osłabienie, bóle głowy, wysokie ciśnienie krwi (powyżej 140/90), omdlenia i utraty przytomności. Zawsze zgłaszamy się do lekarza POZ, który po wykonaniu podstawowych badań kieruje nas do ewentualnych konsultacji innych specjalistów. Z tego, co wiem, nigdzie indziej nie ma tak zorganizowanej opieki medycznej jak w naszym programie STOP-COVID.

Słyszałam, że niektóre osoby skarżą się na bardzo nietypowe dolegliwości. Co jeszcze może się dziać?

– To może być wszystko. Często się mówi o utracie węchu, ale mam wielu pacjentów, którzy skarżą się na nadmierne odczuwanie zapachów. Co ciekawe, najczęściej jest to dym tytoniowy, i to nawet u osób, które nigdy nie paliły. Inni wszędzie czują woń spalinowy czy benzyny. W żaden sposób nie potrafię tego wytłumaczyć. Mam też osoby, u których powikłania nie spowodowały nadciśnienia, lecz odwrotnie – obniżenie ciśnienia. Tacy pacjenci, jeśli wcześniej brali leki na nadciśnienie, teraz musieli je odstawić. To sytuacje niezwykle zaskakujące dla lekarzy. Jeśli sam bym tego nie zobaczył, nie uwierzyłbym, że takie rzeczy mogą się dziać. Covid jest więc medyczną zagadką. Medycyna czegoś takiego z pewnością jeszcze nie widziała.

Anna Brzeska

a.brzeska@tygodnikprzeglad.pl

Mateusz Mazzini

Rok temu wziął nas wszystkich z zaskoczenia. Pojawił się nagle, w ciągu kilku tygodni ogarnął całą planetę i pokazał, jak łatwo zachwiać fundamentami naszej cywilizacji. Uderzył jednocześnie w dwa najczulsze punkty – zdrowie mas i publiczną opiekę zdrowotną. Najbogatsze kraje świata, chełpiące się bogactwem badawczym i zaawansowanymi technologiami, zapadały się pod jego ciężarem. Przepiętione szpitale, braki sprzętowe, karetki wożące pacjentów setki kilometrów w poszukiwaniu wolnego łóżka. Tysiące odwołanych wizyt u lekarza, iluzja zdalnego badania. Najwyższe od czasów wielkich wojen statystyki zgonów. I coraz powszechniejsze przekonanie, że kto z wirusem trafi do szpitala, ten już z niego nie wyjdzie.

To krótki opis spustoszenia, którego COVID-19 dokonał w systemach opieki zdrowotnej jak świat długi i szeroki. Mimo to teraz, kiedy mamy już kilka działających szczepionek, a kampanie ich podawania wreszcie zaczynają osiągać przyzwoite tempo, łatwo popaść w przesadny optymizm odnośnie do końca pandemii. Wprawdzie raz na jakiś czas znajdzie się ostrożny ekspert, który alarmującym tonem rzuci hasło, że „koronawirus zostanie z nami na zawsze”, ale wielu z nas przed tymi słowami robi mniej lub bardziej świadomy unik. Coraz częściej projektujemy naszą nową normalność – świat, w którym może zaraza istnieć obok nas, lecz na pewno już nie w nas. Problem w tym, że dla milionów ludzi na całym świecie słowa te nigdy nie okażą się prawdą.

Słabsze serce, płuca, mózg

Ostatnie 12 miesięcy wykształciło obraz typowego pacjenta, który zakażenie koronawirusem przechodzi co najmniej ciężko. To z reguły osoba starsza niż 65 lat, z chorobami współistniejącymi, której odporność jest obniżona z powodu długotrwałych terapii lekowych lub złych nawyków, takich jak palenie papierosów. Tak zresztą na początku świat myślał o covidzie. Przedstawiano go jako chorobę szczególnie groźną dla ludzi zaawansowanych wiekowo, młodym

Nowa normalność

Świat nie jest jeszcze w stanie pomóc pacjentom z przewlekłymi konsekwencjami koronawirusa



Powikłania po covidzie nie dotyczą jedynie najcięższych czy nawet hospitalizowanych przypadków.

miała specjalnej krzywdy nie robić. Jednak mylne przede wszystkim okazały się diagnozy co do jej trwania i późniejszych konsekwencji. 6 marca ub.r. Światowa Organizacja Zdrowia wydała jedną z pierwszych broszur na temat COVID-19, informując, że ok. 80% zarażonych przechodzi infekcję całkowicie bezobjawowo lub z symptomami mało uciążliwymi. Po jej zakończeniu dojście do pełnej sprawności miało zajmować mniej więcej dwa tygodnie. Trudno w tej chwili spekulować, czy tamte wskazania WHO oparte były na realnym stanie wiedzy, porównaniach z innymi chorobami zakaźnymi (głównie grypą), czy stanowiły przykład myślenia życzeniowego. Faktem jest, że błyskawicznie się dezaktualizowały.

Niemal równo trzy miesiące później zespół naukowców ze szpitala klinicznego Gemelli w Rzymie opublikował pierwsze szerokie badanie stanu zdrowia włoskich pacjentów hospitalizowanych z powodu koronawirusa. Spośród 143 pacjentów spełniających normy WHO do

bycia tzw. ozdrowieńcem (trzy dni bez gorączki, ustąpienie pozostałych symptomów, dwa negatywne testy na obecność wirusa oddzielone od siebie 24-godzinną przerwą) aż 125 (87%) odczuwało przynajmniej jeden z głównych objawów aż do dwóch miesięcy po wypisaniu ze szpitala. Inne badanie, przeprowadzone przez zespół kardiologów ze Szpitala Uniwersyteckiego we Frankfurcie

Niemcy: aż u 78% pacjentów nieprawidłowości w funkcjonowaniu układu krążenia i pracy serca występują nawet 90 dni po przechorowaniu covidu.

nad Menem, wykazało aż u 78% pacjentów nieprawidłowości w funkcjonowaniu układu krążenia i pracy serca występujące nawet 90 dni po przechorowaniu covidu. Wymienianie podobnych raportów badawczych i publikacji w renomowanych periodykach mogłoby wypełnić resztę tego tekstu. Niemal wszędzie pojawiały się wysokie odsetki, zmieniały się tylko

konsekwencje zdrowotne. Słabsze serce, obniżona wydolność płuc, ograniczona mobilność, miejscowe niedowłady. Ale też olbrzymie problemy z koncentracją, krótkotrwałe zaniki pamięci, znaczne spowolnienie tempa pracy intelektualnej. Stany lękowe, zespół stresu pourazowego, ogólne pogorszenie się kondycji psychicznej. Im dłużej żyliśmy z wirusem, tym jego długotrwałe ślady stawały się coraz trudniejsze do zanegowania.

W październiku wyniki swojego programu obserwacji pacjentów zarażonych SARS-CoV-2 ogłosili lekarze z sieci szpitali publicznych w Chicago. U 40% pacjentów stwierdzono długotrwałe konsekwencje neurologiczne, a u 30% zmniejszyły się zdolności poznawcze. Ktoś nie umie już ugotować potraw, które przygotowywał od kilkunastu lat. Inni kilka godzin odpisują na służbowy mejl. Zapominają, dlaczego przed chwilą wzięli do ręki przedmiot, który właśnie trzymają, i wpatrują się w niego długie minuty. Portale społecznościowe i komunikatory internetowe przepełnione są grupami, na forum których o problemach w pocovidowym życiu opowiadają ci, którzy teoretycznie powinni już być zdrowi. Pokazując w ten sposób, jak niewiele wiadomo było o wirusie na początku pandemii i jak bardzo nieadekwatne do rzeczywistości były ówczesne szacunki jej skali i przebiegu.

Miliony nowych pacjentów

Długotrwałe konsekwencje zachorowania na koronawirusa mogą wystąpić dosłownie u każdego, kto przejdzie zakażenie. Powikłania nie dotyczą jedynie najcięższych

czy hospitalizowanych przypadków. Z badań amerykańskiego Centrum Kontroli i Zapobiegania Chorobom Zakaźnym (CDC), federalnej agencji badawczo-śledczej odpowiedzialnej za monitoring ryzyka epidemii, wynika, że co trzeci pacjent przechodzący covid w warunkach domowych nie był w stanie wrócić do pełnej sprawności w pracy w ciągu dwóch tygodni ▶

► od wyjścia z choroby. Po grypie natomiast, jak pisze Ed Yong, reporter magazynu „The Atlantic” zajmujący się skutkami pandemii dla systemu opieki zdrowotnej w USA, w 14 dni dochodzi do siebie aż 90% pacjentów.

Analizy skutków zachorowania pokazują też kolejną ważną prawdę, która w pandemicznym szumie medialnym jest z reguły pomijana – że, choć brzmi to trywialnie, pacjenci z historią zarażenia koronawirusem różnią się bardzo, czasem nawet skrajnie. A ściślej, należą do jednej z kilku grup. Mogli chorować ciężko,

Daleko do systemu pomocy

Żaden system opieki zdrowotnej na świecie nie jest w tej chwili na to gotowy. Po pierwsze, miną długie miesiące, a może nawet lata, zanim statystyki wizyt u lekarzy pierwszego kontaktu i w poradniach specjalistycznych wrócą do normy. Teraz placówki medyczne omijane są szerokim łukiem, zwłaszcza w krajach takich jak Polska, gdzie wiele osób stawia znak równości pomiędzy szpitalem i cmentarzem. Potrzebne będą najpewniej nowe standardy obsługi pacjentów,

jest za mało. Wszystkie te elementy składają się na bardzo mroczną wizję najbliższej przyszłości, zarówno dla pacjentów, jak i pracowników służby zdrowia. Kiedy ci pierwsi zdecydują się wreszcie zasięgnąć porady specjalistów, tych drugich szybko może zabraknąć. System może znowu stać na krawędzi wydolności.

Są miejsca na świecie, gdzie próbuje się temu zapobiec. Rząd Wielkiej Brytanii już w lipcu 2020 r. przeznaczył 11 mln dol. na badania nad długotrwałymi skutkami zachorowania na covid. Naukowcy szybko zwrócili jednak uwagę na błędne założenia programu – dopuszczał on bowiem tylko pacjentów po hospitalizacji i koncentrował się wyłącznie na aspektach medycznych. Znow pominęli zostali ci, którzy albo w pandemicznych statystykach nie istnieją w ogóle, albo koronawirusa przechodzili poza systemem opieki zdrowotnej. Nie ma też jeszcze mowy o systemowym podejściu do pomocy dla tych, którzy skutki zachorowania odczuwają już teraz – a więc o programach socjalnych czy rentach. Podobnie jest w Australii, gdzie naukowcy coraz śmielej wysuwają hipotezę o zwiększonym ryzyku zachorowania na cukrzycę po przebiegu koronawirusa, oraz w Stanach Zjednoczonych, gdzie z kolei federalny Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego łącznie na badania konsekwencji covidu zarezerwował już 1,15 mld dol. To pierwszy krok na tej ścieżce. Konieczny, kluczowy, ale na pewno niejedyny. Pozostaje teraz zadać pytanie,

Australia: naukowcy coraz śmielej wysuwają hipotezę o zwiększonym ryzyku zachorowania na cukrzycę po przebiegu koronawirusa.

lecz krótko, ale mogli także chorować łżej, choć bardzo długo. Jeszcze inni w ogóle w tych statystykach nie istnieją. W pierwszych tygodniach zarazy największym problemem całego świata był brak skutecznych testów wykrywających wirusa. Wiele osób, mimo wyraźnych objawów, nie miało zrobionych testów. Inni celowo odmawiali poddania się testowi, bojąc się przymusowej kwarantanny. To uzmysławia, jak gigantyczna może być luka w globalnych danych na temat realnych skutków pandemii. Nie wiemy, ile osób chorowało ani kiedy nastąpiło zakażenie. Można to oczywiście sprawdzić, badając przeciwciała, ale one znikają z reguły po pięciu-sześciu miesiącach. Pacjent, który koronawirusa przeszedł, nie mając oficjalnej diagnozy, a dzisiaj zmaga się z długotrwałymi konsekwencjami, może zatem nigdy nie powiązać swoich dolegliwości z ich realnym źródłem.

Średnia wieku pacjentów monitorowanych w cytowanych badaniach nie jest wcale wysoka – oscyluje pomiędzy 48 a 58 lat. Czyli bardzo wielu takich chorych, u których zarażenie koronawirusem faktycznie trwało nie 14, ale 30, 60 czy 90 dni, to ludzie wciąż czynni zawodowo. Przedtem byli nierzadko w pełni zdrowi, dziś mogą wymagać stałego nadzoru i leczenia u specjalisty. Mówiąc prościej, pandemia koronawirusa najprawdopodobniej powiększy globalną liczbę osób przewlekle chorych o kilka, może nawet kilkanaście milionów.

by odzyskać ich zaufanie, a to z kolei pochłonie nie tylko czas, ale przede wszystkim fundusze. Po drugie, wciąż bardzo mało wiemy na temat natury powikłań, precyzyjnego momentu ich występowania i tego, czy rzeczywiście z czasem same zanikają, czy może towarzyszyć będą „ozdrowieńcom” do końca życia. Po trzecie, powikłania te rzadko występują pojedynczo, więc ich leczenie będzie wymagać kompleksowych terapii. Po czwarte wreszcie, nie istnieją odpowiednie instrumenty systemowe, które pozwoliłyby na skuteczne przywracanie wszystkich tych pacjentów do pełnej sprawności lub – jeśli powrót okaże się niemożliwy – zapewniły odpowiednią pomoc. Yong, opisując

USA: co trzeci pacjent przechodzący covid w warunkach domowych nie był w stanie wrócić do pełnej sprawności w pracy w ciągu dwóch tygodni po chorobie.

amerykańską pandemię na łamach „The Atlantic”, wielokrotnie zauważał chociażby, że osoby z powikłaniami po covidzie bywają niesamodzielne przez długi czas. Jednocześnie nie mogą liczyć na żadną pomoc materialną ze strony państwa, bo w procedurach przyznawania zasiłków bądź rent nie ma takich kategorii niepełnosprawności, oznaczeń dla zabiegów. Nie mówiąc nawet o odpowiednich placówkach czy specjalnie przygotowanym personelu medycznym, którego już teraz w większości krajów

czy decydentom, głównie tym politycznym, wystarczy wyobraźni, by postawić kolejne. Zrozumieć realną skalę zniszczeń, jakie pandemia cały czas powoduje w systemie zdrowia publicznego. Zaplanować sensowną, długofalową strategię, której nie będą potem chaotycznie modyfikować z dnia na dzień. I tym razem nie pozostawić nikogo poza nawiasem. Ani tym statystycznym, ani medycznym, ani przede wszystkim społecznym.

Mateusz Mazzini

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Z Galicji



Jan Widacki

Stodoły z kolumnadą

Kryzys polskiego Kościoła jest niestety wielowymiarowy, żeby nie powiedzieć totalny. Dotyczy on także uczelni kościelnych. Miejsca takich księży profesorów jak Tischner, Życiński czy Heller zajmują ludzie tacy jak ks. Oko czy ks. Guz.

Gdzie te czasy (lata 80. XX w.), kiedy na konwersatoria z filozofii nauki prowadzone w Papieskiej Akademii Teologicznej przez księży profesorów Hella i Życińskiego ciągnął cały naukowy Kraków? Gdzie te czasy, gdy Jan Paweł II zapraszał do Castel Gandolfo na letnie seminaria nie tylko wybitnych uczonych w sutannach czy habitach, ale również świeckich uczonych i filozofów?

Gdzie ten KUL, który w stanie wojennym przygarniał wyrzuconych z innych uczelni za politykę profesorów i studentów? Ten KUL, w którym – jako jedynym uniwersytecie w Polsce, a nawet w całym obozie socjalistycznym – jawnie można było uprawiać filozofię chrześcijańską? Ten KUL, w którym czasem brakowało na wypłatę dla pracowników i rektor musiał jeździć na kwestę do amerykańskiej Polonii?

Tego KUL już nie ma! Fakt, że był jego rektor, a wcześniej asystent w Katedrze Etyki, której kierownikiem był doc. Karol Wojtyła, na znak protestu zerwał wszelką współpracę z tą uczelnią, jest aż nadto wymowny.

Dziś gwiazdą KUL jest ks. prof. Tadeusz Guz. Mąż ten poglądy ma oryginalne i głosi je ze swadą głównie w mediach Tadeusza Rydzika, ale także od ołtarza i z uniwersyteckiej katedry. Uczony ma prawo do poglądów oryginalnych, nawet bardzo nie-raz osobliwych, ale przecież mieszczących się w pewnych granicach. Mogą one odbiegać od powszechnie akceptowanych, być kontrowersyjne, ale nie mogą być idiotyczne, sprzeczne z nauką i zdrowym rozsądkiem, a nawet szkodliwe. Ks. prof. Guz głosi np., że podczas mszy nie można się zarazić koronawirusem, i publicznie nawołuje do nieprzestrzegania zakazów wprowadzonych przez państwo. To już nie tylko głupota, ale zachowanie, które ociera się o kodeks karny.

Ostatnio ksiądz profesor zastąpił wypowiedzią na temat żydowskich mordów rytualnych dokonywanych rzekomo na chrześcijańskich dzieciach. Skądinąd wiadomo, że fałszywe oskarżanie Żydów o morderstwa rytualne na chrześcijańskich dzieciach było jednym ze źródeł europejskiego antysemityzmu. Wierzył w nie „ciemny lud”. Dość przypomnieć, że kielecki pogrom z 1946 r. zaczął się od plotki, że Żydzi porwali chrześcijańskie dziecko,

by jego krew dodać do macy. Tymczasem ów ponoć porwany po kilku dniach wrócił cały i zdrowy z odwiedzin u rodziny na wsi.

Od co najmniej XIII w. papieże przestrzegali duchownych i wiernych, by w brednie o tym, że Żydzi zabijają w celach rytualnych chrześcijańskie dzieci, nie wierzyli. Natomiast ks. prof. Guz twierdził, że morderstwa te są faktem, bo przecież za ich dokonywanie zapadały prawomocne wyroki sądowe. Bardzo to ciekawa metoda dowodzenia. Prawdą jest, że za rzekome morderstwa rytualne skazywano nieraz w przeszłości niewinnych ludzi. Tak jak skazywano za czary. Posługując się metodologią ks. prof. Guza, trzeba zatem przyjąć istnienie czarów za udowodnione naukowo.

Za tę anaukową, antysemitę wypowiedź ks. Guza ówczesny rektor KUL ks. prof. Antoni Dębiński polecił wszcząć postępowanie dyscyplinarne. Właśnie się zakończyło. Umorzeniem. Komisja dyscyplinarna złożona z profesorów KUL uznała, że sprawa mordów rytualnych stanowi „element nierozstrzygniętej ciągle dyskusji naukowej”. No, pogratulować poziomowi dyskusji naukowej, w której uczestniczy i tak śmiało głos zabiera ks. prof. Guz. Jeśli coś takiego dla profesorów KUL, członków komisji dyscyplinarnej, jest akceptowalnym poziomem dyskusji naukowej, to znaczy, że KUL upadł niżej, niż myślałem.

Oczywiście każdemu wolno bredzić. Ma więc do tego pełne prawo ks. Guz. Ale tu kilka zastrzeżeń. Po pierwsze, wolno, jeśli te brednie są nieszkodliwe. Brednie ks. Guza, niestety, są szkodliwe. Po drugie, co innego, jak bredzi sobie jakiś maniak na swoje konto, a co innego, jak brednie wypowiada osoba obdarzona tytułami i stopniami naukowymi. W tym ostatnim wypadku powinna zapalić się nam czerwona lampka: może z tym przyznawaniem stopni i tytułów naukowych coś jest nie tak?

Ks. prof. Guz nie tylko głosi swoje oryginalne poglądy, ale ma jeszcze inną pasję. Buduje drewniane „Ateny roztoczańskie”. Nie będę wyjaśniał, co to jest, kto nie wie, a ciekawy, niech sprawdzi w internecie.

Na marginesie tej książkowej pasji dodam jedynie, że jak się do chlewa i stodoły dobuduje kolumnadę, to przestrzeń między nimi niekoniecznie zamieni się automatycznie w agorę.

Podobnie, gdy do nazwiska doda się tytuł profesor albo ksiądz profesor, to niekoniecznie wyjdzie z tego mędrzec.

Swoją drogą, może by tak te tytuły rozdawać ostrożniej?

Gdy do nazwiska doda się tytuł profesor albo ksiądz profesor, niekoniecznie wyjdzie z tego mędrzec.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Jak się potoczą losy
tych czterech polityków?



PiS wchodzi w buty AWS

Morawiecki jak Buzek, Gowin jak Gowin...

Robert Walenciak

– Albo się dogadamy, albo w ciągu roku czekają nas wybory – oznajmia Jarosław Gowin. I to „dogadamy” adresuje do Jarosława Kaczyńskiego. Dodaje jeszcze, że „umowa koalicyjna jest *de facto* zawieszona”. Czyli jego grupka posłów jest poza Zjednoczoną Prawicą. A jeżeli ma wrócić – to trzeba się dogadać. W innym wypadku gowinowcy będą poza rządem, a to oznacza, że Kaczyński nie ma już większości w Sejmie. I że każde głosowanie różnie może się skończyć.

Gowin mówi głośno to, co Ziobro zapowiedział już wcześniej – że będzie w Sejmie głosował według własnych kalkulacji. Taką kalkulacją, Ziobry tym razem, jest np. zapowiedź, że jego formacja będzie głosowała przeciw ratyfikowaniu Funduszu Odbudowy. Na początek. Szef Solidarnej Polski także więc raz jest w Zjednoczonej Prawicy, a innym razem go nie ma. Tę zapowiedź Ziobry możemy oceniać

rozmaicie, ale na pewno uderza on w żywotne plany PiS.

Batalia o kasę

Oczywiście również w plany państw Unii – bo weto wobec Funduszu Odbudowy oznaczałoby, że w ogóle nie wejdzie on w życie lub – co bardziej prawdopodobne – wejdzie z paromiesięcznym opóźnieniem. A Unia czeka na środki, które fundusz ma uruchomić. Część zresztą trafić ma do Polski.

Te wszystkie pisowskie programy przygotowywane w różnych ministerstwach opierają się na pieniądzu z Unii. W ramach Funduszu Odbudowy Polska ma dostać 23 mld euro grantów i 34 mld euro pożyczki. Bez tych środków programy Nowy Ład czy Krajowy Plan Odbudowy będą atrapą. A Kaczyński już wie, że ludzi może przyciągać tylko pieniędzmi, bo przecież nie opowieściami, że w samolocie lecącym do Smoleńska wybuchła bomba.

To pokazują badania opinii publicznej – Prawo i Sprawiedliwość opiera się na wyborcach, którzy szczególnie cenią sobie transfery socjalne: 500+, różne tarcze. Jeżeli tego zabraknie, będzie po PiS.

Dlatego Jarosław Kaczyński jest zdecydowany na przyjęcie Funduszu Odbudowy. – Nie możemy odrzucać możliwości, która daje nam szansę na awans cywilizacyjny – tłumaczył podczas wirtualnego spotkania z czytelnikami „Gazety Polskiej”, mając świadomość, że eurosceptyków w tym gronie nie brakuje. A na pytanie, czy Fundusz Odbudowy nie ograniczy suwerenności Polski, odpowiada zdecydowanie: – Jak nie będziemy chcieli, to nie ograniczy.

Czy przekonał tymi słowami przeciwników Unii? Tego jeszcze nie wiemy, natomiast wiemy, że w drodze do ratyfikacji Funduszu Odbudowy przekonać musi... Borysa Budkę.

Pisaliśmy już o tym w PRZEGLĄDZIE – Fundusz Odbudowy powinien zostać ratyfikowany w procedurze

art. 90 konstytucji, bo przyjmując go, Polska rzeknie się części swojej suwerenności na rzecz Unii. Musi go poprzeć dwie trzecie, czyli 307 posłów. Bez poparcia PO nie da się tego przeprowadzić. Wiadomo to od miesięcy, ale Kaczyński zamiast w tej sprawie dogadywać się z PO, udawał (i udaje), że problemu nie ma. Ale... Zwróćmy uwagę, podczas wspomnianego spotkania z czytelnikami „GP” nazwał opozycję rakiem i zarzucił jej, że nazywa się totalną. Czy nie był to sposób, by zmusić ją do poparcia ratyfikacji Funduszu Odbudowy? Za darmo, żeby pokazać, że nie jest totalna?

Bez pieniędzy z Unii Nowy Ład i Krajowy Plan Odbudowy będą atropą.

Oto więc polska polityka. Kaczyński nie ma w Sejmie większości, a jego najważniejszy projekt, który pozwoli PiS odzyskać wyborców, jest mocno zagrożony. Prezes musi zatem dogadać się z trzema politykami, z którymi rozmawiać nie ma ochoty.

Przede wszystkim będzie musiał się dogadać z Borysem Budką, żeby Platforma poparła ratyfikację Funduszu Odbudowy. Sęk w tym, że Kaczyński Budki nie lubi i nie ceni. Pewnie więc tę rozmowę z szefem PO sceduje na Morawieckiego lub Terleckiego. Wszystko jedno – Platforma już postawiła swoje warunki w sprawie Funduszu Odbudowy, chce, by pieniądze europejskie były pod pieczę samorządowców i by większe sumy trafiły do dużych miast, a nie tam, gdzie wójtów jest członek PiS. Z kolei PiS od takich rozmów uciekało, słusznie przyjmując, że propagandowo wygrać na tym może jedynie opozycja, a nie rząd.

Karząca ręka Gowina

Ale Kaczyńskiego czekają jeszcze trudniejsze rozmowy. Musi się dogadać z Gowinem. To nie będzie przyjemna pogawędka, bo Gowin oskarża go, że inspirował pucz Bielana. Czyli próbę odebrania mu partii i dokonania politycznej egzekucji. Nikt nie ma wątpliwości – Kaczyński musiał wydać zgodę na całe przedsięwzięcie. Jak więc może wyglądać ich rozmowa? Gowin już to określił. Kaczyński musi mu zagwarantować,

że w przyszłości na podobne ruchy się nie zdecyduje. Poza tym musi wyrzucić z rządu tych polityków Porozumienia, którzy poparli Bielana. A na ich miejsce powołać ludzi przez niego wskazanych.

To bardziej gest niż cokolwiek innego, bo chodzi tu ledwie o trzech wiceministrów – Michała Ciesłaka, ministra członka KPRM, Zbigniewa Gryglasa, wiceministra aktywów państwowych, i Jacka Żalka, wiceministra finansów i polityki regionalnej. – Ci ministrowie albo zostaną zdymisjonowani, albo PiS przyzna, że to jego ministrowie – mówi rzecznik Porozumienia, dodając, że na ich miejsca Gowin rekomenduje nowych kandydatów.

Wyrzucając zdrajców, karząc ich, wskazując na ich miejsca wiernych mu ludzi, Gowin chce pokazać swoją sprawczość. Ale w podobnej sytuacji stawia Kaczyńskiego. Bo cała prawica patrzy – czy potrafi obronić pozycję tych, którzy mu zaufali?

Budka, Gowin... I jeszcze ten trzeci – Zbigniew Ziobro. On także ma pakiet kontrolny, bez poparcia 17 posłów Solidarnej Polski rząd Morawieckiego utraci większość w Sejmie. Z nim Kaczyński też musi się dogadać. Ale, nie ma co ukrywać, będzie mu najtrudniej. Ziobro bowiem gra o więcej niż Gowin. Chce być następcą Kaczyńskiego i chce

narzucać Zjednoczonej Prawicy ton. Zarówno w sprawach ideowych, jak i w kwestiach personalnych. Nie bez powodu politycy Solidarnej Polski powtarzają, że to oni bronią prawdziwych wartości prawicy i programu, z którym Zjednoczona Prawica szła do wyborów. I nie bez powodu opowiadają, że najlepszym premierem byłby Jarosław Kaczyński. W ten dworski sposób podkopują Mateusza Morawieckiego, kołyszą jego fotelem.

Morawiecki nie przy stole, lecz na stole

Ale czy mogą mu zaszkodzić? Jak najbardziej. Kaczyński w sprawie przyszłości premiera wypuszcza już od jakiegoś czasu balony próbne. Co powiedział o Morawieckim parę dni temu? – Ma moje poparcie i zaufanie, bo gdyby nie miał, to nie byłby tym, kim jest. Na razie moje wsparcie mu to gwarantuje, choć oczywiście może się tak wydarzyć, że mój głos nie będzie miał takiego znaczenia.

Czyli powiedział: jesteś, Mateuszu, premierem, bo tak chcę, a jak nie będzie mi się opłacało ciebie wspierać, to cię opuszczę. Określił też jego pozycję w Zjednoczonej Prawicy – że nie będzie siadał do stołu jako negocjator, podmiot, tylko będzie na stole jako danie, jako element negocjacji.

A kto wtedy Morawieckiego by zastąpił? Parę tygodni temu Kaczyński

WEBINAR:

POROZMAWIAJMY O ZDROWIU PSYCHICZNYM!

WYDARZENIE LIVE:

FB & YT

20.04.2021R

17:00

To wydarzenie, na którym dowiesz się m.in.:

- jak radzić sobie w obecnej sytuacji pandemicznej
- jak skutecznie podnieść swoją samoocenę
- jak rozpoznać toksyczną relację
- jak rozmawiać z osobami chorymi

Będziesz z nami? Masz tę moc!

PARTNERZY I SPONSORZY

ORGANIZATOR

► rozplątywał się nad Danielem Obajtkiem, jako tym obdarzonym charyzmą i dotknięciem Boga. To okazało się dla Obajtka pocałunkiem śmierci, bo niemal zaraz po tych słowach na światło dzienne wyciągnięta została taśma z jego przekleństwami i kombinacjami. I zaczęło się parotygodniowe grillowanie Obajtka, no i już wiadomo, że premierem nie zostanie.

Ale kolejka chętnych jest długa. Że wymienię nazwiska krążące w politycznym światku – Jacek Kurski, Michał Dworczyk, Mariusz Błaszczak... Kłopot Kaczyńskiego polega na tym, że to twardzi zawodnicy. Stanowisko szefa rządu natychmiast by wykorzystali do gry na siebie. Wie to Kaczyński, wiedzą liderzy prawicy, z których każdy patrzy podejrzliwie na drugiego. Szanse na zbudowanie jakiegoś szerszego poparcia dla np. Jacka Kurskiego są więc bliskie zera. Bo ile musiałby dostać Gowin, by go poprzeć?

Dlatego powinniśmy raczej zakładać, że jeśli Kaczyński uzna, że Morawiecki musi odejść, to będzie szykował na jego miejsce kogoś z dalszego szeregu, bez politycznego zaplecza. Takiego, kto nikomu z ważnych postaci Zjednoczonej Prawicy nie wadzi i nie zdążył się narazić. Albo wybierze najprostsze rozwiązanie i rzeczywiście sam mianuje się premierem. Tak czy inaczej, nawet taka zmiana pociągnęłaby za sobą konieczność układania się w Zjednoczonej Prawicy na nowo, dzielenia stanowisk i obszarów wpływów, kolejne wielogodzinne negocjacje i awantury byłyby jak w banku.

Kaczyński: żeby było, jak było

Dlatego Kaczyński najchętniej niczego by nie zmieniał. Wygłasza zatem przestrogi – że jest konflikt

w Zjednoczonej Prawicy. Straszy – że jak trwale straci w Sejmie większość, to zdecyduje się na wcześniejsze wybory. Ostrzega Gowina i Ziobrę: – Dobrze by było, gdyby pamiętali stare przysłowie: „dopóty dzban wodę nosi, dopóki mu się ucho nie urwie”. Otóż może się urwać.

No i przypomina, i postom PiS, i postom koalicjantów, że sprawują władzę. Po co więc takim dobrem frymarzyć, wystawiać na ryzyko? Przekaz Kaczyńskiego do Gowina i Ziobry jest jasny: siedźcie cicho, głosujcie jak PiS, bo macie władzę. W innym wypadku możecie ją stracić.

Rzecz w tym, że nie są to słowa wiarygodne. Bo i Ziobro, i Gowin już wiedzą, że Kaczyński chce ich ograć, wypchnąć na margines, a w wyborach za dwa lata będą mieli kłopot ze znalezieniem się na listach Zjednoczonej Prawicy. Szef klubu PiS, Ryszard Terlecki, mówi wprost: – Mamy problemy z koalicjantami, ja tu jestem radykałem i chętnie bym się ich pozbył, ale utrzymujemy jedność w Zjednoczonej Prawicy tak długo, jak to możliwe.

Są słowa i są czyny. Gowin ledwo politycznie przeżył pucz Bielana, kiedy próbowano odebrać mu partię. Ziobro z kolei rok temu chciał zjednoczenia Solidarnej Polski z PiS – pokazano mu drzwi. Obaj muszą więc twardo walczyć o polityczny byt. Nie tylko oni. O swoje miejsce walczy Mateusz Morawiecki, swoją grę prowadzi Jacek Kurski, gdzieś w tle pojawia się Beata Szydło, no i działają różne lobby, których siłę mogliśmy poznać przy okazji zablokowania „piątki dla zwierząt”, inicjatywy, bądź co bądź, Kaczyńskiego.

AWS wraca w podskokach, ale...

To jest proces, nad którym nikt już nie panuje. Dlatego trudno odmówić racji Gowinowi, gdy ocenia: – Obóz Zjednoczonej Prawicy wszedł na niebezpieczną ścieżkę, którą niektórzy komentatorzy nazywają drogą ku awiesizacji, czyli wewnętrznemu rozkładowi.

Gowin przypomina zatem Kaczyńskiemu lata 1997-2001. AWS, czyli prawica pod patronatem Solidarności, uzyskała w wyborach w 1997 r. 33% poparcia. W wyborach w roku 2001 – ledwie 5,6%, oddając władzę SLD. Wcześniej się skłóciła, podzieliła, z AWS wyrosły różne partie. PiS, PO...

Co warto przypomnieć, AWS rządziła do końca, mimo że straciła większość w Sejmie. Najpierw straciła koalicjanta – Unię Wolności, potem sama rozsypała się na kilka części. Jak wtedy mówiono, tratw ratunkowych. Ale Jerzy Buzek był premierem do końca. I kilka ustaw, takich jak nowa ordynacja wyborcza, udało mu się przeprowadzić. Tamten mechanizm zdaje się odżywać.

Posłuchajmy polemik między politykami Zjednoczonej Prawicy. Wszyscy straszą się przyspieszonymi wyborami. Że na jesieni, że za rok... I ich konsekwencjami – bo PiS może wtedy stracić władzę. Nie tylko nad ministerstwami, ale i nad spółkami skarbu państwa, nad całym układem, na którym wiszą tysiące działaczy PiS, Solidarnej Polski, Porozumienia, plus ich rodziny.

A czym się pocieszają? Że epidemia minie i wtedy gospodarka ruszy do przodu, ludzie nabiorą optymizmu, a PiS dorzuci im jeszcze pieniędzy, które dostanie z Funduszu Odbudowy. I odzyska poparcie.

Przekaz jest więc jasny – wybory teraz to dla prawicy samobójstwo, wybory za dwa lata – możliwy sukces. Tak w Zjednoczonej Prawicy sobie tłumaczą, nie dostrzegając, że podobnie tłumaczono sobie w czasach AWS. Że trzeba trwać do końca kadencji, że gorzej już nie będzie, że znajdzie się polityk, który formację uratuje itd. Racjonalizowano strach. Żeby tylko zyskać kolejne miesiące na posadach.

Ten uniwersalny mechanizm, bo tak było też w ostatnich miesiącach rządów SLD, odżywa się i dzisiaj. Że lepiej trwać. I szukać jakichś tratw ratunkowych. Kaczyński to doskonale pojmuje. Zna nastroje wewnątrz obozu PiS. Już wie, co może Gowin i co może Ziobro. I jak ważny jest Fundusz Odbudowy. A z drugiej strony – jak mało ważny jest Mateusz Morawiecki. I jak nieporadna i w sumie mało groźna jest opozycja. Nie do końca zatem grożą prawicy czasy AWS, bo Kaczyński to nie Krzaklewski, a Millera po tamtej stronie nie ma.

Tak czy inaczej, w ciągu najbliższych tygodni kilka decyzji Kaczyńskiego będzie musiał podjąć. Co dalej z PiS, z koalicją, co dalej z premierem... Trochę posterować. Póki jeszcze sterować się da.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl



Rzetelny sąd nad PRL

Książka Andrzeja Walickiego to lektura obowiązkowa dla każdego, kto chce uczciwie się rozliczyć z przeszłością ustrojową Polski sprzed 1989 r.

Stanisław Bieleń

Poniżej publikujemy obszernie fragmenty recenzji wydawniczej I tomu trylogii prof. Andrzeja Walickiego, „PRL i skok do neoliberalizmu. Jaruzelski. Solidarność. Zdrada elit”, wydane go przez „Przegląd” oraz Instytut Historii Nauki PAN.

(...) Zróżnicowany pod względem formy zbiór tekstów w postaci artykułów, zapisków i komentarzy, wziętych z dzienników, listów, a także zwyczajnych, nigdy niepublikowanych uwag, a jednocześnie wywodów zwartych i spójnych pod względem światopoglądu badawczego, w których Autor pokazuje, jak historia idei czy raczej historia intelektualna pomaga w zrozumieniu dzisiejszej rzeczywistości, jak wzbogaca spojrzenie o rozmaite skojarzenia, antecedeny, ukryte uwarunkowania i powtarzalne schematy mentalne. Doskonale scharakteryzował to we wstępie uczeń i przyjaciel Profesora Walickiego – Jarosław Dobrzański. Jego wstęp wraz z przedmową Profesor Joanny Schiller-Walickiej, żony zmarłego Profesora, stanowią doskonałe naświetlenie nie tylko intencji i motywów opublikowanego testamentu politycznego Andrzeja Walickiego, ale też pomagają w zrozumieniu, w jaki sposób Profesor, któremu na sercu leżały losy narodowej wspólnoty politycznej, kierowanej nie przez ślepy los i konieczności dziejowe, lecz rozumnych ludzi (pretendujących do miana elity), spierających się o ideały, wartości i projekty racjonalnej przebudowy życia społecznego, postrzegając swoją misję badawczą (...).

Angażując się intensywnie w debatę publiczną, Profesor Walicki inicjował i prowokował do intelektualnych przewartościowań historii PRL jako podmiotu prawno-państwowego. Nie miał wątpliwości co do podmiotowości prawno-politycznej i prawnomiędzynarodowej tej jednostki geopolitycznej, która przez dzisiejszą „politykę historyczną” traktowana jest jak „niebyt”, niczym „czarna dziura”. Zdawał sobie sprawę z ograniczonej suwerenności i autonomii decyzyjnej władz, ale pokazywał ewolucję tego państwa z jego ułomnościami i jaśniejszymi stronami. Odrzucanie mitotwórstwa, uproszczeń, negatywnego wartościowania, ofiarництва i cierpiętnictwa, heroizacji walki z widmem komunizmu – to wszystko nie przysparzało Mu popularności wśród interlokutorów. Większość

z nich wolała przyjąć uproszczoną wizję okresu PRL, stygmatyzując to państwo w całym okresie jego istnienia jako niezmiennie totalitarne. Tymczasem Profesor Walicki pokazywał dynamikę i zmieniające się znaczenie nie tylko samego pojęcia, ale także przeobrażenia ustrojowe, które prowadziły do detotalitaryzacji, liberalizacji i humanizacji systemu. Odróżniał legitymizację narodową PRL od legitymizacji ideologicznej, co pozwalało mu spojrzeć na tę formację ustrojową jako państwo realizujące polskie narodowe interesy w ówczesnych realiach geopolitycznych. Do końca życia uważał, że PRL zasługuje na uczciwą ocenę. Nie było to państwo wyłącznie „tchórzliwych ugodowców i aktywnych kolaborantów”, ale większości ludzi w dobrej wierze starających się pracować dla Polski, a nie dla komunistycznego totalitaryzmu lub obcego mocarstwa. (...)

Delegitymizacja PRL była i jest problemem *stricte* politycznym, leży w interesie nowych elit, które w ten sposób podkreślają swoją dziejową rolę w obaleniu komunizmu. Demonizacja poprzedniej formacji polityczno-ustrojowej nie ma nic wspólnego ani z uczciwością intelektualną, ani z rzetelną wiedzą. Ten brak zacierzawienia politycznego i zaślepienia ideologicznego uczynił z Profesora Andrzeja Walickiego jednego spośród niewielu „sprawiedliwych”, którzy w każdej ideologizacji życia publicznego widział niebezpieczeństwo krucjat światopoglądowych, niebezpiecznych dla każdego ustroju, także dla liberalnej demokracji. (...)

Lektura tekstów zamieszczonych w tomie I jest obowiązkowa dla każdego, kto chce uczciwie rozliczyć się z przeszłością ustrojową Polski sprzed 1989 r. Rzetelny sąd nad PRL jeszcze przed nami. Ale nie odbędzie się on bez uwzględnienia pisarstwa naukowego i publicystyki politycznej Andrzeja Walickiego. Jego wkład w polskie badania dziejów totalitaryzmu pozostanie na długo intelektualnym drogowskazem; także świadectwem przenikliwości i odwagi cywilnej. Przede wszystkim Profesor pokazuje, że nie można zbudować obiektywnej oceny PRL za pomocą mitologizacji zasług opozycji politycznej i autogloryfikacji kombatantów, którzy stworzyli wygodną dla siebie wersję historii. Nie można zrozumieć współczesnych deformacji ustrojowych i kosztów transformacji bez odkrycia źródeł Solidarności jako populistycznego ruchu mas i postaw dominującego nurtu opozycyjnej inteligencji. (...)

Prof. Stanisław Bieleń jest politologiem, wykładowcą UW



Marek Czarkowski

Pandemia zdemolowała czołowe światowe gospodarki. Zgotowała piekło hotelarzom, restauratorom i fryzjerom. Lecz gdy jedni szli na dno, drudzy wypływali na szerokie wody.

Miliardy dla koncernów

Nie sposób dziś oszacować zysków koncernów farmaceutycznych produkujących szczepionki przeciw COVID-19. Wiadomo, że będą monstrualne. W połowie grudnia ub.r. belgijska sekretarz stanu ds. budżetu Eva De Bleeker zamieściła na Twitterze cennik szczepionek, które jej kraj zamierza kupić. Wpis szybko zniknął, lecz w sieci nic nie ginie i świat dowiedział się, ile Belgia zapłaci za jedną dawkę. Wyglądało to tak: Sanofi/GSK – 7,56 euro, Pfizer/BioNTech – 12 euro, Moderna – 18 dol., Johnson & Johnson – 8,50 dol., CureVac – 10 euro, Oxford/AstraZeneca – 1,78 euro. W wypadku firm Moderna, Pfizer i AstraZeneca te kwoty należy pomnożyć przez dwa, gdyż do uzyskania pełnej odporności wymagane jest przyjęcie dwóch zastrzyków.

Do końca zeszłego roku Komisja Europejska zakontraktowała u producentów setki milionów dawek. Tylko na konta Pfizer/BioNTech trafi z krajów Unii 7,2 mld euro. Moderna otrzyma 3,5 mld euro, a Oxford/AstraZeneca – 712 mln euro. Do

Na konta Pfizer/BioNTech trafi z krajów Unii 7,2 mld euro. Moderna otrzyma 3,5 mld euro, a Oxford/AstraZeneca – 712 mln euro.

tych szacunków nie wliczono kwot, które zapłacą Wielka Brytania, Stany Zjednoczone, kraje Zatoki Perskiej, Japonia, Australia i Nowa Zelandia. Moderna, która przed wybuchem pandemii wykazywała roczny zysk rzędu 50-60 mln dol., spodziewa się w tym roku przychodów w wysokości 18,4 mld dol.

Ogromne pieniądze trafiły też do producentów maseczek, nitrylowych rękawic, kombinezonów, środków do dezynfekcji itp. W Polsce Wiesław Żyznowski, właściciel notowanej na stołecznym parkiecie

spółki Mercator Medical, produkującej m.in. takie artykuły, dzięki spektakularnemu wzrostowi cen akcji jego firmy dołączył do grona giełdowych miliarderów.

W Stanach Zjednoczonych cena akcji spółki Zoom Video wzrosła o 446%. Firma produkuje popularne oprogramowanie służące do organizowania videokonferencji w sieci. Świetne interesy robią producenci podzespołów komputerowych – procesorów, pamięci, dysków SSD itp. W związku z upowszechnieniem się zdalnej pracy i nauki gwałtownie wzrósł popyt na komputery i laptopy, a więc i ceny poszły w górę.

Pandemia wywarła przemożny wpływ na firmy zajmujące się sprzedażą w internecie. Przepływy pieniężne Amazona z działalności operacyjnej w roku 2020 wzrosły o 72%, do 66,1 mld dol., w porównaniu z 38,5 mld dol. w roku 2019. Chiński gigant Alibaba Group miał w ubiegłym roku przychody sięgające prawie 34 mld dol., co oznaczało

wzrost o 37% w odniesieniu do roku 2019. Także mniejsze firmy działające w tym obszarze gospodarki odnotowały wzrost zysków.

Rozkwitły spółki zajmujące się dostawami przesyłek kurierskich i logistyką. Deutsche Post DHL Group wstępnie ogłosiła, że skonsolidowane zyski za rok 2020 osiągną 4,8 mld euro, co znacznie przekracza wcześniejszą prognozę, która szacowała je na 4,1-4,4 mld euro. Amerykański FedEx zanotował dochód rzędu 71 mld dol. Grupa DPD w 2020 r. zadowolila się przychodem

ok. 11 mld euro, w stosunku do 7,8 mld euro w roku 2019. Również polska spółka InPost poprawiła swoje wyniki finansowe i za ok. 565 mln euro nabyła w ostatnich dniach francuską platformę przesyłek e-commerce Mondial Relay.

Rozkwit handlu internetowego oraz usług logistycznych i kurierskich doprowadził do tego, że... zaczęto brakować kartonu, z którego robione są opakowania. Część ekspertów przewiduje, że w przyszłości nie zrezygnujemy z tych usług i zakupy w sieci staną się jeszcze bardziej popularne. Nie wróży to najlepiej właścicielom galerii handlowych. Czas pokaże, czy ta prognoza się sprawdzi.

Kasa za obietnice

Kolejną dziedziną, którą pandemia wyniosła na szczyty finansowego powodzenia, jest biotechnologia. Na firmy, które dotychczas specjalizowały się w niespełnionych obietnicach, gdy tylko zakomunikowały, że mają pomysł na szczepionkę albo lek na COVID-19, spadał deszcz gotówki. I to mimo ostrzeżeń analityków, że może to być bardzo ryzykowne. Wszak koszty badań są astronomiczne, a finalny wynik niepewny.

Pierwszą polską spółką giełdową, która błysnęła zapowiedzią podjęcia prac nad lekiem na covid, był lubelski Biomed. Miał się zająć produkcją preparatu z osocza ozdrowieńców o roboczej nazwie Immunoglobulina anty-SARS-CoV-2. W sierpniu ub.r. spółka uzyskała grant Agencji Badań Medycznych w wysokości 5 mln zł, a w październiku Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej dołożyło Biomedowi na budowę Centrum



Zakład produkcji
szczepionek firmy
BioNTech w Marburgu.

procesu produkcyjnego antygeny kandydata na szczepionkę na COVID-19 o roboczej nazwie NVX-CoV2373 oraz przeprowadzenia w zakładzie Spółki prób technicznych procesu w skali komercyjnej". W dalszej części komunikatu zaznaczono, że w przypadku kontynuacji współpracy zaistnieje możliwość włączenia zakładu spółki Mabion w łańcuch wytwórczy Novavaksu w zakresie komercyjnego wytwarzania substancji czynnej dla Amerykanów.

W gazetach pojawiły się tytuły, że w drugim lub trzecim kwartale Mabion, wspólnie z Amerykanami,

będzie produkował szczepionkę. Kurs akcji wystrzelił w górę i wkrótce za jedną trzeba było płacić 103 zł! Ostatecznie ustabilizował się na poziomie ok. 80 zł. Niejako w cieniu medialnego sukcesu przemknęła informacja o przygotowywanej emisji nowych akcji spółki. Spodziewano się uzyskać ponad 100 mln zł, co w tych okolicznościach nie powinno być problemem. Środki te z pewnością na jakiś czas zaspo-

Innowacji Biotechnologicznych BCG 29,18 mln zł.

Akcje spółki, które w marcu 2020 r. kosztowały ok. 70 gr, podrożały w lipcu do ponad 29 zł, by następnie stanąć do 8-9 zł w grudniu. Po zapowiedzi rozpoczęcia negocjacji z Agencją Badań Medycznych w sprawie warunków i zasad wykorzystania wyników niekomercyjnego badania klinicznego preparatu do celów komercyjnych ich cena znów poszła w górę i waha się w przedziale 16-19 zł. Za jakiś czas dowiemy się, czy szumnie zapowiadany polski lek na covid okaże się sukcesem, czy medialną gwiazdą jednego sezonu.

Pewne jest, że dwie amerykańskie firmy już produkują leki, które mają pozytywny wpływ na leczenie covidu i zostały pod koniec zeszłego roku w trybie awaryjnym dopuszczone do stosowania przez US Food and Drug Administration (FDA). Chodzi o koncern Eli Lilly produkujący specyfik o nazwie Bamlanivimab oraz spółkę Regeneron Pharmaceuticals, która ma w ofercie REGN-CoV-2.

Sukces ten natychmiast przełożył się na wyniki finansowe i notowania akcji obu firm. Wszak na giełdzie handluje się nadziejami na przyszłe zyski. Obecna przez lata na Giełdzie Papierów Wartościowych biotechnologiczna spółka Mabion uchodziła

wśród inwestorów za perspektywiczną. I to mimo faktu, że nie wykazywała zysków. Źródłem pieniędzy były kolejne emisje akcji, dotacje unijne i środki przekazywane jej przez głównych udziałowców. Na przełomie marca i kwietnia ub.r. kurs akcji spółki sondował historyczne minima na poziomie 20 zł. Miało to związek z decyzją o wycofaniu wniosków rejestracyjnych leku o nazwie MabionCD20 złożonych w Europejskiej

Ani jeden z 19 projektów, którym przyznano dotacje z Agencji Badań Medycznych, nie dotyczył prac nad szczepionką.

Agencji Leków w czerwcu 2018 r. i maju 2019 r. To rodzimy odpowiednik popularnego leku onkologicznego Rytuksymab, produkowanego przez koncern Roche, sprzedawanego pod nazwą handlową MabThera. Natychmiast pojawiły się plotki, że spółce wkrótce skończą się pieniądze i nastąpi bardzo przykry dla akcjonariuszy finał.

Jeszcze w styczniu br. notowania akcji Mabionu oscylowały wokół 20 zł. Wszystko zmieniło się 3 marca. Tego dnia pojawił się komunikat o zawarciu umowy z amerykańską firmą Novavax, na mocy której miało dojść do transferu „technologii

koją potrzeby finansowe Mabionu. A co z nadwiślańską produkcją szczepionki na covid wspólnie z amerykańską firmą Novavax? Pożyjemy, zobaczymy.

Skromne datki dla profesorów

W latach 2007-2020 w nowoczesne laboratoria, centra naukowo-badawcze, parki technologiczne, inkubatory przedsiębiorczości itp. wpomowano miliardy euro z dotacji unijnych. Można było oczekiwać, że nasza naukowa elita podejmie wyzwanie i opracuje szczepionkę na covid. Wydawać by się też mogło, ▶

► że na fali zagrożeń spowodowanych koronawirusem rządzący obficie sypną groszem na badania. Otóż nic bardziej mylnego!

Prof. Andrzej Mackiewicz z Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu już w lipcu 2020 r. zapewniał Polską Agencję Prasową: – Za półtora miesiąca będziemy mieli gotowy prototyp szczepionki na SARS-CoV-2. Będzie działała, mogę podpisać cyrograf z samym diabłem.

W październiku notowana na NewConnect Inno-Gene SA, która nieźle wyłynęła na pandemii, m.in. opracowując wykrywające koronawirusa testy o nazwie SARS-CoV-2 RT-LAMP Fast Detection Kit, zawarła z kierowaną przez profesora firmą COVIDVAX sp. z o.o. umowę, której celem było wsparcie prac nad szczepionką. I głośno tym faktem się chwaliła. Na początku grudnia umowa została rozwiązana z powodu „wprowadzenia na rynek trzech komercyjnych szczepionek przeciwko COVID-19 i rozpoczęcia szczepień populacyjnych, co utrudnia możliwość pozyskania zewnętrznego finansowania na badania kliniczne i komercjalizację szczepionki przez COVIDVAX sp. z o.o.”. Niezrażony tym profesor wraz z zespołem kontynuuje prace, mimo że nie otrzymał ani grosza z dotacji rządowych. Notowania akcji Inno-Gene SA zostały zaś zawieszono w połowie lutego br. – jako powód podano

obawy zarządu giełdy co do wiarygodności informacji dotyczących sytuacji finansowej spółki.

Na Politechnice Warszawskiej pracami nad polską szczepionką kieruje prof. Tomasz Ciach. Badania finansuje rektor uczelni. O wsparciu rządowym nic nie wiadomo.

Narodowe Centrum Badań i Rozwoju wsparło kwotą niemal 4 mln zł projekt „Badania nad uzyskaniem nowatorskiej szczepionki przeciwko wirusowi SARS-CoV-2 odpowiedzialnemu za chorobę COVID-19” realizowany przez Instytut Immunologii i Terapii Doświadczalnej im. Ludwika Hirszfelda PAN.

Wojewódzki Szpital Specjalistyczny we Wrocławiu Ośrodek Badawczo-Rozwojowy otrzymał z NCBR

z Politechniki Wrocławskiej. W sumie rozdzielono ponad 12 mln zł.

Kilkadziesiąt milionów złotych na badania różnych aspektów pandemii rozdzieliła w roku ubiegłym Agencja Badań Medycznych w ramach kolejnej „szybkiej ścieżki”. Jednak ani jeden z 19 projektów, którym przyznano dotacje, najczęściej w granicach 3-4 mln zł, nie dotyczył prac nad szczepionką.

Pewien rozgłos w marcu ub.r. zyskał prof. Jan Walewski, dyrektor Narodowego Instytutu Onkologii im. Marii Skłodowskiej-Curie – Państwowego Instytutu Badawczego, który ogłosił, że wspólnie z Instytutem Biochemii i Biofizyki PAN oraz innymi naukowcami podjął prace nad lekiem na COVID-19. Pomysł

Prof. Andrzej Mackiewicz z Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu już w lipcu 2020 r. zapewniał, że za półtora miesiąca będzie gotowy prototyp szczepionki na covid.

1,9 mln zł na projekt „Profilowanie serologiczne chorych na COVID-19 jako narzędzie do wskazania efektywnych epitopowych składników szczepionek przeciw SARS-CoV-2 oraz jako narzędzie wspomagające kontrolę transmisji wirusa w populacji na terenie Polski”.

Wyzwanie podjęła również Sieć Badawcza Łukasiewicz, a konkretnie Instytut Chemii Przemysłowej – zespół naukowców pod kierunkiem dr hab. Małgorzaty Kęsik-Brodackiej, który wraz z zespołem prof. Marcina Dągła z Politechniki Wrocławskiej znalazł się wśród trzech polskich ośrodków wybranych do realizacji międzynarodowego projektu o nazwie „Badania nad szczepionką przeciwko wirusowi SARS-CoV-2 oraz wsparcie prac badawczych nad poszukiwaniem skutecznej terapii”. Ile pieniędzy dostali? Nie wiadomo.

30 marca 2020 r. Narodowe Centrum Nauki ogłosiło konkurs na dotacje w ramach projektu „Szybka ścieżka dostępu do funduszy na badania nad COVID-19”. Wsparcie otrzymało 19 zespołów, przyznane kwoty to od 135 tys. zł dla dr hab. Joanny Sułkowskiej z Uniwersytetu Warszawskiego do 1,6 mln dla prof. Marcina Dągła

polegał na połączeniu bakteriofaga z nanoprzeciwciałami. Brzmiało nieźle, lecz potem zapadła cisza.

W bazie danych Ośrodka Przetwarzania Informacji – Państwowego Instytutu Badawczego widnieją dwa projekty naukowe związane z covidem. Pierwszy to „Odpowiedź Polski na COVID-19: działania rządu i kontekst międzynarodowy”, a drugi – „Wybrane aspekty polityki gospodarczej w państwach Azji Wschodniej”. Nie znalazłem ani jednego dobrze rokującego projektu badawczego, którego celem byłoby opracowanie polskiej szczepionki przeciw COVID-19. Także pieniądze, które rząd przeznaczył na badania nad pandemią, są żadne. Badania istniejących leków pod kątem ich zastosowania w leczeniu pacjentów mają sens, lecz nie można ich nazwać przełomowymi. A wszelkie zapowiedzi budowy fabryki szczepionek nad Wisłą czy stworzenia instytutu naukowo-badawczego, który zajmowałby się tą tematyką, to propagandowa hucpa podłana narodowym sosem. Ostatecznie wszystko i tak sprowadzi się do zawołania: kasa, misiu, kasa!

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeklad.pl



Helena Leman

„Głosowaliście na nich, wieśniaki i nadal ich popieracie. Niech wam jeszcze bardziej dadzą w dupę. Dobrze wam tak, wiejskie przygłupy”, komentarz o takiej treści 5 marca zamieścił burmistrz Prabuty Marek Szulc pod filmikiem Stowarzyszenia AGROunia, przedstawiającym przepychanki rolników z policją podczas wizyty Mateusza Morawieckiego pod Wrześnią, gdzie premier otwierał wschodnią obwodnicę. Na te słowa burmistrza prawie natychmiast zareagowało stowarzyszenie: „Zapamiętajcie tego człowieka. Zapamiętajcie, jak władze, nawet te lokalne, gardzą ludźmi i swoimi wyborcami. (...) Tak haniebnym słowom w stronę AGROunii, rolników, mieszkańców wsi dawno nie słyszeliśmy. Mógł je napisać tylko człowiek, który nie rozumie polskiej prowincji i jej problemów. (...) Wzywamy pana Marka Szulca do przeprosin”.

Gmina miejsko-wiejska Prabuty ma ponad 13 tys. ludności, z tego ponad 8 tys. mieszka w mieście. Liczby mogą być niedokładne, bo wiele osób wyjechało za granicę.

Po paru dniach od wpisu burmistrza emocje wcale nie opadły. – Z początku nie mogłem uwierzyć, że burmistrz mógł coś takiego napisać – mówi rolnik ze wsi Kołodziejów w gminie Prabuty. – Zanim Szulc objął urząd, wiele lat był dyrektorem Domu Kultury w Prabutach, a potem asystentem senatora Leszka Czarnobaja z PO. Przed wyborami jeździł po okolicznych miejscowościach i przekonywał, żeby na niego głosować. Nie jesteśmy już młodzi, z żoną prowadzimy gospodarstwo rolne, żyjemy skromnie, ale to nie powód, żeby nas wyśmiewać. Jest mi bardzo przykro. Najlepiej, żeby odszedł.

– Nie głosowałam na niego w ostatnich wyborach, ale w poprzednich tak – wyjaśnia rolniczka z tej samej wsi. – To nie pierwszy taki jego wyskok, obrażał nas już wcześniej, a przecież drugą kadencję wygrał dzięki głosom sołectw. Teraz tu już tak ludziom podpadł, że zaufania raczej nie odbuduje. Może dla gminy byłoby lepiej, gdyby zastąpił go ktoś młodszy? – zastanawia się. Gospodyni zaraz musi kończyć rozmowę i pomóc córce w karmieniu zwierząt, bo dziewczyna studiuje i za

Burmistrz nam podpadł

Nazywając mieszkańców gminy Prabuty „wiejskimi przygłupami”, burmistrz Marek Szulc spalił za sobą wszystkie mosty



Zarzewiem konfliktu była przepychanka rolników ze Stowarzyszenia AGROunia z policją podczas wizyty Mateusza Morawieckiego pod Wrześnią, gdzie premier otwierał wschodnią obwodnicę.

chwile zaczyna zajęcia zdalne, druga córka już po studiach, pracuje w laboratorium w Anglii.

– Ja gospodarstwa nie mam, ale mieszkam na wsi i też czuję się obrażona słowami burmistrza – woła młoda mieszkanka Pilichowa, opuszczając szybko w samochodzie. – Nawet ludzie z miasta są zniesmaczeni, brzydko się zachowują – wtóruje jej koleżanka. W Trumiejkach także słysząc krytykę, starsza kobieta, która śpieszy na mszę, nie akceptuje takich wypowiedzi, ale odwołania wódatza nie chce. – Niech już zostanie, ale niech zachowuje się jak burmistrz – dodaje. Tylko pani sklepowa, mieszkająca w innej gminie, wtrąca, że przy muzyce Marka Szulca świetnie się tańczyło. Wielu mieszkańców o przeprosinach burmistrza słyszało, ale mało kto je czytał, chyba że młodzi, którzy bardziej siedzą w internecie.

Winny Johnnie Walker

W niedzielę, 7 marca, burmistrz przeprosił w internecie AGROunię.

8 marca na facebookowej stronie stowarzyszenia pojawiło się jego oświadczenie: „Szanowni Państwo. W piątek zamieściłem w zbyt emocjonalnym i nieprzemyślanym komentarzu do filmu Agrounii na fb sformułowania, które nigdy nie powinny paść z mojej strony. Chcę wszystkich Państwa szczerze przeprosić za tą chwilę słabości i bezmyślności. Oświadczam, że bardzo wiele zawdzięczam środowisku sołectki gminy Prabuty i jest mi wstyd, że je rozczarowałem. PRZEPRASZAM” (pisownia oryginalna). To oświadczenie Marek Szulc zamieścił również na swoim facebookowym profilu i w portalu internetowym gminy Prabuty.

W mniej oficjalnej części przeprosin na stronie AGROunii burmistrz tłumaczy, że „Kukizowi kiedyś na konto się włamał się haker Johnnie Walker i mnie się przytrafiło. Jest mi wstyd, tym bardziej, że Kołodziejczaka /szefa Agrounii/ lubię za determinację i konsekwencję”. Dodaje, że się wygłupił i tyle, a ze swoimi rolnikami ma dobre relacje i tak pewnie zostanie. ▶

W tym samym czasie, gdy burmistrz przeproszał w internecie, do rady miasta wpłynął list otwarty oburzonych mieszkańców gminy, którzy czują się dzieleni na społeczność miejską i wiejską, „od kilku miesięcy są atakowani i dłużej nie będą znosić chamskich wpisów, obelg, wyzwisk i prostackich zachowań”. Burmistrz, nazywając ich „wiejskimi przygłupami”, spalił za sobą wszystkie mosty – podkreślił w piśmie. Zażądali od Rady Miejskiej w Prabutach odcięcia się od jego polityki wobec mieszkańców wsi oraz zmniejszenia mu wynagrodzenia. W przypadku braku zrozumienia ich żądań zagrozili powołaniem komitetu protestacyjnego, który doprowadzi do referendum w sprawie usunięcia Szulca.

List w mediach społecznościowych opublikował sołtys wsi Kołodzieje i Kowale i gminny radny Bogusław Pajewski.

„Miej honor i odejdz”, „Zrezygnuj”, „Johnnie Walker to kiepski doradca” – ciągniki z takimi hasłami pojawiły się w środę, 10 marca, pod Prabuckim Centrum Kultury, gdzie odbywała się nadzwyczajna sesja rady miasta. Na pikietę zjechało kilkudziesięciu

„Głosowaliście na nich, wieśniaki i nadal ich popieracie. Dobrze wam tak, wiejskie przygłupy”, napisał burmistrz.

rolników. Najpierw radni wystuchali cytowanego wyżej listu mieszkańców, który odczytał przewodniczący rady Włodzimierz Wiśniewski, następnie głos zabrał sam Marek Szulc.

– Czuję się z tym bardzo źle – mówił – dlatego że zapominałem, że Facebook ma nie tylko piękną rolę informacyjną, ale również niszczyielskie, autodestrukcyjne możliwości. Przepraszam i w tym momencie na forum wszystkich rolników, mieszkańców miasta i gminy Prabuty, a zwłaszcza mieszkańców obszarów wiejskich, którym bardzo dużo zawdzięczam w ostatnich i poprzednich wyborach.

Gdy radny Adam Chrostek zapytał, czy przeprosiny przypadkiem nie padły pod groźbą wytoczenia sprawy sądowej przez AGROunię, Marek Szulc odpowiedział, że faktycznie to miało wielki wpływ na jego decyzję. Ostatecznie rada zdecydowanie odcięła się od słów burmistrza na Facebooku AGROunii i od jego



innych, wcześniejszych, kontrowersyjnych opinii. „Mieszkańcy Miasta i Gminy Prabuty zasługują na szacunek i właściwe traktowanie. Chcemy zapewnić, że rozumiemy Państwa wzburzenie, gdyż również jesteśmy rozczarowani postawą burmistrza (...). Nadmieniamy, iż nie godzi się, by osoba sprawująca tę funkcję w tak uwłaczający sposób wypowiadała się o rolnikach i każdej innej osobie”, napisano w stanowisku. Jednak wniosek o obniżenie burmistrzowi pensji rada odrzuciła, sugerując włodarzowi, by w ramach zadośćuczynienia przekazał środowiskom wiejskim, czyli sołectwom i kołom gospodyń, środki finansowe z własnego wynagrodzenia.

Fatalny wpis poróżnił gminną społeczność, a cała sprawa odczytywana jest politycznie. Zwolennicy ustąpienia burmistrza postrzegani są jako sympatycy obecnej władzy.

Adam Chrostek: – Środowisko u nas jest podzielone, jak w całej Polsce, i nie trzeba tego podziatu pogłębiać. Trzykrotne przeprosiny były wystarczające. Głosowałem też przeciwko obniżeniu burmistrzowi pensji, gdyż rada zaproponowała finansowe zadośćuczynienie z jego strony. Wędlug mnie to wystarczy.

Arogancja czy zagubienie

– Burmistrz ma sam się ukarać? – pyta Bogusław Pajewski. – Przecież to absurd. Mnie ani decyzja rady, ani jego przeprosiny nie satysfakcjonują. Byłem za obniżeniem mu wynagrodzenia o 20% i zdania nie zmienię. Nie pierwszy raz na Facebooku wyzywał ludzi od pisiorów i wieśniaków.

W pierwszej kadencji naprawdę dobrze się rozumieliśmy. Nie przeszkadzały mi jego poglądy, to, że jeździł na protesty. Stałem za nim. Dogryzanie nam i obrażanie zaczęło się, gdy PiS wygrało wybory parlamentarne i prezydenckie. Czarę goryczy przełał ostatni wpis. Arogancja to delikatnie powiedziane. Jeżeli ma godność i honor, powinien złożyć mandat. Ja po sądach włożyć się nie zamierzam, ale sprawa prawdopodobnie będzie miała ciąg dalszy.

Jan Kłosiński, sołtys wsi Antonin i Kamienna, uważa podobnie. – Gdyby burmistrz był honorowym człowiekiem, toby zrezygnował – mówi. A gdy oponuję, że przecież przeprosił, oburza się: – Jakże przeprosiny? Gdzie one były? Kilka dni wisiały na stronie gminy, a potem zniknęły. Dobrze, że syn mi powiedział, bo ja w internecie nie siedzę. Ludzi trzeba umieć przeproszać. W ostatnich wyborach udziału nie brałem, bo nie było na kogo głosować. Albo nauczyciel, albo muzykant, co to za wybór dla rolnika? – pyta.

Sołtys Gdakowa Piotr Wieliczko tłumaczy, że wpis był na prywatnym profilu, a więc była to niejako sprawa prywatna. Tylko że sam burmistrz na sesji 10 marca wyjaśniał, że chyba nie zdawał sobie sprawy, że nie występował anonimowo, tylko podpisał się jako Marek Szulc.

Szerzej na spór patrzą kobiety. – Były zapowiedzi w gminie, że około 10 marca miało się odbyć wreszcie zebranie sołtysów, a tu już 20 marca minął i cicho sza – zwraca uwagę Justyna Kubiak, sołtyska Starego Kamienia. – A spraw nierozwiązanych przybywa. Rozumiem, że panuje epidemia, lecz sołtysów jest 20 i można ich jakoś przyjąć z zachowaniem zasad bezpieczeństwa. Burmistrza jako człowieka nawet lubię, w wielu sprawach mi pomógł: w sprawie drogi

i przystanków. Ale gdy się jest na takim stanowisku, trzeba ważyć słowa. Zwłaszcza że ogólnopolski wizerunek gminy na tym cierpi. Myślę, że burmistrz się zagubił, z tymi przeprosinami także. Po co mu ten Facebook? Jako osoba prywatna nie podpisałabym listu otwartego do rady przeciw niemu, ale ludzie poczuli się urażeni. A ja reprezentuję nie siebie, lecz sołectwo.

Irena Stoltmann, sołtyska Sypanicy, opowiada, że w jej wsi o tej sprawie mało się dyskutuje publicznie, bo trzy czwarte jej mieszkańców choruje na koronawirusa, jedna osoba zmarła, a kolejna leży w ciężkim

że burmistrz jest w izolacji domowej, a covid zdziesiątkował całe kierownictwo urzędu, więc nie ma kto odpisać na moje pytania. Ostatecznie jednak dzień później burmistrz odpisuje mi z domu. Wyjaśnia, że „jego przeprosiny znajdowały się na stronie Miasto i Gmina Prabuty oraz na profilu facebookowym Miasta i Gminy Prabuty od 8 do 14 marca, czyli tydzień. Ocena, czy to długo, czy krótko, będzie zawsze subiektywna”. Na pytanie, dlaczego w Biuletynie Informacji Publicznej nie można odsłuchać przebiegu rady nadzwyczajnej, podczas której przeproszał

zachowując odległości, w maskach. Nawet gdyby przyszedł dwie osoby, liczyłby się sam gest. Z honorem by z tego wyszedł. A tak uraza została, niektóre wioski mu nie popuszczają. Żeby dzisiaj prowadzić gospodarstwo rolne, trzeba mieć głowę na karku, młodzież z rodzin wiejskich się kształci. Jest w mojej wiosce rolnik, co się nastawił na ziemniaki, dwaj synowie po studiach razem z nim rozwijają gospodarstwo o powierzchni ponad 1000 ha, a w gminie jest takich gospodarstw więcej. Wieś się zmienia.

Na razie tak do końca przeprosiny burmistrza przyjęła jedynie AGRO-unia. – Nie jesteśmy mściwi. Powiedziało coś i przeprosił. Na tę chwilę sprawa jest więc zamknięta – mówił Michał Kołodziejczak.

Dwie sytuacje: najpierw premier pod Wrześnią umykający chyłkiem przed szarżą 30-latków z AGROunii, pędzącą przez pola niczym husaria, z powiewającymi transparentami nad głową. Potem burmistrz gminy Prabuty komentujący niewybrednie to wydarzenie i przepaszający mało przekonująco. W obu przypadkach zabrakło po prostu dialogu. Co by się stało, gdyby Mateusz Morawiecki zatrzymał się chwilę i porozmawiał z rolnikami? Co by się stało, gdyby Marek Szulc 7 marca objechał sołectwa i przeprosił mieszkańców? Może nie byłoby całego zamieszania, listu otwartego i pikiet. Może gmina by się tak nie podzieliła.

Helena Leman

h.leman@tygodnikprzeglad.pl

Lepiej, gdyby burmistrz osobiście przeprosił. Z honorem by z tego wyszedł. A tak uraza została, niektóre wioski mu nie popuszczają.

stanie w szpitalu. – Praktycznie nie wychodzimy z domów, obawiając się zakażenia – podkreśla. – Z mężem do Sypanicy przyjechaliśmy przed laty z Sopotu, kupiliśmy 14-hektarowe gospodarstwo nad jeziorem, obsadziliśmy je lasem. Mamy pomost, plażę, organizujemy imprezy, wesela. Burmistrza znam osobiście, bo często grywał i śpiewał na naszych uroczystościach rodzinnych, świetnie naśladuje Louisa Armstronga. Dla Sypanicy wiele zrobił. Postawił zjeżdżalnię dla dzieci, wiatkę na boisku, odnowił remizę i położył nową posadzkę w świetlicy i chodnik przy głównej drodze. Siedem lat temu, gdy zostałam najlepszym sołtysiem w powiecie, obiecał mi też drogę we wsi, ale do dzisiaj jej nie ma. Lecz niedawno, po tej burzliwej sesji, przekazał mi przez radnego, że jej budowa się zaczyna. Rzeczywiście w drugiej kadencji burmistrz jakby trochę osiadł na laurach, no i ma te swoje słabostki. Pierwsze nieładne wpisy pojawiły się latem zeszłego roku, usunął je po kilku dniach, ale po co tak drażnić ludzi?

Pani Irena czeka teraz na spotkanie sołtysów z burmistrzem, mówi, że nie było go od pół roku. A kiedyś, za poprzednika Marka Szulca, takie spotkania odbywały się co miesiąc, lecz wtedy były inne czasy – dodaje.

Zerwany dialog

Gdy 23 marca dzwonię do urzędu gminy, pani w sekretariacie mówi,

mieszkańców, odpowiada, że „na granie tej sesji opracowywała firma, która realizuje przekaz. Poprosiłem przed chwilą, by się z tym ogarnęli. Myślę, że to się ukaże najpóźniej jutro”. Na koniec zaznacza, że choć mieszkańcy prabuckich sołectw nie byli adresatami jego komentarza, postanowił obłożyć siebie nawiązką na rzecz kół gospodyń, która wyniesie 2,5 tys. zł. A zebrania sołtysów nie mógł zwołać z wiadomego względu, do tematu niefortunnego komentarza wróci przy pierwszej okazji.

– Jeszcze lepiej byłoby, gdyby burmistrz osobiście przeprosił – mówi Irena Stoltmann. Stanęlibyśmy pod sklepem, na świeżym powietrzu,

2 kwietnia, krótko po 85. urodzinach, odszedł

Marek Jurkowicz

dziennikarz, wydawca, były redaktor naczelny „Płomieni”, „Gazety Białostockiej”, zastępca redaktora naczelnego „Trybuny Ludu”, sekretarz Międzynarodowej Organizacji Dziennikarzy (IOJ).

Pasjonat polityki, aktywista ruchu młodzieżowego, wyróżniający się działacz Związku Młodzieży Socjalistycznej. Życiem i pracą związany z lewicą, krzewił i bronił lewicowej wizji przyszłości Polski. Takim będziemy Go pamiętać.

Andrzej Bajorek, Franciszek Ciemny, Jan Cofalka, Henryk Czerski, Krystyn Dąbrowa, Bogdan Jachacz, Marek Jaśkiewicz, Andrzej Gordon, Janusz Kubasiewicz, Andrzej Kuper, Andrzej Kupich, Zdzisław Kurowski, Andrzej Łachut, Andrzej Majkowski, Maciej Matyjaszczyk, Jerzy Stefański, Kiejstut Szymański, Sławomir Tabkowski, Marek Walicki, Bogdan Waligórski, Jerzy Zieliński



Powrót analfabetyzmu

Kto nauczy pisać i czytać Zuzie i Antosiów?
Zdalna nauka w obecnej formie oznacza
cofnięcie się w edukacji

Beata Igielska

Zuzia i Antoś rano logują się na lekcje. Ich inicjały świecą na ekranie komputera. Nauczyciel wmawia sobie, że jest OK. Samotny pijący ojciec czy matka zdążyli przez rok się nauczyć, że jak dzieci się nie zalogują, znowu zainteresuje się nimi opieka społeczna i trafią do rodziny zastępczej lub do domu dziecka. Nie będzie 500+. Już tak się zdarzało w przeszłości, ale dostali od systemu kolejną szansę. Do takiej tragedii dopuścić nie można, żeby przelewu zabrakło. Tak więc Zuzia i Antoś są głodni, robią, co chcą. Ale... świecą się. A to, że nigdy nie zgłaszają się do odpowiedzi, to nic, w szkole też się nie zgłaszali. Nauczyciel widzi inicjały i zagłusza ewentualne wyrzuty sumienia. Tłumaczy sobie: nic więcej przecież zrobić nie mogę.

Niewielkie miasto w województwie pomorskim okolone wsiami. Szkoła podstawowa ma 700 uczniów, z czego ok. 10% zniknęłoby z systemu, gdyby nie starania kadry pedagogicznej. To ogrom dzieci. Dyrekcja korzysta z możliwości, jakie daje rozporządzenie o nauce zdalnej (z powodu braku warunków do nauki w domu należy zorganizować miejsce w szkole). Jak w niektórych szkołach prywatnych prowadzonych przez organizacje nadużywające tej furtki 100% dzieci uczy się stacjonarnie, tak w tym sennym miasteczku 50-60 dzieci uczy się na terenie szkoły. Bo? Nie mają w domu choćby minimum bezpieczeństwa. Nie mogą nawet wysłuchać zdalnej lekcji. 15-20% tych chodzących do szkoły mieszka w okolicznych wsiach. Miejskie dzieci w większości zaś wywodzą się z rodzin żyjących ze świadczenia 500+, które bynajmniej nie

jest przeznaczone na edukację. Inna grupa pochodzi z rodzin wielodzietnych. Pięcioro, sześcioro, dwa pokoje – nie ma szans na naukę online, choć rodzice bardzo się starają. Do tego dzieci z rodzin wędrujących: jak szkoła zaczyna za bardzo się interesować ich sytuacją, cyk, zmiana placówki. I tak to się toczy.

Tymczasem z danych UNESCO wynika, że młodzi Polacy uczą się zdalnie już ponad 35 tygodni. Jesteśmy w europejskiej czołówce. Dłużej poza szkołą przebywali tylko uczniowie z Macedonii (43 tygodnie), Bośni i Hercegowiny (38 tygodni), Słowacji (37 tygodni) i Łotwy (36 tygodni).

Zepsute jak szkolne laptopy

Z początku dyrektor myślał, że jak rozda komputery szkolne, problem z logowaniem się na zajęcia zniknie. Był w błędzie. Sprzęt służył do gier, polegiwał w kącie, a wracał uszkodzony. Teraz więc dyrektor ściga Zuzie i Antosiów do szkoły. To duży budynek, dzieci mogą być bezpiecznie rozlokowane. Przynajmniej zjadają obiad. A i matce to dobrze robi, bo musi jakoś z rana ogarnąć dzieciaki, ubrać je, dać coś zjeść. W twardym lockdownie niestety obiadu nie zjedzą. Wrócą do beznadziejnej codzienności.

– Dotarliśmy do tych uczniów przez pedagogów, którzy albo sami są kuratorami, albo ściśle z kuratorami współpracują. Tylko że rodziny nie boją się ani psychologa, ani pedagoga. Dopiero jak uruchomimy opiekę społeczną lub ruszymy sprawę przez sąd rodzinny, coś drgnie – opowiada dyrektor.

W pandemii szkoły do takich środków uciekają się rzadziej. Tyle że jeśli same z siebie nie zaczną szukać dróg

– zawiesza się. – W tej chwili ok. 40% uczniów powinno być tu z nami. Te 40% to już analfabeci! Nie robią nic. Albo robią tyle co nic. A to trwa już rok. Kiedy ósme klasy zaczęły się pojawiać na konsultacjach, nauczyciele zaczynali od... pisanie i czytania, od elementarnych rzeczy!

Dlaczego dzieci nie chcą być w szkole? Bo, po pierwsze, matka musi znaleźć książki i zeszyty leżące w nieładzie nie wiadomo gdzie, po

jedynie dzieci nielogujące się zupełnie. W tabelkach nie widać dramatów Zuż i Antosiów.

Przynajmniej czytać umieli

„My w tej chwili produkujemy biedę i niedouczzone pokolenie. Wiadomo, że u nas po podstawówce połowa tych dzieciaków nigdzie dalej nie poszła. Ale przynajmniej umiała czytać i pisać. Naprawdę nie wiem, co się dzieje z moimi uczniami. To przerażające. Brałam samochód i z mężem i synem jeździłam i szukałam dzieci. Do części tych domów bez kija bejsbolowego nawet wejść się nie da! Poza tym nie mam żadnych uprawnień, żeby to sprawdzać. Informowaliśmy policję, a oni rozkładają ręce. Nie ma komputera, nie ma netu, światło wyłączyli, to co mają zrobić? Matka z trudem zdanie po polsku składa, a ja jej dzieciakowi mam tłumaczyć przydawki... Przez internet, którego nie ma”, żali się jednej z aktywnych facebookowiczek nauczycielka z małej szkoły na ścianie wschodniej, bliżej Rzeszowa. Chodzą tam dzieci biedne. Rodziny są wielodzietne, dzieją się różne historie: bicie, znęcanie się. Część

Produkujemy w tej chwili biedę i niedouczzone pokolenie.

do tych uczniów, oni znikną kompletnie. Na lekcji online panuje spokój, depresji przez internet nie widać. Głodu też nie. Zuzia i Antoś już zapomnieli, jak się czyta i pisze, nawet jeśli w trzeciej klasie umieli jako tako dukać. W ich wieku najważniejsze jest ćwiczenie danej umiejętności. Nie ćwiczą, więc zapomnieli także, jak się liczy do 20. Rodzic im nie pomoże, bo sam ledwo co czytać, pisać i liczyć potrafi. Chyba że chodzi o wyciąganie zasiłków, to wtedy intelekt skacze na najwyższe rejestry.

– A na drugim biegunie są rodzice słuchający z dzieckiem lekcji, robiący z nim zadania i pompujący pieniądze w korepetycje od pierwszej klasy szkoły podstawowej. Z perspektywy mojego miasta wyraźnie widzę tę linię podziału społecznego. Bo nawet jeśli Zuzi i Antosiowi oferujemy dobre warunki do nauki, oni oraz ich rodzice nie patrzą na nas przychylnie. Musimy się uciekać do straszenia opieką społeczną. Dzwonimy, mówimy, na którą konkretnie godzinę dziecko ma przyjść do szkoły. Starsi uczniowie łączą się z klasą, z młodszymi pracujemy indywidualnie. Panie ze świetlicy w większości ukończyły nauczanie początkowe, więc dowiadują się od wychowawcy, co robić z dziećmi, i realizują materiał – mówi dyrektor.

W małej szkole, która liczy 200 uczniów, w wiosce popegeerowskiej w Zachodniopomorskiem, dzieci znikające z systemu uczą się w bibliotece szkolnej, średnio 15-16 osób. Nie wszystkie jednak udało się wyłapać. Poza tym nie ma warunków, by większej grupie zapewnić bezpieczeństwo epidemiczne. – Nie do wszystkich udało się dotrzeć, nie wszystkie chcą tu być – tłumaczy ze smutkiem dyrektorka. – Tak zupełnie szczerze?

drugie, trzeba ogarnąć dziecko przed postaniem do szkoły. Samą siebie ogarnąć i zmobilizować też. A po co? Czwarte klasy z tej popegeerowskiej wioski, mimo że zajęcia online są regularnie i ciekawie prowadzone, nic nie umieją.

– Naprawdę nie jest dobrze – wzdycha dyrektorka. W tej szkole podobnie jak na Pomorzu to pedagodzy i nauczyciele wyłapują znikające dzieci. Diagnostują problem i kierują na naukę online w szkole. Dzwonią albo jeżdżą do rodzin własnymi samochodami. Mimo pandemii. O dzieci walczy też gminny zespół

Matka z trudem zdanie po polsku składa, a ja jej dziecku mam tłumaczyć przydawki... Przez internet, którego nie ma.

interdyscyplinarny. Wszyscy szybko się zorientowali, że nie ma sensu dawanie sprzętu szkolnego. Znów podobieństwo do sytuacji z Pomorza.

Z kolei Warszawa, praska strona Wisły, gdzie mieszka sporo rodzin dysfunkcyjnych. Telefony do kilku podstawówek.

– Nie, no, u nas wszystko OK, problemu nie ma. Dopiero co robiliśmy ankietę dla Biura Edukacji. Nikt nie znika. Pani zadzwoni do szkoły większej, tam może być problem.

Dzwonię. Ależ skąd. Też nie ma problemu i wszystko pod kontrolą. Wszystko? Skąd wiecie, że za świecącą ikonką odbywa się jakakolwiek praca? Milczenie. Tego nikt nie bada. Po co? Dalej utrzymujemy tę e-fikcję.

W szkołach prowadzonych przez miasto badanie odbyło się w listopadzie 2020 r. Wtedy mimo podjętych działań szkoły utraciły kontakt z 209 uczniami. Z kolei w lutym 2021 r. – ze 167. Te liczby z Excela pokazują

rodzin żyje z niewielkich, kilkuhektarowych gospodarstw. Mają po dwie świnie, kury, krowę, sadzą ziemniaki, babcia ma rentę. Gospodarstwa są przeważnie zadłużone, matki co roku rodzą kolejne dziecko.

„Dopóki ta dzieciarnia chodziła do szkoły, a rodzice mieli nad głową bat w postaci nierealizowania obowiązku szkolnego, dopóty była nad nimi jakaś kontrola. Teraz dzieci zaczynają znikać, nikt nie wie, co się z nimi dzieje. Jak przyszedł czas sadzenia ziemniaków, połowy klasy nie było, ale była nad tym jakaś kontrola. Obietnice rządu – darmowy internet, darmowe tablety – oczywiście diabli wzięli. Na jedną rodzinę jest jeden telefon z minimalnym abonamentem. Korzystając z niego, mamusia żali się na cenę abonamentu na forum dla matek. Z jednej z klas wyparowała trójka, z innej... szóstka. To są ogromne liczby! Nauczyciele nie odpuścili i zaczęli jeździć po tych przysiółkach ▶

► rozsianych gdzieś po polach i lasach, ale nie mają żadnej siły sprawczej. Mogą najwyżej matce pogrozić paluszkami, a ona ma ich generalnie gdzieś. Mówi, że nie ma tabletu/kompa/telefonu, a na net jej nie stać”.

Kiedy ósme klasy zaczęły się pojawiać na konsultacjach, nauczyciele zaczęli od... pisanie i czytanie.

To z relacji facebookowiczki. Pod jej postem komentarze: „Mój syn ma 16 lat i chodzi do technikum leśnego. Od ponad roku nie był w szkole. Dzień takiego zwykłego dzieciaka – oczywiście skomputeryzowanego – wygląda tak: gdzieś do godz. 15 udaje, że się uczy. Najczęściej gra w jakieś gry – a jest uczniem najlepszego tego typu technikum w Polsce – i ryje ze śmiechu z kolegami. Kiedy wrzeszczę do niego przez drzwi, słysząc przekleństwa rzucane przez net, z pytaniem, czy ma lekcje, nieodmiennie słyszę: oczywiście tak, właśnie się uczę. Ci smarkacze przedstawili się na zupełnie inny tryb. Robią nas, jak chcą. Siedzą we własnej chacie, niczego im nie brakuje. Obiad podany, chodzimy wokół nich na paluszkach, bo mają te cholerne e-lekcje. Ja synowi nawet kawę robiłam, dopóki nie potapałam się, o co w tej imprezie chodzi. Pod moim blokiem widzę stada dzieciaków latających z kolegami. Nie wyglądają na załamane psychicznie. Za to mają mamusie za plecami, które odwalają za nie lekcje. Mój syn też próbował mnie wstawić w jakieś dzikie imprezy, ale albo pracuje sam, albo będzie kopał rowy melioracyjne. Po 15 obiad i na pierdzielenie w gry już bez żenady do 1-2 w nocy”.

Inna matka pisze: „Maluchy mają problem z czytaniem i pisanem, owszem. A starsi? Przecież oni od dawna nic nie robią”.

Zsuwamy się w pustkę

Sławomir Wittkowitz, przewodniczący Wolnego Związku Zawodowego „Forum-Oświata”, członek prezydium Forum Związków Zawodowych: – Katastrofa edukacyjna wiśi w powietrzu. I nie chodzi tu tylko o nieodpowiedzialność rodziców, że dzieci są niedopilnowane, pozostawione bez opieki z wyłączoną kamerą i mikrofonem. Do tego dochodzą

rodzice albo skrajnie roszczeniowi, albo niewymagający nic od dzieci, hodujący, a nie wychowujący, albo patologiczni. Ministerstwo obchodzi problem, cedując go na dyrekcje. Te zaś problem ukrywają. Dyrektorom

niekoniecznie zgłaszają go nauczyciele, bo to zostanie odebrane jako komunikat: ten sobie nie radzi z klasą. Taki obrót spraw jest ze stratą dla wszystkich dzieci, które nie były nauczone samodzielnej pracy. Siedzą w piżamie, czasem wywołane coś bąkną, by dać świadectwo, że są aktywne. Bezrefleksyjnie zsuwamy się w pustkę. Ministerstwo nie ma pomysłu, co dalej z edukacją w pandemii. Odpowiedzialność zrzuciło na dyrektorów. Najlepiej dziś być wizytatorem z kuratorium, który wytknie błędy. Najłatwiej powiedzieć, że nie radzą sobie dyrektorzy i nauczyciele. Nikt nie szuka rozwiązań, nie ma

Maluchy mają problem z czytaniem i pisanem, owszem. A starsi? Przecież oni od dawna nic nie robią.

konsultacji ze środowiskiem edukacyjnym. Te wszystkie zjawiska były w szkołach od lat. Ale nauka zdalna je obnażyła. Przy kontakcie bezpośrednim można było wiele spraw niwelować.

Przemysław Sadura, doktor habilitowany nauk społecznych z Wydziału Socjologii UW, zajmujący się m.in. nierównościami w systemie edukacji, podkreśla, że podstawą działań resortu edukacji powinno być budowanie dobrego programu psychologicznego dla uczniów powracających do szkół po nauce zdalnej.

– Gdy w Wielkiej Brytanii trwa dyskusja, jak unikać słów: opóźnienia edukacyjne, luki w wiedzy, u nas wrzuca się trudniejszą, nową formułę matury od roku 2023 oraz czwartą część egzaminu ósmoklasisty – zwraca uwagę Sadura. – To świadczy o kompletnym braku empatii rządzących, odklejeniu się od rzeczywistości. Bo tu chodzi nie tylko o nierówności w poziomie wiedzy uczniów, ale i o zajęcia dodatkowe, sport, to wszystko, do czego w tej chwili mają dostęp

jedynie dzieci z bogatych domów. Tak samo jak mają dostęp do dobrej opieki psychologicznej. Na naszych oczach tworzą się niesamowite podziały klasowe. Są rodzice zamożni, którym jednak brakuje kapitału emocjonalnego, żeby zrozumieć, że bycie z rówieśnikami, aktywność fizyczna są w wieku dorastania najważniejsze. Czasami rodziców fizycznie nie ma w domu. Tymczasem emocje nastolatków są mocno rozhuśtane. Widzą brak pieniędzy, boją się egzaminów, doskwiera im brak kontaktu z rówieśnikami. Na razie wszyscy koncentrują się na upadającym systemie ochrony zdrowia, na wysokiej śmiertelności. Gdy jednak ten problem nieco zostanie opanowany, dopiero szeroko otworzą się oczy społeczeństwu na problemy edukacyjne. W znanych mi szkołach podstawowych wielu drugoklasistów po półrocznej przerwie w nauczaniu stacjonarnym wróciło do szkół, nie umiejąc pisać i czytać. Jakby ten semestr nauki zdalnej nie istniał. Nauczyciele muszą

pracować online z tymi, którzy dzięki wsparciu rodziców poszli do przodu, i z tymi, którzy nie nauczyli się niczego. Współczuję.

Przemysław Sadura za ministra Dariusza Piontkowskiego proponował resortowi edukacji współpracę. Wiosną ub.r. stworzył na UW zespół, by zbierać i analizować dane o nierównościami w edukacji zdalnej, m.in. analizować dane z e-podręczników. Ponad dwa miesiące bezskutecznie prosił MEN o dostęp do danych. Całą sytuację nazwał komedią. Zespół nie pracuje.

Sprawy nie tknął również minister Przemysław Czarnek. Poproszony o statystykę znikania resort edukacji nie przysłał jej. Znaczą, że nadal nie jest zainteresowany gromadzeniem kłopotliwych danych. I to tyle, jeśli chodzi o problem znikania dzieci z systemem. Lepiej nadal grzebać w podręcznikach i szukać światła Ewangelii oraz twierdzić, że zwierzęta praw nie mają, bo istnieje prawo boskie.

Beata Igielska

b.igielska@tygodnikprzeglad.pl



Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

14 kwietnia będziemy już po raz trzeci czcić święto państwowe chrztu Polski... A przecież nie tylko data dzienna, lecz nawet data roczna tego wydarzenia nie jest pewna. I żadnej Polski wtedy jeszcze nie było, księstwo Polan (o ile w ogóle miało taką nazwę) obejmowało prócz dzisiejszej Wielkopolski w zasadzie jedynie Mazowsze. Do dziś też słyszy się opinię, że „Polska przyjęła chrzest z Czech, by nie przyjmować go z Niemiec”, tymczasem alternatywa taka w ogóle wtedy nie istniała, Polska nie była z Niemcami w żadnym konflikcie, a z faktu sojuszu z chrześcijańskimi Czechami (skądinąd lennem króla niemieckiego) nic jeszcze dla chrztu nie musiało wynikać. No i jak można było przyjmować chrzest z Czech, skoro nie było tam biskupstwa?!

Trzeba powtarzać do znudzenia: wprawdzie nie Polska, lecz nieznane z nazwy księstwo, wprawdzie nie w roku 966,

chrześcijański murowany kościółek, to brak jest innych świadectw tego kultu. I choć zapewne w tym samym czasie ochrzcił się już Kraków, była to wtedy dla Mieszka zagranica: Czechy.

To polskie opóźnienie nie powinno od razu gorszyć. Po pierwsze, sprawy mogły wyglądać inaczej, bo źródła średniowieczne mógł pochłonać czas. Po drugie, wszystkie wymienione kraje były położone na terenie dawnego Imperium Rzymskiego lub przynajmniej – jak Irlandia, Anglia, Niemcy czy Czechy – w jego możliwie bliskim sąsiedztwie. W niczym to jednak nie zmienia faktu, że po mitycznych Polanach chrześcijaństwo dosięgło już tylko Szwecji i Norwegii, Islandii i Grenlandii i że ten akt przedostatni (przed krajami bałtyckimi, ochrzczonymi w XIII-XIV w.) miał miejsce zaledwie kilkadziesiąt lat po naszym Mieszku. Jest rzeczą trochę groteskową, że z takim garbem zapóźnienia polski Kościół chce dziś ewangelizować Europę.

Wstydlivy chrzest Polski

lecz nie wiadomo kiedy, może nawet ćwierć wieku wcześniej (co zatem czcimy?! gdzie narodowa duma?!)) – w każdym razie przyjęliśmy chrzest z Niemiec. A konkretnie z bawarskiej Ratyźbony, bo tu było najbliższe biskupstwo (podległe arcybiskupstwu salzburskiemu). Co oczywiście nie znaczy, by Mieszko podążył aż do Ratyźbony, jego chrzest mógł się odbyć w roku 965 lub 966, podczas jednego ze zjazdów cesarza rzymskiego Ottona I z biskupami i książętami Rzeszy – w Magdeburgu bądź Kwedlinburgu.

W Polsce kłamię się nie tylko o historii najnowszej, lecz i najstarszej – przejaw to germanofobii czy kompleksów? Ochrzciliśmy się wszak na szarym końcu Europy. Nie tylko po Francji, Irlandii, Hiszpanii, Anglii czy Niemczech, ale po wszystkich właściwie krajach słowiańskich, takich jak Karantania – Słowenia (chrzest w roku 744), Chorwacja dalmatyńska (chrzest na przełomie VIII i IX w.) czy Państwo Wielkomorawskie (chrzest w 831 r.). Także po książętach czeskich, którzy już w 845 r. przybyli dla ochrzczenia się do wspomnianej Ratyźbony, a około lat 882-884 przyjęli chrzest ponownie, z rąk arcybiskupa Morawy, św. Metodego. Oraz po Bułgarach i Serbach, ochrzczonych kolejno w latach 866 i 867. Powie ktoś: przecież dopiero po nas ochrzciła się Ruś, ale i to nie będzie prawda, czy raczej nie cała prawda, bo choć rzeczywiście stało się to na przełomie lat 987 i 988, było jednak poprzedzone domniemanym chrztem księcia kijowskiego Askolda w 867 r., a w każdym razie chrztem w 957 r. księżny kijowskiej, św. Olgi (Helge), która już w 959 r. prosiła króla niemieckiego (jeszcze nie cesarza) Ottona I o przysłanie biskupa. Nawet Madziarowie, ochrzczeni formalnie w roku 974, wysłali już w 948 r. grupę swych możnych po chrzest do Konstantynopola, a w 963 r. ich poselstwo do Rzymu zwróciło się z prośbą o biskupa do papieża Jana XII. Wydarzeń tego typu nie sposób odnaleźć przed rokiem 966 w księstwie Mieszka. Bo choć w latach 40. X w. istniał już może w Poznaniu

Ale istnieją okoliczności jeszcze bardziej zasadnicze. Chan (car) Bułgarii, św. Borys, zanim się ochrzcił 100 lat przed Mieszkiem, napisał list do papieża Mikołaja I, w którym zawarł 106 (lub nawet 114) szczegółowych pytań dotyczących prawd wiary chrześcijańskiej. Wielki książę kijowski, św. Włodzimierz, zanim się ochrzcił 20 lat po Mieszku, rozważał podobno przyjęcie judaizmu (z sąsiedniej Chazarii), islamu (z sąsiedniej Bułgarii Wołżańsko-Kamskiej) bądź chrześcijaństwa, wahając się w tym ostatnim przypadku między wersją łacińską i grecką. Zarówno więc św. Borys, jak i św. Włodzimierz, zanim przyjęli chrzest, dokonali osobistego, głębokiego namysłu i nieprzypadkowo zostali po śmierci wyniesieni na ołtarze. O niczym takim nie słychać u Polan, odwrotnie: w czasach Mieszka brak nawet (poza Poznaniem) śladu działalności chrystianizacyjnej, nikomu też nie przyszła do głowy kanonizacja naszego księcia.

Bo też chrzest Mieszka miał oblicze czysto polityczne. I w tym całe nieszczęście. Wylącznie polityczna rola chrześcijaństwa przyjęła się bowiem w Polsce w następnych wiekach. Prawie 300 lat obywano się u nas bez rodzimego świętego, Kościół nie przejawiał zapалу do głębszego życia duchowego, za to gorliwie gromadził beneficja, z czasem zresztą, zamiast łączyć nas z Europą, odgradzał tylko od niej – jak w wieku XVII i jak obecnie. W przeciwieństwie też do Czech czy Niemiec Polska nigdy nie przeżyła poważniejszej herezji, nawet reformację przyniesiono z zewnątrz – dobitnie to świadczy o naszym religijnym chłódzie. Mieszko, wiążąc Polskę z Niemcami, a więc z Europą łacińską, okazał się wielkim mężem stanu. Czy jednak nie przydałby się nam raczej bułgarski chan Borys: nie tylko władca, lecz i zakonnik? Gdyby początki polskiego chrześcijaństwa były inne niż Mieszkowe, może i dziś byłibyśmy chrześcijanami.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Marcin Ogdowski

Miały być 3 mld euro offsetu i ponad 3 tys. nowych miejsc pracy (w Łodzi, Radomiu oraz u mniejszych poddostawców z całego kraju). I ośrodek badawczy dla co najmniej 30 inżynierów. Połowa maszyn powstałaby w Polsce, pierwsze trafiłyby do armii w 2017 r. Lotnicy spod znaku biało-czerwonej otrzymaliby trzy symulatory (pod jeden, w Darłowie, postawiono już fundamenty), zyskując niezależność szkoleniową. Komandosi, marynarze i żołnierze wojsk lądowych mieliby maszyny z najwyższej półki, w przypadku dwóch pierwszych rodzajów sił zbrojnych w liczbie zaspokajającej niezbędne potrzeby. Z 50 zamówionych śmigłowców dziś latałoby ponad 30, ostatnie Wojsko Polskie odebrałoby w przyszłym roku.

Niestety, pięć lat temu na drodze do realizacji tych planów stanął Antoni Macierewicz. Ówczesny szef MON stwierdził, że francuskie caracale są za drogie (kosztowały tyle, ile zobowiązania offsetowe) i że on znajdzie lepsze rozwiązanie. Skończyło się na kupnie... czterech maszyn dla sił specjalnych. Po drodze pojawiło się za to sporo wątpliwości co do rzeczywistych intencji Macierewicza, stojących za decyzją o unieważnieniu kontraktu z Airbusem. Trzeba mieć nadzieję, że po upadku rządów PiS temat ten zostanie podjęty przez komisję śledczą. Niezależnie od tego wojsko już teraz zмага się ze skutkami rezygnacji z zakupu śmigłowców wielozadaniowych. A problem dotyczy nie tylko armii – bez helikopterów trudno sobie wyobrazić ewakuację z terenów powodziowych, pomoc ofiarom karamboli (samo Lotnicze Pogotowie Ratunkowe nie wystarcza) czy choćby przetrzymywanie pacjentów z przepełnionych szpitali, z czym w pandemii mamy do czynienia na co dzień.

Na papierze sprawy nie wyglądają tak źle – cała flota śmigłowcowa WP liczy obecnie 248 maszyn 11 typów. Wśród nich są 54 helikoptery transportowe (Mi-8/14) i morskie (Mi-14) – i właśnie one miały zostać zastąpione caracalami. Poradzieckie Mi to maszyny solidne, sprawdzone w ekstremalnych warunkach, lecz z przyczyn politycznych nie można ich zastąpić nowymi egzemplarzami. W sytuacji, gdy średni wiek tych maszyn wynosi



Dramat w cieniu caracali

Wojsko zмага się ze skutkami rezygnacji z zakupu śmigłowców wielozadaniowych

niemal 40 lat (najstarszy Mi-8 to 50-latek), nie dziwią nieoficjalne informacje, że do lotu zdolnych jest najwyżej 25-30% śmigłowców. W przypadku Mi-14, służących m.in. do ratownictwa morskiego (misje SAR), oznacza to nie tylko problemy ze szkoleniem załóg, ale też z ratowaniem ofiar katastrof na Bałtyku. Cykliczne remonty czternastek nie zmieniają faktu, że płatowce maszyn nie mają dawnych parametrów wytrzymałościowych, silniki zaś są wyżyłowane. To dlatego Mi-14 nie siadają już na wodzie, a robotników podejmują z zawisu, przy użyciu wciągarek. Nie są to zresztą maszyny oryginalnie przystosowane do misji ratunkowych – pierwotnie wykorzystywano je do zwalczania okrętów podwodnych (ZOP). Marynarka

musiała jednak zlecić ich przebudowę, gdy Mi-14 latającym w misjach SAR skończyły się rezerwy.

Silni homeopatycznie

Przypomnijmy: w kontrakcie z Airbusem mowa była o 14 caracalach w wersji morskiej – sześciu ratowniczych i ośmiu ZOP. W 2019 r. rząd PiS podpisał umowę z włoską grupą Leonardo na dostarczenie czterech śmigłowców dla Marynarki Wojennej. Maszyny AW101 Merlin dotrą do nas do końca przyszłego roku, pełną gotowość do służby osiągną w 2024 r. Kupimy je za cenę jednostkową wyższą od caracali (całość zobowiązania wynosi 1,65 mld zł), nie zyskując przy tym żadnych korzyści offsetowych. I co najważniejsze, merliny będą ewenementem na skalę światową, łącząc cechy śmigłowców ratowniczych i ZOP. Nie oznacza to nic dobrego. Tonący ludzie nie będą mogli czekać, aż maszyna przewidziana do misji ZOP zostanie przystosowana do lotu ratunkowego. A przy czterech śmigłowcach nie ma co liczyć na gotowość do startu więcej niż dwóch maszyn jednocześnie – załogi muszą odpoczywać, śmigłowce wymagają przeglądów i napraw. Z wojska już dziś słychać, że ratunkowy charakter AW101 pozostanie jedynie opcją teoretyczną – lotnictwo morskie bardziej bowiem potrzebuje maszyn ZOP.

Merliny w zastępstwie caracali to typowy przykład homeopatycznej modernizacji wojska, z jaką mamy do czynienia za rządów PiS. Były już

antyrakiety Patriot oraz wyrzutnie HIMARS, których powinniśmy kupić co najmniej cztery razy więcej. Były samoloty F-35, których trzeba nam dwa razy tyle, pod warunkiem wszak, że zmodernizujemy wojska lądowe, w przeciwnym razie bowiem nie wykorzystamy 90% zdolności nowych maszyn. Wreszcie były wspomniane śmigłowce dla komandosów. Kontrakt z Francuzami zakładał dostarczenie siłom specjalnym ośmiu doskonale wyposażonych caracali. Po jego zerwaniu specjalsi ponad trzy lata czekali na obiecane przez Macierewicza inne maszyny. Ostatecznie w grudniu 2019 r. przekazano im cztery black hawki zmontowane w należących do Amerykanów zakładach w Mielcu. Przy niemal 700 mln zł za cały kontrakt jednostkowa cena maszyny amerykańskiej była o jedną czwartą niższa niż caracala. Ale też black hawki mają dużo skromniejsze możliwości transportu ludzi i ekwipunku. Na szczęście komandosi nadal korzystają z najmłodszych Mi-17, choć ich intensywna eksploatacja wkrótce wymusi kolejne zakupy.

Trwała niezdolność

A z tym może być problem – na nowe „śmigła” z białą-czerwoną szachownicą szybko się nie zanosi. Pod koniec marca br. Inspektorat Uzbrojenia poinformował o bezterminowym zawieszeniu programu Perkoz – zakładającego pozyskanie do 2026 r. 32 średnich śmigłowców wielozadaniowych. Miały one zastąpić najstarsze maszyny typu W-3 Sokół i przede wszystkim Mi-2. Tych pierwszych jest w wojsku 68 (to najmłodszy typ maszyn w naszej armii), drugich – 58. Mi-2 to weteran polskiego nieba, obecny na nim od ponad pół wieku. Większość egzemplarzy popularnego „czajnika” jest trwale niezdolna do lotu. Reszta zaś, wyposażona w słaby, paliwożerny silnik, archaiczną awionikę i pozbawiona skutecznych systemów obronnych, tylko teoretycznie nadaje się do roli śmigłowców wsparcia. O ile bowiem od biedy da się nimi przerzucić skromny desant, o tyle brakuje im nowoczesnego uzbrojenia rakietowego. Z jego brakiem borykają się również załogi śmigłowców szturmowych Mi-24. Wojsko Polskie dysponuje 28 „hokejami”, jak mówią o nich lotnicy. Zgodnie z założeniami

kolejnego dużego programu śmigłowcowego, o nazwie Kruk, w najbliższych latach Mi-24 miały zostać zastąpione co najmniej 32 helikopterami zachodnimi. Kruk utknął jednak w fazie analityczno-koncepcyjnej, co formalnie oznacza opracowywanie wymagań wobec dostawców, faktycznie zaś – zamrożenie projektu.

Łasy na spektakularne nagłówki dotyczące zakupów dla wojska Mariusz Błaszczak chętnie widziałby w miejsce Mi-24 amerykańskie śmigłowce AH-64 Apache. Rzecz w tym, że to najdroższe szturmowce świata, a jeśli rozpętało się burzę wokół „nieuzasadnionej wysokości

Orbán podpisał kontrakt na 36 helikopterów Airbusa, w tym 16 caracali.

kosztów”, trudno później przepchnąć jeszcze większe wydatki. Zwłaszcza gdy kasa świeci pustkami. Oficjalnie nie podano przyczyn, dla których zawieszono Perkoz, a prace nad wymaganiami dla Kruka wloką się od kilku lat. Nieoficjalnie wiadomo, że chodzi o pieniądze. PiS co prawda potrzebuje kolejnego medialnego sukcesu na odcinku wojsko, ale wiele wskazuje, że ograniczonych przez pandemię i złe zarządzanie środków tym razem wystarczy jedynie na zakup czołgów. Pancerne lobby w armii okazało się najsilniejsze.

Węgierski wzorzec

Wracając do helikopterów – poza nielicznymi black hawkami na miano najmłodszych zasługują śmigłowce szkolne. Nasi piloci mają do dyspozycji 32 maszyny, głównie rodzime SW-4, w wieku od kilku do kilkunastu lat. Zawodne, jednosilnikowe, pozbawione potencjału bojowego. Ten zatem, całościowo – mimo stosunkowo licznej floty – jest raczej iluzoryczny. Patrząc wstecz, trudno oprzeć się wrażeniu straconej szansy – i to nie tylko w kwestiach militarnych. Nie od dziś bowiem kontrakty wojskowe służą czemuś więcej niż pozyskaniu/sprzedaży uzbrojenia. Rząd PiS zdaje sobie z tego sprawę, zakładając, że w pakiecie z amerykańskimi rakietami i samolotami zyskamy wdzięczność wielkiego sojusznika. Podobnej

refleksji zabrakło w przypadku caracali – doskonałych maszyn, których nabycie poprawiłoby nasze relacje z piątą potęgą wojskową świata. Dobrze zrozumiał to uwielbiany przez pisowską wierchuszkę Viktor Orbán. Dwa lata po zerwaniu przez Polskę umowy z Airbusem Orbán podpisał kontrakt na 36 helikopterów tej firmy, w tym 16 caracali. Co istotne, Francuzi zobowiązali się do zbudowania na Węgrzech montowni, która pierwotnie miała powstać na bazie łódzkich Wojskowych Zakładów Lotniczych. Fabryka w Gyuli rozpocznie produkcję na przełomie tego i następnego roku.

Gwoli rzetelności należy dodać, że po wolcie Macierewicza na zakup caracali (w tym przypadku w cywilnej wersji dla Gwardii Narodowej i Straży Przybrzeżnej) oraz innych śmigłowców Airbusa zdecydowała się również znacznie uboższa od Polski Ukraina. Niemniej jednak to Węgrzy mogą posłużyć Polakom za wzorzec uprawiania dyplomacji zakupowej. Orbán, choć nie unika konfrontacji politycznych z mocarstwami, potrafi jednocześnie skutecznie je obłaskawiać. Od Niemców kupił świetne czołgi Leopard 2, haubice PzH2000 oraz wozy pchoty Lynx. Od Amerykanów – system przeciwlotniczy krótkiego zasięgu NASAMS II. Zlecenia otrzymały też Turcja (samochody terenowe), Brazylia (samoloty transportowe) i Rosja (modernizacja starszych rodzajów sprzętu). Zyskuje na tym węgierskie państwo, tam bowiem, gdzie są wspólne interesy, łatwiej prowadzić politykę. Zyskuje gospodarka w postaci nowych miejsc pracy – poza Francuzami i fabryki na Węgrzech budują Niemcy i Turcy. I, co najważniejsze, zyskuje armia. Węgierska, po trzech dekadach degrengolady, niebawem stanie się nowocześniejsza od polskiej. Za symbol tych zmian można uznać pożegnanie 26 marca br. przez tamtejsze lotnictwo śmigłowców Mi-8. 37-letnia ósemka odbyła wówczas lot w eskorcie honorowej myśliwców Gripen i w asyście lekkiego śmigłowca Airbusa H145M. Zachód pożegnał Wschód, choć po prawdzie ostatnie poradyckie maszyny – Mi-17 – zakończą służbę w 2025 r. My w tym czasie zwieńczymy proces wymiany książeczek wojskowych, których nowy wzór, wciąż papierowy (sic!), właśnie zyskał odpowiednie akceptacje. ■

Karolina Grzech

„Tu możesz się wyżalić, porozmawiać o kłopotach z samą sobą i światem wokół Ciebie, jak również podzielić radością, która stała się Twoim udziałem”, zaprasza internetowe forum dla matek.

Użytkowniczka edzia086 ma trudne pytanie. „Według naukowców jedno dziecko w USA to 58,6 tony szkodliwych emisji rocznie. Rodzina, która rezygnuje z kolejnego potomka, przyczynia się do dobra środowiska tak jak 684 nastolatków, którzy zobowiązaliby się do końca życia obsesyjnie dbać o recykling”. Edzia086 widziała też wyliczenia: w ciągu roku jeden człowiek pompuje do atmosfery tyle dwutlenku węgla, ile jeden samochód w ciągu 20 lat. „To jak, zrezygnowałybyście z dzieci lub chociaż ograniczyły ich ilość, aby chronić klimat?”.

Pod jej postem ponad 200 komentarzy. Zdania są podzielone. Karen8 uważa, że problem jest wydumany: „Popelnisz samobójstwo, żeby chronić klimat? – sztydzi. – Mniej więcej ten poziom dywagacji”. Wtórzy jej Demagda: „Jak rezygnujesz z dziecka, to dla kogo chronisz klimat? Sztuka dla sztuki?”. Po nas choćby potop. Albo wyspa z pieluch na Oceanie Spokojnym.

Taki ton debaty nie dziwi – forum dla młodych matek to niekoniecznie najlepsze miejsce, by dyskutować o świadomej bezdzietności. Jednak sam fakt, że temat tam się pojawił, świadczy, że dobrowolna rezygnacja z rodzicielstwa jest coraz bardziej obecna w debacie publicznej. Dzieci można nie chcieć. Mówi się o tym coraz częściej i głośniejsze, nie tylko w kontekście zmian klimatu.

Marta chce lepiej spożytkować energię

Marta również troszczy się o klimat, ale matką nie chce zostać z innego powodu. Gdy zaczęło się mówić o kryzysie klimatycznym, zyskała jedynie dodatkowy argument. Uważa, że ludzie nie podchodzą do wychowania dzieci dostatecznie poważnie. Rodzicielstwo to zobowiązanie na całe życie, którego ona nie chce brać na siebie. O sobie mówi, że jest cyfrową nomadką. Pomieszkuję tam, gdzie



Bezdzielnici z wyboru

Nie ma z czego się tłumaczyć.
Niektórzy ludzie po prostu nie chcą mieć dzieci.
Mówi się o tym coraz częściej i głośniejsze

akurat można – czasem u znajomych, czasem w wynajętym mieszkaniu. Pracuje w start-upach, organizuje wydarzenia związane z pracą zdalną, zna się na marketingu. Uczy też ludzi, jak walczyć z prokrastynacją i efektywnie realizować cele.

– Wychowanie szczęśliwego człowieka pochłania mnóstwo czasu i energii – wyjaśnia. – Ktoś może chcieć przeznaczyć je na dziecko, ale ja wolę spożytkować te zasoby w inny sposób.

Dziecko jako zabezpieczenie na przyszłość? – W Europie nie potrzebujemy już dziesięciorga dzieci, żeby troszczyły się o nas na starość – uważa. – Mammy inne narzędzia, żeby zadbać o siebie i swój przyszły dobrobyt.

Marta czuje się odpowiedzialna także za dobrobyt innych. Dlatego próbuje żyć w zgodzie z założeniami efektywnego altruizmu. Efektywni altruściści mówią o sobie, że kierują się i sercem, i rozumem. Próbują pomagać tak, aby ich działania spowodowały maksymalnie pozytywne zmiany. Najbardziej znany popularyzator tego ruchu to Peter Singer. Jego

wystąpienie na platformie TED z marca 2013 r. ma ponad 2 mln odsłon. Singer promuje racjonalne, ilościowe podejście do rozwiązywania globalnych problemów, takich jak głodowa śmierć dzieci. Stawia kontrowersyjną tezę: aby żyć w sposób moralny, nie wystarczy powstrzymać się od czynienia zła. Musimy być aktywni; nadwyżkę własnych zasobów przeznaczyć na pomoc innym i dzielić się w przemyślany sposób. Efektywny altruizm nie nawołuje do bezdzietności. Dobrostan członków ruchu jest ważny, dlatego każdy powinien żyć w zgodzie ze swoimi wartościami i aspiracjami. Ale jednocześnie nie chodzi o to, żeby było nas jak najwięcej. Raczej o to, żebyśmy wszyscy żyli najlepiej, jak to możliwe.

700 tys. hedonistów?

W 2019 r. na jedną Polkę w wieku reprodukcyjnym (15-49 lat) przypadało 1,43 noworodka. Byliśmy pod tym względem na 19. miejscu wśród 27 krajów Unii Europejskiej. Szacunki mówią, że co piąta Polka urodzona w 1975 r. nie została i nigdy już

nie zostanie matką. Badaczka zjawiska bezdzietności Barbara Dolińska pisze, że świadoma decyzja, by nie mieć dzieci, to ciągle margines. W różnych niezależnych od siebie badaniach bezdzietni z wyboru stanowią ok. 5% ankietowanych. Jeśli te wyniki są miarodajne, ponad 700 tys. osób w Polsce świadomie rezygnuje z rodzicielstwa. Ile jest ich naprawdę i jakie mają motywacje, trudno powiedzieć, bo niewiele zebrano na ten temat danych. Międzynarodowe badania, które uwzględniały pytanie o bezdzietność z wyboru, pozostały w sferze planów. Pandemia wymusiła na socjologach inne priorytety.

Przekonanie, że dzieci dają szczęście, jest powszechne na całym świecie (chociaż – jak pisze dr Dolińska – nie znajduje potwierdzenia w badaniach empirycznych). A jeśli źródłem szczęścia jest rodzicielstwo, można by założyć, że bezdzietni muszą być samotni i nieszczęśliwi. Nawet jeśli jednocześnie zarzuca się im, że żyją beztrosko i bez obciążeń. Bezdzietnych z wyboru powszechnie uważa się za hedonistów i krótkowzrocznych egoistów, a media i kultura wzmacniają ten przekaz. Wystarczy przypomnieć sobie przeszkę z telewizyjnego spotu, która „zdążyła pojechać do Paryża, ale nie zdążyła zostać matką”.

Tyle że i w tym przypadku percepcja nie idzie w parze z empirią. Jak pisze Barbara Dolińska w miesięczniku „Znak”, „poziom empatii, przystosowanie i hierarchia wartości nie różnicują osób bezdzietnych z wyboru i tych, którzy zdecydowali się na posiadanie dziecka”. Okazuje się za to, że bezdzietni z wyboru są bardziej solidarni. Jak przyznaje Dolińska, zdziwiło to nawet badaczy: „Wizerunek młodych ludzi, którzy zakładają, że nie chcą mieć dzieci ani teraz, ani w przyszłości, nie potwierdza zatem stereotypu niewrażliwych, nieprzystosowanych lekkoduchów skoncentrowanych na hedonistycznym doświadczaniu przyjemności. To raczej odpowiedzialne i rzetelne jednostki traktujące rodzicielstwo nader poważnie”.

Michał Z. jest za szczęściem – mimo wszystko

Michał nie wygląda na lekkoducha. Studiuje filozofię, o swoich poglądach mówi z profesjonalizmem

zawodowego etyka. – Uważam, że cierpienie odczuwa się dużo dotkliwiej niż szczęście. Ale nie jestem radykalny. Gdyby na 1000 osób 999 żyło w idylli, a jedna cierpiała, nie byłbym antynatalistą.

Antynatalizm to pogląd filozoficzny. Jego głównym popularyzatorem jest obecnie David Benatar, filozof z RPA. Ale podobne wątki można znaleźć w pracach Schopenhauera, Nietzschego czy Ciorana, a źródła antynatalizmu sięgają buddyzmu i gnostycyzmu. W wielkim skrócie: antynatalizm negatywnie ocenia narodziny, ponieważ są źródłem cierpienia nieuchronnie związanego z życiem. Samo życie, jeśli już powstanie, jest jednak warte troski i ochrony. Chodzi przecież o to, żeby było jak najmniej cierpienia.

Michał: – Myślę, że w decyzji o posiadaniu dzieci dużą rolę odgrywa intuicja moralna. Większość ludzi nie zastanawia się nad tym. Przekonanie, że życie jest super i należy je rozwijać, to potężny dogmat. Uważam, że wszyscy jesteśmy egoistami. Posiadanie dzieci, tak samo jak ich nieposiadanie, wynika z egoistycznych pobudek. Rozumiem, fajnie by było, żebyśmy mieli emerytury. Ale generować nowe byty, żeby ktoś nam podał szklankę wody na starość?

Publiczne mówienie o tym, że szczęście mogą dawać nie dzieci, ale ich brak, nadal wymaga w Polsce sporej odwagi cywilnej.

Bezdzietność ze względu na klimat Michał traktowałby podejrzliwie. Ci, których martwi globalne ocieplenie, to niekoniecznie antynataliści, czyli osoby przekonane, że życie jest złe. – Debata o klimacie to świeża sprawa, więc taka motywacja musi być dość nowa. Z drugiej strony niektórzy desperacko potrzebują poczucia sprawczości. Może deklarując bezdzietność, czują, że mogą coś zdziałać wobec zmian klimatu? – zastanawia się Michał.

Antynatalistom bliska jest filozofia utylitaryzmu, czyli przekonanie, że trzeba maksymalizować to, co pożyteczne i dobre, a minimalizować cierpienie. Michał stara się wprowadzać w życie te ideały. Był wolontariuszem w organizacji walczącej o prawa zwierząt, do dziś wpłaca

pieniądze na ten i inne cele charytatywne. Organizacje, które wspomaga, dobiera według klucza efektywnego altruizmu – zwraca uwagę na to, jak skutecznie działają.

Zauważam, że altruizm to bardzo pozytywna przesłanka do antynatalizmu. Michał uśmiecha się: – My, antynataliści, może i jesteśmy nieszczęśliwi, ale bardzo zależy nam, żeby świat był dobry.

Michał T. stawia na jakość

Michał T. ma świadomość, że radykalne poglądy łatwo zlekceważyć, zwłaszcza jeśli odbiegają od normy. Dlatego chętnie debatuje i szuka rozmówców myślących inaczej niż on. Do grupy dla antynatalistów, którą założył na Facebooku, zaprosił też znajomych, którzy mają dzieci. Dziś grupa to forum dyskusji dla ponad 6 tys. członków. I kopalnia antynatalistycznych memów.

Michał rozważa zostanie metrologiem – specjalistą od dokonywania i interpretacji pomiarów. To chyba trafny wybór, bo przez telefon słucha się go tak, jakby rozrysował sobie wszystkie pojęcia, argumenty i związki przyczynowo-skutkowe. Wspomina wyjaśnia filozoficzne i logiczne zawroty antynatalizmu. Tłumaczy, że to nie to samo, co denatalizm

albo ekstynkcjonizm – przekonanie, że ludzkość powinna wyginąć. Antynataliści po prostu nie uważają za słuszną mnożenie życia za wszelką cenę. Michał sądzi, że dzieci powinno się mieć tylko wówczas, jeśli można im zapewnić dobre warunki. Róbcie domy, a nie dzieci – to byłoby jego przesłanie dla ludzkości.

Nic nie stoi na przeszkodzie, by antynataliści adoptowali i wychowywali dzieci – to, jak mówi, „antynatalizm opiekuńczy”. Niektórzy decydują się na takie rozwiązanie, jeśli chcą być rodzicami bez powoływania na świat nowego życia. Michał ma duży dystans do siebie i swoich poglądów. Nie wyklucza zresztą, że kiedyś je zmieni. Na razie jednak antynatalizm wydaje mu się najbardziej logicznym podejściem do życia.

► Marta, Ola i Dasza chcą żyć po swojemu

Marta – z wykształcenia pedagoga, z zamiłowania graficzka, z przekonania delikatna nihilistka. Życie to według niej przede wszystkim cierpienie. Nie widzi sensu, by kogoś na nie skazywać: – Nie byłabym dobrą matką. Nie chcę również przekazać potencjalnym dzieciom moich problemów z sercem i poważnych chorób skóry. Ale jeśli ktoś chce mieć dzieci i będzie potrafił

są? To dla mnie jeden z argumentów, by się nie rozmnażać.

Inny argument jest taki, że Dasza – jak Marta i Ola – w dzieciństwie doświadczyła modelu rodzicielstwa, którego nie chciałaby powielać. Poza tym panicznie boi się ciąży, porodu i tego, jak mogłoby się zmienić jej ciało. Kiedyś myślała, że bycie matką to cel nadrzędny. Uświadomienie sobie, że nie chce tak żyć, wymagało od niej długich przemyśleń i lat pracy nad samoświadomością.

Jesteśmy w stanie zaakceptować bezdzietność wtedy, kiedy stoi za nią szczytna motywacja.

zapewnić im dobre warunki – to super. Mam duży szacunek dla mojej siostry, matki dwójki szczęśliwych maluchów.

Ola rozmawia ze mną trochę z ciekawości, trochę sprowokowana docinkami swojego chłopaka. On też nie chce mieć dzieci, ale powtarza jej, że antynatalizm nie istnieje, a rzekomi antynataliści to banda oszołomów. Ola chce dorzucić swoje trzy grosze, bo przecież antynataliści działają dla dobra planety, a więc całego społeczeństwa. No, w pewnym sensie.

Klimat? – Za 10 lat może zabraknąć wody, pszczoły giną, zima w Polsce to jakiś żart. Prognozy pokazują, że nic z tym nie robimy... Możliwe, że moje potencjalne dzieci nie miałyby czego do garnka włożyć. Nie umiem skazywać kogoś na takie cierpienie – mówi Ola. Ale to nie kwestie klimatyczne są dla niej decydujące. Nie chciałaby usłyszeć tego samego, co powiedziała kiedyś swojej matce: że żałuje, że żyje, i wołałaby, żeby matka ją wyskrobała. Może niepotrzebnie wtedy się uniosła, ale pod tą opinią podpisuje się nadal.

Jak wobec tego wyobraża sobie idealne życie? – Bezлюдna wyspa, dobrodziejstwa natury, zwierzęta... Żadnych ludzi. No, może ktoś o poglądach podobnych do moich. Ale – dodaje po namyśle – tak naprawdę idealne życie to brak życia.

Dasza pracuje w marketingu, pasjonuje ją psychologia. Zawód marzeń: policyjna profilerka. W przeciwieństwie do Oli uważa, że życie jest piękne. – Rozumiem, że ludzie chcą przekazać swoje geny, ale tyle dzieci żyje w domach dziecka albo na ulicy. Dlaczego takich nie wziąć, skoro już

– Myślę, że dla wielu kobiet została matką to najprostsze wyjście, takie życie na autopilocie – mówi. Dasza woli sama zdecydować, dokąd poci.

Buntownicy bez powodu?

W społecznej dyskusji o planowanej bezdzietności dominuje jedno pytanie: dlaczego? Dużo zastanawiamy się, jak można nie chcieć dziecka, jednocześnie nie pytając, czemu większość z nas chce być rodzicami. Używamy argumentów ekonomicznych. Mówimy o przetrwaniu gatunku, narodu, o obowiązku, o determinizmie

Bezdziennik.pl założyła Edyta Broda, żeby opowiedzieć, jak wygląda codzienne życie dojrzałej, bezdzietnej kobiety w dzisiejszej Polsce. Chciała dać świadomie bezdzietnym głos, bo jak pisze we wstępie do bloga, „są chyba ostatnią grupą, która nie zrobiła jeszcze zbiorowego coming outu”. W 2018 r., przedstawiając się czytelnikom, Edyta podkreślała: bezdzietni „nie piszą książek ani blogów, nie reagują na inwektywy, nie biegają do telewizji śniadaniowych”. Dzięki jej działalności zaczynają być widoczni. Sama bywa w telewizji, udziela licznych wywiadów. Napisała książkowy przewodnik po bezdzietności z wyboru. Na blogu i w mediach społecznościowych nie tylko rozprawia się z mitami dotyczącymi życia bez dzieci, ale też daje praktyczne porady. We współpracy z czytelnikami stworzyła mapę gabinetów ginekologicznych przyjaznych bezdzietnym. Píše o sterylizacji antykoncepcyjnej kobiet, która – w przeciwieństwie do wazektomii – nie jest w Polsce niedostępna.

Sukces Bezdziennika przerósł najśmielsze oczekiwania Edyty. – Ci, którzy mają niepopularne poglądy, potrzebują bezpiecznej przestrzeni, żeby móc wyrażać je bez skrępowania. A motywacje i styl życia bezdzietnych wciąż są publicznie kwestionowane – zwraca uwagę.

Dziecko jako zabezpieczenie? W Europie nie potrzebujemy już dziesięciorga dzieci, żeby troszczyły się o nas na starość.

biologicznym. Nie wspominamy o wolności wyboru i wzajemnym poszanowaniu poglądów. Od świadomie bezdzietnych oczekujemy, że będą nas przekonywać do swoich racji, a my mamy prawo je uznać lub nie, filtrując odpowiedź przez naszą własną moralność.

Jesteśmy w stanie zaakceptować bezdzietność wtedy, kiedy stoi za nią szczytna motywacja. Blythe Pepino z brytyjskiej grupy BirthStrike ma prawo o swojej decyzji mówić z dumą, bo chce chronić planetę. Ale nie podoba nam się, że nasza sąsiadka z klatki dziecka nie ma tak po prostu, a nie dla wyższej sprawy. Mówi, że macierzyństwo nigdy jej nie interesowało, ale części z nas to nie przekonuje – pewnie tak gada, bo wstyd się przyznać, że nie mogła.

Swoje posty podpisuje jako Chwatka Niematka. Trafnie, bo publiczne mówienie o tym, że szczęście mogą dawać nie dzieci, ale ich brak, nadal wymaga w Polsce sporej odwagi cywilnej. Jak przed każdą mniejszością, tak i przed bezdzietnymi z wyboru stawia się niemożliwe do spełnienia wymagania. Z jednej strony, jeśli już chcą być bezdzietni, to niech – jak ironizuje Edyta – nie dorabiają do tego ideologii, jakichś -izmów, teorii o cierpieniu i klimacie. Z drugiej strony, jeśli otwarcie mówią, że po prostu wolą życie bez dzieci, osądzają się – na przekór wynikom naukowych badań – jako egoistycznych hedonistów. To bardzo polski paradoks: tak źle i tak niedobrze.

Karolina Grzech

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Leć, Jurko

Krążę wokół niepołączonych, wydawałoby się, spraw, zdarzeń, kwestii z rosnącą bezradnością. Najpierw poczytam o złudzeniach merytokracji: „Sandel pisze, że problem z mitem merytokracji – z przekonaniem, że sukces zależy od naszej pracy i umiejętności – jest dwojaki. Nie chodzi tylko o to, że przy bliższym wejrzeniu okazuje się fałszywy. Kłopot polega również na tym, że ten mit służy do wywyższania garstki zwycięzców rynkowej gry i poniżania całej reszty. (...) Najwyższa pora zacząć mówić o merytokracji nie jako spełnieniu kapitalistycznej obietnicy, ale jako wyjątkowo perfidnym narzędziu retorycznym, które opakowuje okrucieństwo, przywileje i głębokie nierówności w pozory uczciwej gry rynkowej” – Tomasz Markiewka, „Nie stać cię na sukces, czyli okrutny mit merytokracji”, KrytykaPolityczna.pl.

Potem próbuję się rozeznaczyć w regułach i zasadach szczepień przeciw covidowi w Polsce. Kto, kiedy, jak i dlaczego. Dlaczego Rzeszów, gdzie trwa prezydencka kampania wyborcza, w której startuje wiceminister sprawiedliwości, wykazuje izraelskie tempo i skuteczność szczepienia żydowskich Izraelczyków (w odróżnieniu od palestyńskich obywateli Izraela). W Poznaniu z kolei, gdzie wszystko jest dobrze zorganizowane, można podobno zaszczepić się z ulicy, podchodząc pod punkt szczepienia na koniec dnia, żeby się nic nie zmarnowało. Rejestruje się do szczepienia tych, którzy zgłosili chęć zaszczepienia w styczniu, choć wtedy nikt nie mówił, że ma to inny cel niż oszacowanie zapotrzebowania na szczepionki. Po raz pierwszy w historii Polski nasz rząd wziął udział w eksperymencie społecznym pod tytułem *prima aprilis*, ogłaszając żart dekady: „Szczepimy 40-latków, choć jeszcze nie ich kolej”, a po kilku godzinach bąknął: „E, sorry, pomyłka systemu, to nieporozumienie”.

Prezydent Duda dzwoni do króla Jordanii z niepodłączonego kablem telefonu na kabel, co widać na zdjęciu udostępnionym przez kancelarię prezydencką (200 mln zł rocznego budżetu). Rzecznik prezydenta tłumaczy, że kabelek jest podłączony gdzieś niewidocznie z boku, bo to telefon specjalny i ma wiele gniazdek do kabelków. W tym samym czasie, w kolejnej politycznej inicjatywie naśladującej węgierską autorytarię w stylu Ctrl C, Ctrl V, kopiuj, wklej, tzw. minister edukacji i nauki Czarnek ogłasza „wygaszanie” Polskiej Akademii Nauk poprzez powołanie Narodowego (a jakże...) Programu Kopernikańskiego, w ramach którego ma powstać Międzynarodowa Akademia Kopernikańska i m.in.: przyznawać Nagrody Kopernikańskie (równowartość 150 tys. dol.), nadzorować i wspierać Szkołę Główną Mikołaja Kopernika, wspierać rozwój młodych naukowców przez program Stypendiów Kopernikańskich,

wspierać wymianę naukową przez Program Ambasadorów Międzynarodowej Akademii Kopernikańskiej, współpracować z Polskim Instytutem Naukowo-Kulturalnym (nowa instytucja). Trwa spór o pozyskiwanie energii z elektrowni jądrowych – pozorowany i pozorny, na niepoważnie. Kościoły otwarte poza regułami pandemicznymi.

Sędzia Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej, była posłanka PiS, Krystyna Pawłowicz, dokonuje bezprzykładnego, stygmatyzującego werbalnego ataku na 10-letnie dziecko, które wspierane przez rodziców i szkołę rozważa zmianę płci, chce używać innego imienia. Trumpa Twitter się pozbył – cały świat odpoczywa, czy nie kolej na Pawłowicz?

NASA zapowiada, że 60 lat po pierwszym locie człowieka w kosmos helikopter Ingenuity, stanowiący wyposażenie marsjańskiego łazika Perseverance, odbędzie samodzielny lot nad Marsem. I wtedy wraca do mnie opowieść o Juriju Gagarinie, zwykłym radzieckim chłopaku, który ucząc się w szkole dla konstruktorów traktorów, trafił do aeroklubu, a potem do szkoły kadetów lotnictwa. Kilka lat później miał zostać pierwszym człowiekiem w kosmosie, zapisując się w historii ludzkości na zawsze (przynajmniej do kiedy historia będzie trwała). A niewiele brakowało, żeby to nie był on. W szkole pilotażu zbierał najgorsze oceny z lądowania, walił samolotem o płytę lądowiska tak, że mogło dojść do tragedii. Jego instruktor Jaderkar Akbulatow wspominał, że był o krok od wyrzucenia Gagarina ze szkoły, kolejny lot miał być niezapowiedzianym sprawdzianem: być albo nie być, latać albo nie latać.

I Jurko wylądował po mistrzowsku, szkoleniowa maszyna dotknęła kołami lądowiska łagodnie i nieodczuwalnie. Zdumiony instruktor zapytał Gagarina, jak tego dokonał. Jurij, którego niewysoki wzrost predysponował do późniejszych starań o lot w kosmos, odpowiedział: „Ja nigdy nie widziałem pasa, jestem za niski, a dzisiaj wziąłem sobie poduszeczkę pod tyłek”. I tak, dzięki zabranej w odpowiednim momencie poduszeczkę, został tym, kim został. Nie wiem, jaki z tego morał. Może nie ma żadnego. Może tylko tyle, że czytając o Gagarinie, odpoczywam, a słysząc o wyczynach Krystyny Pawłowicz, mam reakcję, jakbym sam został poddany próbie na wirniku treningowym dla kosmonautów. Narzuca się też rozpiętość ludzkich dokonań, od Kopernika do helikoptera na Marsie, od spalenia Giordana Bruna do inkwizycyjnych zapędów dzisiejszych polskich „elit” rządowych. I że też ta Ziemia wszystkich nas wciąż mieści. I o Juriju Gagarinie będziemy pamiętać już zawsze, a o innych bohaterach tego felietonu – za chwilę nigdy.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zuzanna Muszyńska

Zaczęło się od konfiskaty kanapek. 1 stycznia 2021 r. holenderskie służby celne udzieliły pobrexitowej lekcji kierowcom ciężarówek. Ich prowiant trafił do koszy na śmieci zgodnie z nowymi przepisami o zakazie wwozu z UK do Unii produktów pochodzenia zwierzęcego zawierających mięso lub nabiał. Następnie rybacy z Wysp wylali żale na Borisa Johnsona. Głosowali za brexitem, liczyli na lepsze czasy, premier zaś „sprzedał ich” i, jak twierdzą, skazał na bezrobocie. Od nowego roku kutry cumują w portach, brytyjskie małże z wód o czystości głównie klasy B nieprędko trafią na europejskie stoły (do Unii można wysyłać tylko te z wód klasy A, niewymagające procedury oczyszczania – przyp. red.). Francuzi przerzucili się na norweskich dostawców. Rybacy z Walii, Kornwalii, Szkocji, z całych Wysp, zastanawiają się, z czego opłacić rachunki. Oszczędności topnieją, a oni nierzadko sięgają po alkohol. Błagają rząd o pomoc. Już wiadomo, że eksport nieoczyszczonych omułków, ostróg i przegrzebków nie zostanie wznowiony pod koniec kwietnia, kiedy Unia zrewiduje obecne ograniczenia. Dla całej brytyjskiej gospodarki połowy małży, choć warte miliony funtów rocznie, to kropla w morzu. Dla rybaków – to wielopokoleniowa tradycja, fach, z którego są dumni.

Licząca 2 tys. stron umowa handlowa przerosła eksporterów, którzy przez wiele miesięcy przygotowywali się do... wielkiej niewiadomej. Według organizacji przewoźników w styczniu 2021 r. przetransportowano w brytyjskich portach o 68% mniej towarów niż w tym samym okresie ubiegłego roku. 10 tys. celników to o pięć razy za mało. Biurokracja – obok imigrantów drugie kluczowe słowo podczas brexitu – ma się całkiem dobrze.

Kto w jakiej unii

W związku z „poważnymi problemami” na Morzu Irlandzkim minister Michael Gove wezwał Unię Europejską do opóźnienia o dwa lata stosowania unijnych norm celnych i produktowych. Towary z Anglii, Szkocji i Walii przesyłane do Irlandii

Sto dni po brexicie

Przeciętny mieszkaniec Wysp żyje ogólnonarodowym programem szczepień. O trudnościach w handlu wie niewiele

Północnej muszą być poddawane unijnym kontrolom, dzięki czemu granica między Irlandią i Irlandią Północną pozostaje otwarta.

Irlandia Północna głosowała 56% do 44% za pozostaniem w UE. Większość lojalistów poparła brexit, który miał wpłynąć na wzmocnienie brytyjskości w ich kraju. – Umowa z 24 grudnia to dla unionistów zdrada ze strony Demokratycznej Partii Unionistycznej (Democratic Unionist Party, DUP). Organizacje paramilitarne wydały 3 marca oświadczenie, że przestają respektować porozumienie wielkopiątkowe, które gwarantuje pokój. Od kilku dni dochodzi do protestów, płoną auta, ranni są policjanci – opowiada Aleksandra Łojek, autorka książki „Belfast. 99 ścian pokoju”. Protesty miały przebiegać

Północną a Republiką. Nikt nie chce powrotu do kłopotów, ale pewna część rozczarowanych lojalistów jest gotowa na wszystko, skoro działania republikańskie idą w stronę wykorzystania brexitu i osłabienia unii. Stąd powtarzany tu żart, że IRA przez lata akcji zbrojnych i zamachów bombowych nie zrobiła dla idei zjednoczenia obu Irlandii tyle, ile brexit.

Życie codzienne w Irlandii Północnej od początku tego roku również nie nastraja optymistycznie. – Rynek pracy zamarł – mówi Aleksandra Łojek – chyba że jest się programistą, pielęgniarką lub panią sprząającą. W sklepach jest różnie. Te, które importowały jedzenie z Wielkiej Brytanii, np. Marks and Spencer, miewają puste półki. Reszta funkcjonuje nieźle, zwłaszcza małe sklepy, które

Rybacy z Wysp wylali żale na Borisa Johnsona. Głosowali za brexitem, tymczasem premier skazał ich na bezrobocie.

pokojowo, ale szybko wymknęły się spod kontroli. Boris Johnson odwiedził niedawno Irlandię Północną i ogłosił przedłużenie przejściowych rozwiązań uproszczonych kontroli celnych do 1 października. Liderka DUP Arlene Foster uważa, że rząd brytyjski powinien się wycofać jednostronnie z przestrzegania ustaleń protokołu w sprawie Irlandii i Irlandii Północnej. – To węzeł gordyjski, którego nikt nie będzie miał odwagi przeciąć – komentuje Łojek. – Irlandczycy nawołują do referendum w sprawie zjednoczenia Irlandii (gdyby do niego doszło za kilka lat, kiedy wzrośnie populacja republikanów, jest niemal pewne, że większość głosujących będzie za zjednoczeniem). Brytyjczycy czują się zdradzeni i zlekceważeni, widzą, do czego może prowadzić ewidentne pobrexitowe wzmocnienie relacji między Irlandią

szybko zmienili dostawców. Kupowanie online sprawia niespodzianki. Niektóre produkty nie są wysyłane do Irlandii Północnej, za dużo zachodu dla sprzedawcy.

Rozwód Anglii ze Szkocją to prawdopodobnie kwestia niedalekiej przyszłości. Szkocka Partia Narodowa wezwała rząd w Londynie do udzielenia okresu karencji dla Szkocji, podobnie jak w przypadku Irlandii Północnej, w celu złagodzenia skutków brexitu. Szkoccy eksporterzy, w tym sektor rybołówstwa, potrzebują więcej czasu na zaadaptowanie się do pobrexitowego „reżimu”. W maju odbędą się w Szkocji wybory parlamentarne. Premier Nicola Sturgeon ubiega się o kolejną kadencję. Jej recepta na ochronę przed skutkami brexitu brzmi: „Wierzę, że powrót Szkocji do zdrowia powinien być w szkockich rękach”.



Wprowadzenie nowych kontroli od zakończenia okresu przejściowego brexitu 31 grudnia spowodowało zakłócenia w eksporcie ryb i owoców morza do UE.

W zeszłym roku co sekundę ze szkockiej ziemi wyruszało w świat 36 butelek whisky (o sześć mniej niż w 2019 r.). Roczna wartość eksportu szkockiej ze Szkocji to 1,14 mld funtów (3,8 mld w całej Wielkiej Brytanii). Whisky stanowi 75% wartości szkockiego eksportu żywności i napojów oraz 21% wartości brytyjskiego eksportu żywności i napojów. Tymczasem po brexicie szkocka stała się liderką tabeli spadków w eksporcie.

Załamanie i co dalej

„Szkocja nie nadąza z produkcją”, „Sprzedaż szkockiej nadal szybko rośnie”, „Eksport szkockiej zanotował kolejny rekordowy rok” i wreszcie „Szkocka zalewa Polskę” – czy brexit zablokuje ekspansję hitu z Wysp? – Widmo brexitu unosiło się nad branżą whisky przez wiele miesięcy. Eksperci spodziewali się powtórki sprzed kilku lat, gdy Unia Europejska nałożyła 25% cła na amerykańską whisky, co mocno odbiło się na rynku, m.in. w postaci podwyżek cen alkoholu – szczególnie produkowanego przez mniejsze firmy. Czarny scenariusz nie sprawdził się w przypadku wyjścia Wielkiej Brytanii ze struktur unijnych – wyjaśnia Jarosław Buss, właściciel firmy dystrybucyjnej Tudor House

oraz sieci sklepów Ballantine's. – Już teraz można stwierdzić, że wpływ brexitu na globalny rynek whisky nie będzie aż tak znaczący. Na mocy umowy handlowej whisky importowana poza granice Królestwa nie będzie obłożona dodatkowymi cłami, co skutkowałoby wzrostem jej cen na pozostałych rynkach.

Podobnie jak inne towary whisky obija się na granicy o biurokratyczne bariery. – W pierwszych tygodniach po brexicie większość firm transportowych z Polski oraz Wielkiej Brytanii nie chciała podejmować towaru, bojąc się kilkudniowych kolejek na granicy i związanych z tym strat –

W styczniu 2021 r. przetransportowano w brytyjskich portach o 68% mniej towarów niż w tym samym okresie rok temu.

przyznaje Buss. – Dziś sytuacja nie wygląda już tak strasznie, aczkolwiek opóźnienia w transporcie nadal są odczuwalne. To z pewnością nie pomaga tym dystrybutorom, którzy nie zdążyli się zatowarować przed zakończeniem brexitu. Problemy te mają jednak charakter przejściowy. Pamiętajmy, że Unia Europejska jest dla szkockiej whisky największym i najważniejszym rynkiem zbytu.

Jak dodaje Buss, w przeciwieństwie do dystrybutorów, hurtowników i detalistów powody do zmartwień mogą mieć prywatni kolekcjonerzy, którzy nabywali drogie alkohole za pośrednictwem aukcji internetowych oraz sprowadzali je bezpośrednio z Anglii. – W tej chwili jest to zabronione. Butelki wysyłane prywatnie będą zatrzymywane przez urząd celny. Nawet jeśli komuś udałoby się sprowadzić taki trunek, płacąc dodatkową akcyzę i VAT oraz ponosząc koszty transportu kurierskiego, kupi on taką butelkę po znacznie wyższej cenie niż w późniejszej, oficjalnej dystrybucji.

W Londynie działa od kilku lat Bimber Distillery, kultowa destylarnia założona przez Dariusza Płażewskiego. Do angielskiej single malt dołączy szkocka produkowana w Dunphail, gdzie firma buduje kolejną rzemieślniczą destylarnię – chciałaby w niej produkować 200 tys. litrów alkoholu rocznie. „To niezwykle ekscytujący czas”, ocenia swoje przedsięwzięcie na terenie Szkocji Płażewski w rozmowie z „The Spirit Business”. Produkcja whisky tradycyjnymi metodami w destylarni, która zapewni pracę lokalnej ludności, a wpływ na środowisko równoważyć będzie sadzeniem jednego drzewa po sprzedaży każdej beczki whisky – to wizja niemal idylliczna jak na czasy brexitu i pandemii. Pozostaje trzymać kciuki za polsko-angielsko-szkocki plan.

Pandemia łagodzi skutki brexitu

Piotr Giętkowski przyjechał na Zieloną Wyspę 15 lat temu. Irlandzki rynek zweryfikował jego plany zawodowe – młody elektronik trafił

do pracy w sektorze budowlanym. Kolejne szczeble kariery doprowadziły go w marcu 2018 r. do funkcji kierownika jednego z dublińskich oddziałów największej irlandzkiej sieci hurtowni materiałów budowlanych Chadwicks. – Irlandia znajduje się w poważnym kryzysie mieszkaniowym – mówi Giętkowski. – Popyt na nieruchomości, zwłaszcza domy, jest ogromny. To, co pojawia się na rynku

▶ wtórnym, znika niemal natychmiast. Wynajęcie czegośkolwiek graniczy z cudem. Średnia cena wynajmu trzypokojowego domu to 1,5 tys. euro miesięcznie, w Dublinie dużo ponad 2 tys. Nowe osiedla wyrastają jedno po drugim, mimo to domy sprzedawane są na pniu.

Irlandzki sektor budowlany powinien zanotować 15% wzrostu w 2021 r. Według prognoz agencji

– podaje powody Polak. – Rosną ceny drewna, kruszyw naturalnych i surowców potrzebnych do produkcji budulców. Za to wszystko zapłaci potencjalny nabywca nieruchomości.

Dublin znalazł się na pierwszym miejscu przed Luksemburgiem, Frankfurt nad Menem i Paryżem jako cel przeprowadzek firm z londyńskiego City. W centrum miasta nieprzerwanie trwa budowlana

po covidzie i po brexicie będzie szukał dobrego produktu w dostępnej cenie – i tu jest zdecydowanie miejsce dla towarów z Polski”.

Brytyjsko-Holenderska Izba Handlowa właśnie podsumowała trzy miesiące po brexicie. W badaniu wzięło udział 125 brytyjskich i holenderskich firm. „The Guardian” podaje, że aż dwie na trzy odczuły negatywny wpływ brexitu – przede wszystkim wzrost kosztów (71%), bariery celne (63%) i opóźnienia w dostawach (59%). Główne towary na brytyjsko-holenderskim szlaku handlowym to wyroby czekoladowe, rowery elektryczne i szkocka whisky. Fani wyrobów holenderskiej firmy Tony’s Chocolonely zarówno z okazji walentynek, jak i na Dzień Matki oraz przed Wielkanocą czekali na dostawę kilka tygodni zamiast kilku dni. Tony’s Chocolonely informuje online, że straciła kontrolę nad procesem sprzedaży na rynek brytyjski. Firma VanMoof produkująca rowery elektryczne boi się nieuchronnego dla brytyjskich klientów efektu brexitu – podwyżki cen. Szkoda, bo wskutek pandemii moda na cyklizm przyberze na sile.

Anglicy muszą jeść – dotychczas 80% żywności importowanej w supermarketach pochodziło z UE. Rolnicy chcą produkować – rząd w Londynie twierdzi, że spadek eksportu żywności o 75,5%

IRA nie zrobiła dla idei zjednoczenia obu Irlandii tyle, ile brexit.

Aecom brexit nie będzie miał znaczącego wpływu na dostępność materiałów budowlanych i sprzętu. Popyt również pozostanie bez zmian. Tempo prac wolni, ale nieznacznie. Pierwszy lockdown był ciosem dla budowlanki, teraz jest ona lepiej przygotowana na wyzwania związane z brexitem i pandemią. – Sektor budowlany ma się bardzo dobrze i wszystko wskazuje, że nic tego w najbliższym czasie nie zmieni – potwierdza Giętkowski. – Właśnie rozpoczęliśmy czwarty miesiąc po brexicie. Paradoksalnie nałożenie się w czasie brexitu i pandemii spowodowało, że Irlandia w mniejszym stopniu odczuła skutki odłączenia się Wielkiej Brytanii od Wspólnoty. Restrykcje pandemiczne na najwyższym, piątym poziomie, jakie obowiązują tu od 27 grudnia, będą stopniowo znoszone od połowy kwietnia. Obejmują m.in. zakaz jakiegokolwiek działalności w budownictwie. Dało nam to sporo czasu na poradzenie sobie z negatywnymi skutkami brexitu. Umowa zawarta na ostatnią chwilę uniemożliwiła przygotowanie się do egzekwowania nowych przepisów celnych i podatkowych. Czas oczekiwania na towary przybywające do nas z sąsiedniej wyspy wzrósł do kilku tygodni. Gdyby cały sektor budowlany pracował w tym czasie normalnie, koszty opóźnień liczono by w setkach milionów euro.

Nieuchronnym skutkiem brexitu i pandemii będzie wzrost cen materiałów budowlanych. – Nowe cła na towary importowane z Wysp Brytyjskich oraz rosnące koszty transportu (cena ekspedycji kontenera z Chin czterokrotnie przewyższa zeszłoroczną i wynosi ponad 8 tys. euro)

hossa, mimo że przyszłość biurów w erze pracy zdalnej pozostaje niepewna.

Od nowa z globalną Brytanią

Wielka Brytania od zakończenia II wojny światowej borykała się ze zdefiniowaniem swojej relacji z Europą. Winston Churchill widział Anglię poruszającą się pomiędzy strefami interesów europejskich, amerykańskich i imperialnych. Jeżeli Londyn przesunął się w kierunku jednego z partnerów, tracili na tym inni. Przez ponad cztery dekady ścisłej współpracy na linii Londyn-Bruksela powstały silne zależności – w 2019 r. Wielka Brytania wyeksportowała do Unii Europejskiej 43% swoich dóbr, do Stanów Zjednoczonych 15,7%.

Brytyjski konsument po covidzie i brexicie będzie szukał dobrego produktu w dostępnej cenie.

Brytyjsko-Polska Izba Handlowa pisze na stronie internetowej: „Wielka Brytania produkuje za mało. Przemysł produkcyjny reprezentuje jedynie 8,6% wartości dodanej do brytyjskiego PKB. W przypadku Polski to 17%; Niemiec – 20% [Bank Światowy, dane za 2019 r.]. Biorąc pod uwagę powyższe dane, widać, że Wielka Brytania jest i będzie skazana na import towarów. Pozostanie ona dużym i ważnym rynkiem zbytu dla polskich przedsiębiorców. Jeśli Twoja konkurencja również działa w kraju UE, to napotka dokładnie te same problemy. Warto więc – mimo nadchodzących utrudnień – nie skreślać rynku brytyjskiego i o udział w nim walczyć! Brytyjski konsument

(whisky, czekolada, ser, wołowina, łosoś, owoce morza), jaki zanotowano w styczniu 2021 r. w stosunku do zeszłorocznych wskaźników, nie powtórzy się. Już w lutym było lepiej. Przeciętny mieszkaniec Wysp żyje ogólnonarodowym programem szczepień. O trudnościach, z jakimi borykają się handlowcy, wie niewiele. Kierowca ciężarówki podczas odprawy celnej zamiast dwóch kartek papieru – faktury i listu przewozowego – musi przedstawić kilkanaście starannie przygotowanych dokumentów.

Sto dni to za mało, żeby przewidywać, która koncepcja wygra – brexit czy Singapur nad Tamizą.

Zuzanna Muszyńska

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Namiestnicy

Wspominałem niedawno o miesięczniku „Nowe Książki”, PiS obsadziło go swoim redaktorem naczelnym. Teraz to samo zrobiono z „Twórczością” – bez żadnej konsultacji z zespołem, z nadania ministra kultury szefem pisma został Mateusz Werner i dobrał sobie odpowiedniego zastępcę. To desant partyjny. Z pism o takiej renomie i długiej tradycji wolna została już chyba tylko wrocławska „Odra”. Po roku ‘56 komuniści nie działali tak brutalnie i nachalnie. Osobną sprawą jest to, jak po ‘89 skurczył się prestiż i nakład tych pism literackich. Dokonały tego wielka zmiana i skurczenie się świata kultury zjadanego przez pieniądze. Ale PiS nie lekceważy nawet takich małych placówek, w wielkim dziele wymiany elit i tworzenia nowej polskiej patriotycznej i narodowej kultury wszystko może się przydać. Jak czyścić potem te stajnie Augiasza? Rozmawiam o tym z T. Poruszony i znie-smaczony. Mówimy o ojcu Mateusza, to Andrzej Werner, krytyk, eseista, człowiek, którego spotkało rodzinne nieszczęście. Taką samą sytuację ma T., jego syn też pisowiec. T. mówi, że nie rozumie, że nie mieści mu się to w głowie i że nie może z tym się pogodzić. Nowy naczelny „Twórczości” nie jest zwykłym karierowiczem, to człowiek inteligentny i utalentowany, a jednak miewa wykłady w Radiu Maryja. Syn T. to też nie cynik. Uwierzyli. Taka łaska wiary bywa mroczna, zabiera moralnym i mądrym ludziom uczciwość i inteligencję.

Orbán, Salvini, Morawiecki spotykają się w Budapeszcie, jako ostatni głos zabrał lider włoskiej Ligi Północnej Matteo Salvini. „Pracujemy nad tym, by wyprowadzić Europejczyków z najmroczniejszego okresu od czasu wojen światowych. Unia Europejska w swoich traktatach odrzuciła swoje judeochrześcijańskie fundamenty. Spotkaliśmy się tutaj, aby przedyskutować naszą przyszłość (...). Zgodziliśmy się, że chcemy odrodzenia Europy”. Zabawnie ma się to dawne włoskie odrodzenie do obecnego. Morawieckiemu bardzo spodobał się ten termin. On też będzie odradzał. Polska załapie się na włoski renesans, taki trochę w stylu Mussoliniego, ale nie szkodzi. A to tylko żałosna próba stworzenia międzynarodówki populistów. Swoje na Wielkanoc dodał prezes: „Nasza cywilizacja jest atakowana (...). Jest front ataku, nie ma jednak drugiego frontu. Trzeba go więc budować w Polsce, w Europie i poza nią. Czasy, powtarzam, będą interesujące, póki my rządzymy, to nikt nam niczego nie narzuci. Chcemy żyć w społeczeństwie, w którym mężczyzna jest mężczyzną,

a kobieta jest kobietą”. Czy ten inteligent z Żoliborza naprawdę wierzy, że Polska ma misję cywilizacyjną, szczególnie w sprawach płciowych? Wpływ zaburzonego życia seksualnego na myślenie Kaczyńskiego, w ogóle na historię, jest czymś namacalnym.

Od jakiegoś czasu podoba mi się Marian Banaś, ten od burdelowej kamienicy i słynnych słów woźnego „dzwonię do Banasia”. Jest szefem NIK. To pisowiec, który urwał się ze smyczy, nie chce podać się do dymisji, a nawet obraził się śmiertelnie na swoją partię. I chyba zamierza się mścić. Ma narzędzia, których już nie ma pacyfikowane społeczeństwo obywatelskie. Prezes NIK zdradził, jakie obszary kontroli przyjął na ten rok. Będzie lustrował różne wielkie interesy PiS. Byłaby to dla Kaczyńskiego katastrofa. Co w tej dramatycznej sytuacji robi rodzina, czyli partia? Oczywiście dobiera się do rodziny Banasia. Jest wiadomość, że prokuratura i CBA rozpracowują Jakuba, syna Mariana Banasia. Dobieranie się do rodzin to typowe działanie każdej mafii. Jeszcze tylko nie mordują. Należy to doceniać. Ja doceniam. Ktoś powie: nie mogą tak w środku Europy, w roku 2021, gdy Polska ciągle jest w Unii. To też prawda. Na razie więc stosują mordy zastępcze.

Stolica Apostolska poinformowała o ukaraniu abp. Sławoja Leszka Głódzia i bp. Edwarda Janiaka w sprawie tuszowania nadużyć seksualnych popełnionych przez duchownych w podległych im diecezjach. Jednak widzowie najważniejszego dziennika nadawanego w telewizji publicznej o tym się nie dowiedzieli. Byłbym zdumiony, gdyby tę informację podano. Dla PiS te wszystkie sprawy molestowania dzieci przez księży są bardzo krępujące. Ojciec dyrektor wyraził wprost, co myśli PiS. Kto nie ma pokus? PiS podobnie jak kler uważa, że to atak na cały polski Kościół. Jarosław Kaczyński mówi: „Dzisiaj odrzucenie zła jest czymś niezwykle istotnym, bo to zło atakuje – atakuje nasz kraj, naszą ojczyznę, nasz naród, atakuje instytucję, która jest w centrum naszej tożsamości – atakuje Kościół, Kościół katolicki”. Rzeczywiście Kościół polski chyba nigdy nie był w takim duchowym kryzysie.

Nadal jesteśmy w szponach zarazy. Jakie jest dzisiaj pierwsze standardowe pytanie przy spotkaniu lub gdy zaczynamy rozmowę telefoniczną – czy byłeś już szczepiony? A jaką szczepionką? Jak się po niej czujesz?

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

Jakub Dymek

Georgia już raz w tym roku odegrała decydującą rolę w amerykańskiej polityce. Właśnie tam, w tradycyjnie sprzyjającym prawicy południowym stanie, demokratom udało się w styczniowych wyborach uzupełniających odbić Senat z rąk republikanów. Kampania, której przyglądała się cała Ameryka (i nie tylko), zakończyła się sukcesem ubiegających się o urząd z ramienia Partii Demokratycznej pastora Raphaella Warnocka i Jona Ossoffa. O ich zwycięstwie, podobnie jak o porażce Trumpa, zdecydowała rekordowa frekwencja wśród czarnych obywateli.

W tamtej bitwie chodziło jednak o dużo więcej niż dwa mandaty dla senatorów – to dzięki Georgii i udanej kampanii tamtejszych demokratów ekipa Joego Bidena ma dziś większość do rządzenia. A nie można też zapominać o symbolicznym wydźwięku tego rezultatu w stanie Martina Luthera Kinga. Dawny niewolniczy stan głosami swoich czarnoskórych obywateli i obywateli ostatecznie pomógł pokonać Trumpa i wysłał do Waszyngtonu innego pastora. W dodatku z tej samej co dr King parafii!

Nie minęło jednak nawet sto dni i Georgia znów stała się polem bitwy o znaczeniu daleko wykraczającym poza jej granice. Historyczne zwycięstwo demokratów w styczniu i prawicowy kontratak dziś ściśle się ze sobą łączą. To nie przypadek, że o Georgii znów jest głośno.

Setki poprawek i drobny druk

W ostatnim tygodniu marca gubernator stanu Georgia, republikanin Brian Kemp, podpisał niemal stustronicową nowelizację prawa wyborczego, którą w błyskawicznym tempie przygotowali i przegłosowali wywodzący się z jego partii stanowi politycy. I choć hasło „poprawki do ordynacji wyborczej” może brzmieć nieciekawie, w USA prawo wyborcze zawsze jest kwestią głęboko polityczną i drażliwą. Duża część historii amerykańskiej polityki to przecież historia aktów prawnych, które włączały kolejne grupy do wspólnoty wyborców lub z niej wykluczały. Nie inaczej jest tym razem.



Republikański gubernator Brian Kemp 25 marca br. podpisał kontrowersyjną nowelizację prawa wyborczego.

Głosowanie z przeszkodami

Nowelizację prawa wyborczego w Georgii uznano za zemstę prawicy na czarnych mieszkańcach stanu, którzy dali zwycięstwo Joemu Bidenowi

Projekt przyjęty przez władze Georgii zmienia kilkanaście – nierzadko bardzo szczegółowych – przepisów, które mówią, jak można przyjmować głosy od wyborców i jak nie można. Ustawa określa dni i godziny, kiedy można oddać głos przedterminowo lub wziąć udział w korespondencyjnej formie głosowania. Opisane zostają nowe dokumenty i formularze służące do identyfikacji wyborców. Zmienia się urzędnik czuwający nad procesem głosowania, a więcej władzy w procesie rozpatrywania skarg zyskują stanowy wymiar sprawiedliwości i nominaci partyjni. Zmniejszy się liczba „skrzynek na głosy”, które w pandemii służyły mieszkańcom, a czas otwarcia lokali ponad urzędowe godziny w wypadku kłopotów technicznych – gdy np. zabraknie prądu albo dojdzie do awarii – zostanie ograniczony. Być może najbardziej kontrowersyjną poprawką zakazuje oferowania wody i posiłków w pobliżu lokali, choć wyborcy

w Georgii nieraz zmuszeni byli stać w długich kolejkach na zewnątrz – i w upale, i w chłodzie.

Olbrzymi skandal wybuchł, ponieważ prawo wyborcze zmieniają teraz jednostronnie republikanie – mają większość we władzach stanu – którzy właśnie przegrali najważniejsze wybory w Georgii od niepamiętnych czasów. A wprowadzone przez prawicę zmiany mogą pomóc zdusić frekwencję wśród czarnoskórych wyborców.

Demokraci i ogólnokrajowe media oskarżają republikanów o *voter suppression*, czyli intencjonalne utrudnianie głosowania wprowadzane pod pozorem walki z nadużyciami czy fałszerstwami. Inni przypominają haniebną historię „ustaw Jima Crowa”, tysięcy rasistowskich przepisów, które jeszcze sto lat po zniesieniu niewolnictwa otwarcie lub tylnymi drzwiami wprowadzały dyskryminację i segregację rasową. Oburzenie oburzeniem, ale problem jest realny. I wielowymiarowy.

Wyborcza matematyka dla zaawansowanych

Jak pozornie rutynowe zmiany – w rodzaju określenia liczby sobót w miesiącu, gdy można oddać głos – mogą mieć rasistowskie konsekwencje? Diabeł tkwi w szczegółach. Amerykańskie partie i think tanki mają olbrzymie ilości danych i statystyk wyborczych. Wiedzą zatem, w jakim obwodzie, w jakich lokalach i w jaki sposób głosują ich sympatycy.

Wprowadzone przez prawicę zmiany mogą pomóc zdusić frekwencję wśród czarnoskórych wyborców.

Przykład? Wiemy, że w niedzielę poprzedzające wybory głos oddają tłumnie wierni uczęszczający do licznych w Georgii czarnych i politycznie zaangażowanych kościołów. Prosta zmiana, która dokłada liczbę sobót kosztem niedziel, w które można oddać przedterminowo głos, już zaburza tę matematykę.

Podobnie działa zmiana godzin otwarcia lokali (ze względu na pracujących) i czas przeznaczony na dopisanie się do spisu wyborców lub związana z tym biurokracja. Biała rodzina z podmiejskiej klasy średniej będzie miała mniej problemów z okazaniem niezbędnych dokumentów i wypełnieniem formularza niż bezrobotny ze śródmiejskiego blokowiska. I tak dalej. Co ciekawe, niezwykle drobiazgowo poprawki dotyczą w niektórych wypadkach naprawdę skromnego wycinka wszystkich głosów. Ustawa pochyla się chociażby nad kartami do głosowania, które oddano w niewłaściwej komisji (bo stanowe prawo pozwala je przynajmniej). Wprawdzie na 5 mln kart wyborczych w wyborach z 2020 r. poza komisjami przypisanymi do miejsca zamieszkania wydano ich raptem 10 tys., ale Joe Biden wygrał w Georgii dzięki przewadze zaledwie 12 tys. głosów.

To jednak nie spór o detale, nawet jeśli może tak wyglądać. Republikanie od dawna są oskarżani o próby utrzymania się przy władzy lub wypaczanie wyników manipulacjami przy ordynacji wyborczej. Chodzi przede wszystkim o *gerrymandering*, czyli wyznaczanie granic okręgów wyborczych na niekorzyść przeciwnika. Albo mnożenie wymogów dla chcących głosować, co odbija się na frekwencji

wśród biednych i mniejszości. Republikanie każdorazowo powołują się jednak na groźbę fałszerstw i fakt, że mają w swoich stanach mandat do przeprowadzania tych zmian. I rzeczywiście uzyskują dla nich poparcie wyborców. Tylko że w Georgii poszli być może o krok za daleko. Tempo i czas wprowadzania tych poprawek uznano za bezzcelność i prowokację. Prezydent Biden pomysł ograniczenia dostępu do lokali wyborczych w pandemii i kar za oferowanie

wody stojącym w kolejkach wyborcom nazwał wprost chorym.

A więc zemsta?

„W Georgii czarni Amerykanie dali demokratom zwycięstwo, więc teraz – jak za najgorszych czasów Jima Crowa i segregacji – republikanie zabiorą im prawo oddania głosu”. Tak w największym skrócie brzmi zarzut, który od kilku tygodni słyhać w kościołach czarnej Ameryki, w przemówieniach polityków, na stronach gazet, a nawet w świecie biznesu i sportu. Ze stanu w geście protestu wobec nowelizacji prawa wyborczego swój Mecz Gwiazd wycofała amerykańska liga bejsbolu MLB. Największe firmy, które mają tam siedziby – a wśród nich jest choćby Coca-Cola czy krajowe linie lotnicze Delta – na różne sposoby wyraziły swój sprzeciw. Koalicje

W geście protestu wobec nowelizacji prawa wyborczego Mecz Gwiazd wycofała z Georgii amerykańska liga bejsbolu MLB.

czarnych wyborców i organizacje monitorujące wpływ korporacyjnych pieniędzy na politykę wzywają do bojkotu przedsiębiorstw, które wciąż finansują kampanię tamtejszej republikańskiej prawicy. Jeśli ta presja będzie skuteczna, może zniechęcić władze stanowe w Arizonie i Teksasie do pójścia w ślady Georgii.

Konserwatyści są wściekli. Nie mają bowiem problemu z obroną samych poprawek i ich legalności. Nie udaje im się jednak uzasadnić sensu tej reformy. Donald Trump powtarzał przez dwa miesiące po wyborach, że zostały sfałszowane. Ale wówczas

gubernator Georgii nie posłuchał prezydenta, który próbował zmusić go do podważenia wyników albo ich nieuznania. A teraz ci sami republikanie, którzy wówczas uszanowali wynik, chcą wypaczyć prawo wyborcze na swoją korzyść. Samo podejrzenie, że robią to, by wykluczyć czarnoskórych wyborców, budzi w dzisiejszej Ameryce szok, niedowierzanie i złość.

Sprawa ma też drugie dno. Analiza Nate'a Cohna na stronach „New York Timesa” – którego redakcja bynajmniej republikanom nie sprzyja i była mocno zaangażowana w krytykę nowelizacji – pokazuje, że zmiany mogą wcale nie wpłynąć na frekwencję. Badania, na które powołuje się analityk, dowodzą bowiem braku statystycznie istotnych różnic we frekwencji między grupami wiekowymi czy stanami, którym łatwiej lub trudniej głosować korespondencyjnie. To zaskakująca teza, ale znajduje potwierdzenie w liczbach. Ludzie zdecydowani zagłosują niezależnie od tego, czy lokalne władze wprowadziły jakieś szczególne ułatwienia lub utrudnienia głosowania korespondencyjnego lub przedterminowego. A najważniejsza – co potwierdza lekcja z poprzednich wyborów – i tak jest mobilizacja.

W dodatku, choć motywacje republikanów raczej nie były najuczciwsze, ostateczny kształt nowelizacji nie jest tak drakoński, jak można było się obawiać. Ustawa obok utrudnień wprowadza też ułatwienia dla głosujących w lokalach i zawiera zapisy, które mają skrócić kolejki. Do następnych wyborów, do których stanie

także ponownie dopiero co wybrany pastor Warnock, zostało jeszcze ponad półtora roku. Do tego czasu może się zdarzyć naprawdę dużo.

Pytanie więc, czy cała ta operacja miała z punktu widzenia prawicy sens. Definitywną odpowiedź przyniosą wyniki wyborów. Ale już dziś nie brakuje analiz mówiących, że efekt będzie odwrotny do zamierzonego. Wyborcy, którym władza chce utrudnić możliwość głosowania, pójdą do urn choćby ze złości i przekory.

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl
dymek.substack.com

Nic „nie wróci do normalności”

Po pandemii Polska będzie zupełnie inna

Jacek Wódz

Od ponad roku żyjemy w bardzo trudnym czasie; tzw. walka z pandemią wyczerpuje większość energii społecznej i powoduje odsunięcie na dalszy plan głębszych refleksji nad przyszłością. W zasadzie *gros* działań rządów państw europejskich i ich agend ma na celu zatrzymanie rozwoju epidemii i wzbudzenie nadziei społecznych, że po zbiorowym wysiłku „wszystko wróci do normalności”. Otóż pierwsza teza, jaką stawiam, brzmi: to nieprawda, po pandemii świat, społeczeństwa i ich organizacja będą zupełnie inne; nic „nie wróci do normalności”. Pandemia jest detonatorem wielkiej zmiany społecznej, której przebiegu ani końca, ani tym bardziej ostatecznych rezultatów nie znamy.



decydowali ci, którzy pierwsi zdobyli się na porzucenie dawnych schematów analiz i działań.

Kilka spraw podstawowych. Najpierw najogólniejsza. Polska, ku

zaskoczeniu wielu obserwatorów, jest przykładem coraz bardziej widocznego odwracania się od przemian wiodących ku nowoczesności, ucieleśnianej przez modele społecznej ewolucji państw europejskich czerpiących z dorobku rozwoju społeczeństw obywatelskich, demokracji liberalnej i poszanowania praw obywatelskich. Mówimy o zaskoczeniu, bo dość powszechna była przed dwiema czy trzema dekadami wiara w tzw. efekt modernizacyjny lat PRL (likwidacja analfabetyzmu, powszechny dostęp do edukacji, emancypacja kobiet, urbanizacja

na wrogość wobec Unii Europejskiej, a mówiąc bardziej ogólnie, na kulturę obywatelską zachodu Europy.

Inne polskie zjawisko społeczne, które może odegrać istotną rolę na dalszych etapach wielkiej zmiany zapoczątkowanej pandemią, to niedokończony proces formowania się nowoczesnej tożsamości narodowej. Otóż z przyczyn od nas niezależnych, a często na skutek fatalnego dla nas, Polaków, przebiegu historii XIX w. Polska nie miała szans przeżyć w praktyce społecznej i politycznej prób (czasem licznych) wypracowania nowoczesnej tożsamości narodowej. To dane było państwom Europy Zachodniej, dlatego łatwo wskazać cechy takiej nowoczesnej tożsamości narodowej w Wielkiej Brytanii, we Francji czy w Szwecji.

Fakty są faktami. Polska po 1918 r. miała bardzo mało okazji, by w praktyce społecznej wytworzyć takie wzory. Okres powojenny, najpierw stalinowski, potem tzw. demokracji socjalistycznej, też w zasadzie to wykluczał. Nasza rzeczywistość po powstaniu III RP charakteryzuje się wielkimi lukami w świadomości narodowej, tej utrwalonej w przekazie socjalizacyjnym, a więc jak gdyby oczywistym. Dlatego ta nasza tożsamość jest młoda, emocjonalna, łatwa do manipulowania.

To nie są zjawiska nieznane w Europie; tragicznym przykładem były przecież Niemcy (przypomnijmy – naród politycznie młody, powstały po zjednoczeniu w latach 70. XIX w. i złożony z regionów o bardzo dużych odrębnościach kulturowych i religijnych). Patologiczny przywódca uznał, że sposobem na polityczne zjednoczenie będzie patriotyzm o emocjonalnych cechach zbrodniczych. Oczywiście nie wolno nawet myśleć o takich porównaniach w stosunku do naszego kraju, ale wolno zachować je w pamięci jako przestrożę. To wszystko, co dzieje się obecnie w wyniku pandemii: niepewność,

Lękający się o swoją władzę przywódca sięga zwykle do kulturowej represji.

Historia wielkich zmian uczy, że dopiero *ex post* wojny były nazywane wielkimi wojnami, rewolucje stawały się wielkimi rewolucjami, dotyczyły to też wielkich katastrof naturalnych, wielkich migracji itd. *Ex ante*, a zwłaszcza w początkowych okresach tych wydarzeń, nikt nie umiał ich nazwać i nikt nie wyobrażał sobie ich rezultatów. Po żadnej wielkiej wojnie nic nie „wróciło do normalności”, tak samo po żadnej rewolucji, wielkiej klęsce żywiołowej czy wielkiej fali migracji. I niewypowiedzianą dziś prawdą jest to, że nikt nie miał, przynajmniej na pierwszych etapach takich wielkich zmian, narzędzi, by przewidywać ich rezultaty. Zawsze myślano „wstecz”. Mówi się, że generałowie zawsze zaczynali wojny według schematów strategicznych z wojen poprzednich, a dopiero po dłuższym czasie o losach wojny

itd.). Okazało się, że owa modernizacja była powierzchowna.

Dziś rządząca większość polityczna dobrze zdiagnozowała ten stan i na jawnych hasłach „powrotu do tradycji” zbudowała model społeczeństwa wrogo nastawionego do postępu, do modeli demokracji zachodnich czy do praw jednostki. Bałamutnie nazwano taki program konserwatywnym, choć z konserwatyzmem ma to mało wspólnego. Podpieraną się raczej tradycjonalizmem identyfikowanym jako „to, co tradycyjnie polskie, narodowe”. Przypomnijmy, że tradycjonalizm chce za wszelką cenę tkwić we wzorach przeszłości, a konserwatyzm chce permanentnej, kontrolowanej zmiany kulturowej zapobiegającej powstawaniu konfliktów. Otóż pandemia uruchomiła dość ciekawe zjawisko – konflikt kulturowy został ukierunkowany

strach przed krachem gospodarczym, wreszcie lęk o własne życie i zdrowie, bardzo łatwo wykorzystać do pobudzania emocji i zabarwiać elementami owej niedokończonych jeszcze tożsamości narodowej (duma narodowa zamiast pragmatycznego rachunku interesu narodowego).

W takich sytuacjach reżimy autorytarne odwołują się zwykle do techniki rządzenia opartej na bardziej czy mniej bezwzględnej centralizacji kulturowej (np. Franco zwalczał wszelkie oczywiste odrębności kulturowe – *vide* jego stosunek do Katalończyków czy Basków). A doświadczenie uczy, że lękający się o swoją władzę przywódca sięga do kulturowej represji. Czy nie obserwujemy tego u nas? Czymże innym jest doszukiwanie się w odrębnościach kulturowych Górnego Śląska „opcji niemieckiej”?

A Polska jest kulturowo bardzo, ale to bardzo zróżnicowana i bez wykorzystania potencjału kulturowego tkwiącego w tym zróżnicowaniu pozbawia się nasze społeczeństwo szans rozwojowych.

I jeszcze dwa zjawiska, już zdecydowanie mniej ogólne, ale bardzo istotne. Tym razem chodzi o zjawiska bardziej aktualne i niejako „świeże”, o młode pokolenie i o szybko rosnącą społeczną i polityczną siłę kobiet. Młode pokolenie Polaków, od tych w wieku szkolnym po tych, którzy w poprzednim roku akademickim rozpoczęli studia, przyzwyczajane jest w szybkim tempie do zupełnie

dbałość o elegancję przekazu. To na dłuższą metę jest początkiem pewnego syndromu zubożenia kulturowego.

Młode pokolenie oddala się też w bardzo szybkim tempie od Kościoła, bo język przekazu kościelnego jest dla niego nieatrakcyjny, a kolejne przykłady odwracania się polskiego Kościoła od wszelkiego myślenia nowoczesnego i bardziej liberalnego budzą wrażenie obcości tego świata.

Dopóki struktura ustrojowa będzie wymuszać układ partyjny, jakaś partia lewicowa się ostanie, ale nie będzie rodziła wielkich nadziei.

Celowo nie nawiązuję tu do załamania moralnego w łonie Kościoła, bo nie chcę, by te aspekty były tu dominujące, ale trzeba zauważyć, że autorytet Kościoła instytucjonalnego (biskupów, kapłanów) wśród ludzi młodych gwałtownie spada. Nie roztrząsając tych kwestii, zauważmy tylko, że młode pokolenie będzie pewnie kiedyś poszukiwało własnej duchowości, ale nie w ramach Kościoła, jaki dziś może poznać.

Z pewnością będzie też szukało nowych form subtelności kontaktów społecznych, bo rozwinięte nowe formy ich estetyki. Można bez ryzyka błędu powiedzieć, że efektem będzie stworzenie społecznego świata jak gdyby w opozycji do nam znanego. Otworzy się swoista przepaść międzypokoleniowa. Potrwa to kilka lat, ale zmiana popandemiczna również potrwa lat kilka, a może kilkanaście.

społecznego (a nie tylko formalnego) wdrożenia rozwiązań Kodeksu Napoleona (1804 r.), który z kolei na kilka dziesięcioleci zdefiniował warunki rozwoju gospodarki, funkcje elit, modele przywództwa i model mieszczkańskiej rodziny, wreszcie relacje sfery publicznej i sfery prywatnej (w konsekwencji czego z początkiem XX w. zdefiniowano jakże specyficzny dla Francji model laickości).

Nikt nie twierdzi, że taki będzie finał obecnej wielkiej zmiany, ale skoro zachęcamy do swobodnej dyskusji, to radziłbym nie zapominać o takim modelu.

I jeszcze jedna ważna zmiana społeczna, pozornie nieco odległa od samej zmiany zapoczątkowanej pandemią. To wybuchowy wzrost aktywności społecznej ruchów inicjowanych przez kobiety. Kobiety stały się motorem bardzo poważnych zmian, a do jakiego stopnia zaskoczyło to i wprowadziło w stan lęku władze, niech świadczy brutalność reakcji policji na te wydarzenia. Stara prawda mówi, że o sile takich ruchów pośrednio świadczy lękliwa reakcja władzy. Władza, która bije kobiety, daje dowód lęku i słabości – to często przywoływana diagnoza. A u nas tak właśnie się stało po zaostrzeniu prawa aborcyjnego.

Ale wzrost roli kobiet w Polsce ma ciekawą cechę. Otóż od wielu już lat kobiety, zwłaszcza młode, wbrew kulturowym cechom naszego mizoginiistycznego społeczeństwa zdobywały atrybuty do walki o swoją nowoczesną tożsamość i znaczenie. Każdy, kto jak ja od lat 60. XX w. do dzisiaj pracował na uczelni, musiał zauważyć, że i wśród studentek, i wśród profesury z roku na rok kobiety uzyskiwały coraz więcej sukcesów, zdobywały uznanie, robiły kariery. Trzeba było być ślepy, by ten fakt lekceważyć, pomijać coraz bardziej wyraźne i słuszne rewindykacje kobiet i nadal walczyć o „tradycyjną polską rodzinę”. Było niewybaczalnym błędem politycznym wprowadzanie tylnymi

Nowa lewica musi stworzyć nowy model nowoczesnego społeczeństwa wolnego od „poddania Kościołowi”.

wcześniej nieznanych warunków życia, kontaktów rówieśniczych, relacji ze światem zewnętrznym, ale także do postrzegania świata „scyfrzowanego”, tego, który łatwiej poddaje się obróbce informatycznej. Traci zaś znaczenie poznanie niepoddające się cyfryzacji, a więc bardziej jakościowe, bardziej ludzkie, zawierające komponenty emocjonalne, podkreślające walory estetyczne. Traci również język; staje się skrótowy, często zbanalizowany. A zgodnie z zasadą, że łatwiejsze formy komunikacji wypierają często te trudniejsze, zanika

W tym młodym pokoleniu może się zrodzić nowy typ przywództwa społecznego, a pewnie i politycznego. Wówczas zostaną zredefiniowane podstawowe kody kulturowe i wskazane nowe cele rozwoju społecznego. Hipotetycznie można założyć, że utrwalany będzie nowy ład.

Można się posłużyć pewną analogią. Rewolucja francuska trwała *de facto* kilka dziesięcioleci, przechodziła kilka etapów, stworzyła nowy model obywatela, nowy model przywództwa (Napoleon), ale jej utrwalenie nastąpiło dopiero w momencie

► drzwiami (nie poprzez parlament, ale przez trybunał) regulacji łamiących tzw. kompromis aborcyjny.

Ale nie o samym tym fakcie chcę tu mówić, choć jest on niezmiernie ważny. Chcę wskazać, że w trakcie tłumienia demonstracji kobiet władza posługiwała się pandemią, która jakoby likwidowała konstytucyjne prawo obywateli do demonstracji. I w ten sposób ruch społeczny kobiet stał się elementem wielkiej zmiany wywołanej pandemią.

Na zakończenie tej części refleksji jedno spostrzeżenie ogólne. Wszystkie efekty ekonomiczne pandemii: załamanie gospodarki i wytracanie czegoś, co było bezcenną cechą naszego rozwoju w ostatnich dziesięcioleciach, tzn. ducha przedsiębiorczości, kumulacja lęków i frustracji społecznych, totalne załamanie służby zdrowia, będą w najbliższych latach twardymi cechami społeczeństwa w stanie kryzysu, a to zwykle jest podłożem wieloletnich, wielowarstwowych zmian społecznych.

I jeszcze kilka słów o tym, co stanie się z lewicą. Uważam bowiem, że nowoczesna lewica po zmianie będzie zupełnie inna niż ta dziś istniejąca. To z pewnością nie będzie nic podobnego do dzisiejszych partii lewicowych. Oczywiście dopóki struktura ustrojowa będzie wymuszać

układ partyjny, jakaś partia lewicowa się ostanie, ale nie będzie rodziła wielkich nadziei. Nie wiem, czy to z mojej strony rozsądne, ale pewne nadzieje wiązałbym ze sposobem myślenia i działania Adriana Zandberga, bo on chyba jest w stanie wyczuwać potrzebę proponowania nowych systemów społeczno-ekonomicznych zapobiegających pogłębianiu się różnicowań.

Ale trzeba pamiętać, że nastąpi szybka wymiana pokolenia ludzi aktywnych i dzisiejszym 20-, 25-latkom

W młodym pokoleniu może się zrodzić nowy typ przywództwa społecznego, a pewnie i politycznego.

trzeba będzie pokazać rodzącą nadzieję perspektywę, już z pewnością nie czysto liberalną, wiążącą w logiczną całość inicjatywę gospodarczą i sposób budowy nowego ładu społecznego.

Można postawić tezę, że wiodącym sposobem budowania nowej lewicy będzie jej wyraźne i odważne ukierunkowanie się na zbliżanie polskiego społeczeństwa do świata nowoczesnego. Bo tradycjonalistyczno-patriotyczne ugrupowania będą tracić wpływy, tak jak wpływy będzie tracił Kościół (chyba że w cudowny zupełnie sposób dokona zmiany podobnej do reformacji).

Głównymi tematami będą zmiany klimatyczne, ekologia, jakość życia, prawa kobiet, równoważenie szans mieszkańców polskich regionów (może ktoś odważnie postawi na rozwój w regionach wokół większych miast, zamiast ciągle wspierać kilka największych ośrodków, z Warszawą na czele, pasyżujących na reszcie kraju). Tą drogą poszli w latach 60. i następnych Niemcy i stworzyli kraj o licznych centrach rozwojowych. W tym myśleniu może się zrodzić nowy pomysł na działania lewicowe.

Specyfiką Polski jest chorobliwe powiązanie wpływów tradycjonalistycznego Kościoła i władzy. Bez walki z Kościołem i bez nagonki antyklerykalnej nowa lewica musi stworzyć nowy model nowoczesnego społeczeństwa wolnego od „poddaństwa Kościołowi”, bez wspólnych śpiewów premiera i o. Rydzyka i bez ciągłego dosypywania publicznego grosza na cele wyłącznie religijne. Tu trzeba nowego spojrzenia z poszanowaniem godności cudzej i własnej. Wymiana pokoleniowa powinna to ułatwić, a projekty lewicowe mogą uzyskać cechy atrakcyjności o charakterze bardziej godnościowo-pragmatycznym niż ideologiczno-fideistycznym.

W realizacji takich celów bardziej skuteczne są ruchy społeczne niż partie. W ogóle uważam, że życie polityczne będzie musiało w dużym stopniu się zmienić, bo tylko hybrydowe związki ruchów, organizacji obywatelskich czy inicjatyw bardziej szczegółowych poprzez nowe formy współdziałania będą mogły zyskiwać społeczne zaufanie.

Tych kilka myśli zarysowanych wyżej to nie prognoza w dosłownym znaczeniu, raczej pewna prowokacja, raz bardziej, raz mniej udana, do szerszej debaty. Każda opinia, nawet najbardziej krytyczna, wnosi pewien ład w przyszłe przewidywania społeczne. Warto o takie przewidywania się pokusić.

Jacek Wódz jest socjologiem, emerytowanym profesorem Uniwersytetu Śląskiego, czynnym profesorem Akademii WSB w Dąbrowie Górniczej



Wyślij SMS o treści MARUSIA

7412 koszt SMS 4,92 zł z VAT
7910 koszt SMS 11,07 zł z VAT
91950 koszt SMS 23,37 zł z VAT

I kup tapetę.

Marusia nie miała w życiu wiele szczęścia. Los jakby sprzyjał wszystkim wokoło, tylko nie jej. Więc starała się jak mogła. Może nie była najpiękniejsza, ale była zawsze pracowita ponad osie siły. Była łagodna dla dzieci, które ciągnęły ją za ogon i szarpały jej wielkie, osie uszy. Rodziła całe życie osie dzieci, które chwilę potem jej odbierano i więcej

ich nie widziała. Nigdy nie kopnęła, nigdy się nie sprzeciwiała, nigdy nie buntowała. Była wszystkim tym, czym człowiek każał.

Ale to i tak nic nie dało...

Pokornie dreptała godzinami gdzie kazano, aż wydreptała drogę. Drogę, na którą świat wysłał stare osiołki, gdy stają się zbędne. I z tej drogi już stare, wyeksploatowane osiołki nigdy nie zawracają.

Marusia będzie mamą. Znowu. Cóż za zakończenie... choć raz ktoś nie odbierze jej osiołka po urodzeniu. Bo ono nigdy się nie urodzi... tak, zgadza się. Nie wolno ublażać w rzeźni żrebnym mam. Ale przecież nikt nie robi tam USG.

Musimy zebrać 3600 zł do 16 kwietnia, aby ocalić Marusię i maluszkę, który przyjdzie niedługo na świat.

Potrzebna jest Wasza pomoc. Liczy się każdy grosik!

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonać darowizny z tytułem MARUSIA na konto PKO BP 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Fundacja Centaurus, ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław, tel. 518 569 487, tel. 518 569 488

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze Regulamin: <http://centaurus.org.pl/kkam>

Polska wieś przed wojną

O chłopskiej biedzie nie przeczytamy dziś w podręcznikach

Dawid Kański

W II Rzeczypospolitej, a dokładnie w 1938 r., ludność wiejska stanowiła 70% społeczeństwa. Tereny wiejskie, szczególnie na wschodzie, były skrajnie ubogie i zaniedbane pod każdym względem. Takiego obrazu polskiej wsi nie znajdzie się jednak w aktualnych podręcznikach szkolnych.

Gлина, drewno i słoma

„Jak żyją małorolni i bezrolni chłopi, jak chodzą wynędzniali, głodni i obdarci, dość nie mieszkać z nimi, dzielić ich głód i niewygody, ale zobaczyć raz tylko, by poruszyło się każde sumienie” – tak w „Pamiętnikach chłopów” opisuje najbiedniejsze warstwy społeczeństwa wiejskiego średniozamożny gospodarz. Jedną z przyczyn biedy na wsi była struktura agrarna, bardzo rozdrobniona. Przy braku jakiegokolwiek pomocy ze strony państwa niekorzystnie wpływała zarówno na wydajność rolnictwa, jak i na poziom życia mieszkańców wsi. W 1938 r. gospodarstwa o powierzchni mniejszej niż 2 ha stanowiły 31% wszystkich gospodarstw, żyło w nich ok. 3 mln osób. Małorolnych i bezrolnych było łącznie ok. 4,5 mln, stanowili oni jedną czwartą mieszkańców wsi. To ich dotykała bieda najbardziej skrajna, odzierająca z człowieczeństwa. Jak czytamy w jednym z chłopskich pamiętników, walcząc o chleb, „musimy się stać zwykłymi zwierzętami roboczymi i zatracić swe ludzkie wartości”.

W 1921 r. budynki drewniane stanowiły 73% wszystkich zabudowań w Polsce, z tego aż cztery piąte miały dachy kryte słomą. Budynków murowanych było 17%, jednak w niektórych

województwach na wschodzie stanowiły nie więcej niż 5% zabudowań. 11% budynków na wsi było ulepionych z gliny.

Drewniana zabudowa i słomiane dachy zwiększały ryzyko pożarów. W latach 1924-1937 zarejestrowano 171,5 tys. pożarów, w których spłonęło lub zostało uszkodzonych 522,8 tys. budynków. Niemal 90% pożarów powstawało na terenach wiejskich.

W latach 30. aż 70% wszystkich mieszkań na wsi było przeludnionych. Dominowały mieszkania jednoizbowe, o metrażu rzadko przekraczającym 20-30 m kw. Wyposażenie obejmowało piec, stół, łóżko, stołki i szafę na ubrania. Miał szczęście ten, kto posiadał wychodek. „Marny wychodek był z desek, a teraz ze słomy – z tych desek zrobiło się stół do chaty, a z tego stołu później drzwiczki do chlewka”. Ten, kto nie miał wychodka, zafatwiał swoje potrzeby za stodołą.

Drewnianą podłogę można było zobaczyć u najzamożniejszych

gospodarzy. Reszta miała gliniane klepiska. Nawet połowa mieszkań była zawilgocona, co powodowało buchtwienie mebli i odzieży oraz sprzyjało rozwojowi grzybów i wywołanych przez nie chorób.

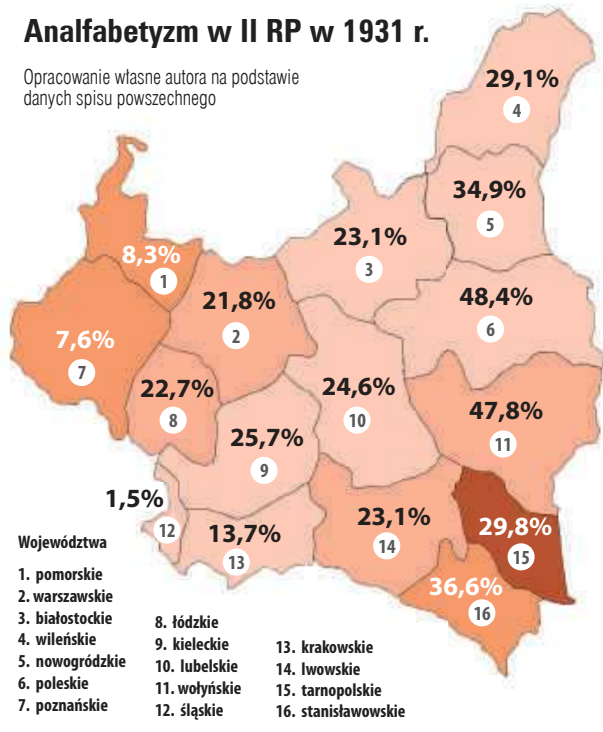
Zimą mieszkania były przeważnie niedograne, bo chłopi nie mieli za co kupić opału. Podczas największych mrozów temperatura we wnętrzu spadała czasami poniżej zera. „Pamiętam, jak przyszedłem wieczorem i zrzuciłem z nogi trepy w śniegu oblepione, to całą noc były oblepione i śnieg nie stopniał w mieszkaniu, jakże miał śnieg stopnieć, kiedy woda w naczyniach tak zamarzła, że musiałem rano mocno bić, żeby lód przebić”, pisał jeden z gospodarzy.

Bez światła i wody

Trzy lata po odzyskaniu niepodległości udało się zelektryfikować zaledwie ok. 500 wsi, czyli niespełna 0,5% ogólnej ich liczby. U progu II wojny światowej zelektryfikowanych było 1263 wsi, dostęp do elektryczności posiadało ok. 2% gospodarstw wiejskich i 6% ludności wsi. Ale nawet tam, gdzie doprowadzono już energię elektryczną, do oświetlenia używano tańszej nafty. Jak zauważył pewien gospodarz, „w zimie kosztuje mnie światło 30 gr dziennie, latem schodzi do 18 gr, to przecież poważny wydatek, jeżeli się zważy, że w miesiącu wydaję za światło w zimie do 10 złotych”. Nie każdego stać było nawet na zakup nafty. W 1933 r. „Wiadomości Literackie” podawały: „Izbę oświetla się »karpia« albo łuczycywem, przeważnie jednak siedzi się pociemku i o zmroku idzie człowiek spać”. Znacznie szybciej przebiegała elektryfikacja obszarów miejskich. Już w 1925 r. do sieci energetycznej przyłączono

Analfabetyzm w II RP w 1931 r.

Opracowanie własne autora na podstawie danych spisu powszechnego



► niemal połowę miast, a w 1939 r. nieco ponad 80%. I tak daleko nam było pod tym względem do krajów zachodnich. Jak podaje Felicja Szyszko-Witulska w „Elektryfikacji wsi” z 1937 r., w Norwegii w 1926 r. około połowy ludności wiejskiej korzystało z elektryczności, a w Niemczech 80%.

Wodę do celów gospodarczych, bytowych i higienicznych czerpano ze studni. Jednak na własną studnię mogli sobie pozwolić tylko najzamożniejsi, gdyż jej wykopanie trwało nawet kilka miesięcy, a koszt był porównywalny z kosztem budowy domu. Studnie budowane na własną rękę, bez odpowiedniej wiedzy technicznej, narzędzi i środków, stanowiły ogromne zagrożenie dla zdrowia. Czerpana z nich brudna woda była przyczyną częstych zachorowań na dur brzuszny. Ludność wiejska najczęściej korzystała ze studni zbiorowych, trzeba było do nich chodzić kilkaset metrów. W niektórych wsiach w ogóle nie było studni i wodę noszono z sąsiedniej miejscowości. Ograniczona dostępność do wody, oprócz utrudnień związanych z prowadzeniem gospodarstwa, zwiększała ryzyko pożarowe.

Para butów na rodzinę

Średnie miesięczne zarobki robotnika rolnego w połowie lat 30. kształtowały się poniżej minimum egzystencji, choć pracowano od świtu do zmroku. Podobnie wyglądało położenie rodzin gospodarujących na małych arealach ziemi. Dochody z uprawy nie pozwalały na zaspokojenie podstawowych potrzeb, dlatego drobnu rolnicy musieli dorabiać u bogatszych gospodarzy.

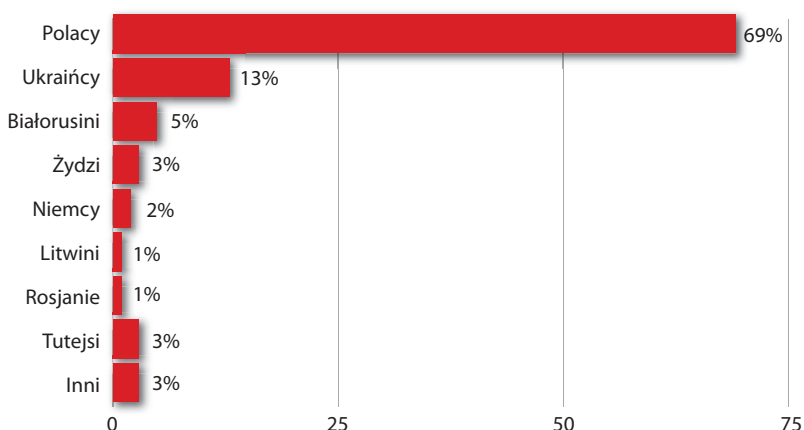
W 1925 r. trzy czwarte dzieci nie miało własnego łóżka, a jedna piąta sypiała na podłodze.

Największą część wydatków pochłaniało wyżywienie. Cukier i mięso były luksusem, na stole pojawiały się wyłącznie z okazji świąt. Na co dzień wiejskie rodziny jadły ziemniaki, przeważnie bez okras, suchy chleb bez żadnych smarowideł, kapustę, kaszę i czasem rzadką zupę. Bezrolni żywności w zasadzie samymi kartoflami, kapusta, fasola czy chleb stanowiły rzadkość. Jeden z gospodarzy z bólem opisywał w pamiętnikach: „Widziałem kiedyś, jak trzyletnie dziecko



Wies Jagielnica, 1929 r.

Ludność wiejska w Polsce według narodowości w 1931 r.



Opracowanie własne autora na podstawie danych spisu powszechnego

piło na śniadanie czystą (przegotowaną podobno) wodę, pojadając kawałek upieczonego na blasze kuchennej kartoflanego placka”.

Mało kogo było stać na buty, jedna para musiała służyć kilkanaście lat. Powszechnym zjawiskiem była jedna para butów na całą rodzinę. „ABC

drugiego na ważne okazje. Z powodu braku ubrań i bielizny na zmianę odzież prano raz na kwartał. W tych samych ubraniach pracowało się, odpoczywało i spało w nocy. Rodziny żyjące na wsi zazwyczaj korzystały z jednego, wspólnego dla wszystkich domowników ręcznika. Kapano się dwa razy do roku, przed świątami, a i wtedy w ramach oszczędności na opale w jednej wodzie myła się cała rodzina.

W 1925 r. Polski Komitet Opieki nad Dzieckiem opublikował dane, z których wynikało, że trzy czwarte dzieci nie miało własnego łóżka, a jedna piąta sypiała na podłodze. Nauczyciel wiejski w „ABC Nowinach Codziennych” pisze: „Twarze u tej partii dzieci – przeważnie bladolinawe, a dużo wśród nich – nalanych, brzuchy rozdęte od kartofli, nogi cienkie jak patyki lub naodwrot – grube, oczy patrzące bez wyrazu i mętne, obojętne na wszystko, niemrawe ruchy – to wygląd dziecka z Pohrobków”.

Nowiny Codzienne” w 1935 r. pisały o dzieciach chłopskich: „W czasie zimniejszych poranków kilku przynosi łapcie na nogach, kilkoro wogóle boso, a reszta w »klumpiach« nabitych gwoździemi”, natomiast w pamiętnikach odnotowano, że „najgorzej to już z małym rodzeństwem, do nastania większego zimna musi chodzić boso, zaś na ciepłą odzież niema pieniędzy”.

Zazwyczaj używano dwóch kompletów ubrań, jednego na co dzień,

Skutkiem trudnych warunków życia były choroby. „Pomoc lekarska i ta w najcięższych wypadkach niebezpiecznych chorób jest wtenczas, gdy się znajdzie jaka złotówka, gdy zaś niema macha się ręką »Dzieję się Wola Boża«” – czytamy w pamiętnikach. Pod względem liczby lekarzy, pielęgniarek, szpitali, łóżek szpitalnych II RP plasowała się w ogonie Europy. Wysoka była umieralność niemowląt, a krótka przeciętna długość życia.

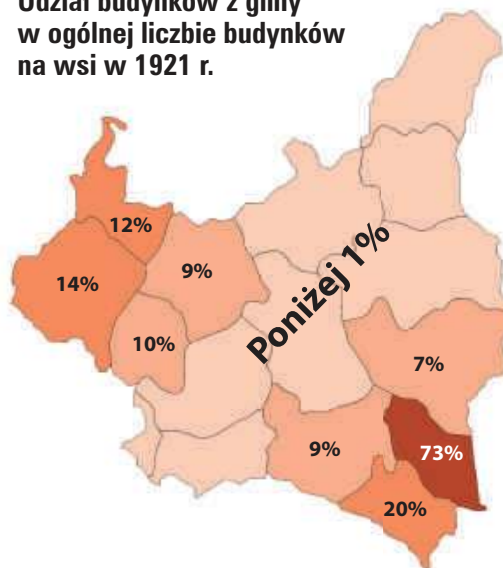
„Gruźlico, ty straszna przyjaciółko szarych nędznych chat ludu! Kiedyż twe bezlitosne feudalne królowanie skończy się nad nimi?!”, pytał w „Pamiętnikach chłopów” jeden z gospodarzy z województwa łódzkiego. Szacuje się, że w latach 30. na gruźlicę zachorowało ponad 1 mln osób, z czego trzy czwarte zmarło w ciągu kilku lat od zachorowania. Chorobę tę opanowano dopiero po wojnie. Ludność była dziesiątkowana także przez dur brzuszny, szkarlatynę i błonicę. Każdego roku na choroby te zapadało kilkadziesiąt tysięcy osób, a umierały tysiące.

Szkoła dla najbogatszych

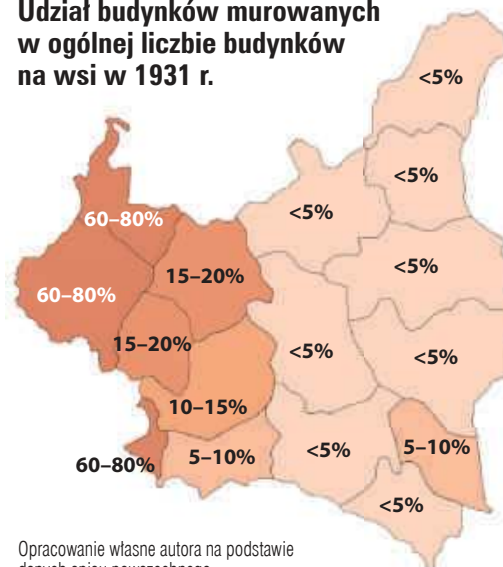
W 1938 r. poza systemem edukacji pozostawało ponad 500 tys. dzieci, głównie na wsi. Aż 85% wiejskich dzieci chodziło do czteroklasowych szkół I stopnia. W 1939 r. „Tydzień Robotnika” pisał: „(pamiętaj) straszliwa ciasnota w szkołach. »Szkoła« składa się z jednej izby 30 do 40 metrów powierzchni. W warunkach urągających najprymitywniejszym wymaganiom higieny i pedagogii uczy się połowa dzieci wiejskich. To też wśród dzieci (i nauczycieli) grasują choroby i gruźlica, jaglica, skrofuty, żółty, a wybuch epidemii ogarnia całą szkołę”. Tylko 15% uczniów ze wsi uczęszczało do szkół powszechnych umożliwiających dalsze kształcenie, co sprawiało, że naukę w gimnazjum, a potem w liceum kontynuowało niepełna 1% uczniów ze wsi.

Kazimierz Franciszek Żygulski, minister kultury i sztuki w latach 1982-1986, wspominał, że w II RP na

Udział budynków z gliny w ogólnej liczbie budynków na wsi w 1921 r.



Udział budynków murowanych w ogólnej liczbie budynków na wsi w 1931 r.



Opracowanie własne autora na podstawie danych spisu powszechnego

Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, gdzie się kształcił, studentów z ubogich wiejskich rodzin było 4%. Na innej lwowskiej uczelni, Akademii Handlu Zagranicznego, nie było ich wcale. Z kolei, jak podaje Krzysztof Wasilewski, w 1937 r. dzieci grup najzamożniejszych, których udział w społeczeństwie wynosił zaledwie 3,7%, stanowiły aż 66,5% ogółu studentów I roku. Ogólna liczba studentów w Polsce rzadko przekraczała 40 tys. osób.

Poziom analfabetyzmu w Polsce w 1931 r. to średnio 23,1% – w mieście 12,2%, na wsi 27,6%. Całkowita liczba analfabetów wynosiła 7,4 mln, w tym 6,2 mln na wsi.

W 1939 r. analfabetyzm według różnych źródeł spadł do 15-20%. Na wsi nie było dostępu do prasy ani do książek, publiczne biblioteki zazwyczaj nie działały. Jak wspomina w pamiętnikach jeden z gospodarzy, „o kupieniu gazety na wsi niema mowy. Czasem zabłądzi jakaś tania gazeta badaczy pisma świętego albo komunistyczna za darmo”.

Wyczekiwana reforma rolna

„Wyglądamy tych lepszych czasów, tych czasów byczych, lecz nie dla elity uprzywilejowanej, tylko dla nas ludzi na wsi czarnej dłoni, dla nas ludzi pracujących od wschodu do zachodu słońca”, czytamy w „Pamiętnikach chłopów” z 1935 r. Głód ziemi na wsi był ogromny, chłopcy oczekiwali reformy rolnej, wydzwignięcia wsi z nędzy i zacofania. Dlatego najuboższe warstwy społeczeństwa wiejskiego z nadzieją przywitały nową powojenną rzeczywistość.

W wyniku reformy rolnej z 1945 r. powstało 814 tys. nowych gospodarstw rolnych, a 255 tys. zostało powiększonych. Rozparcelowano niemal 6,1 mln ha ziemi. Głównymi beneficjentami reformy byli małorolni i bezrolni chłopcy, czyli najbardziej wykluczone warstwy społeczne II RP. Właśnie wśród tych warstw lewicowy blok rządowy (PPR, PPS, SD i SL), zwany także Blokiem Demokratycznym, cieszył się największą popularnością.

PPR z niewielkiej partii, grupującej w 1944 r. ok. 20 tys. osób, urosła w 1948 r. do rangi partii masowej, z niemal milionem członków. Podobnie było z PPS, która w 1945 r. miała ok. 120 tys. członków, a trzy lata później prawie 750 tys. W 1948 r. łącznie w obu partiach było ok. 800 tys. działaczy pochodzenia chłopskiego, z czego większość stanowili beneficjenci reformy rolnej, dawni robotnicy folwarczni i małorolni.

Dawid Kański jest absolwentem Uniwersytetu Warszawskiego, geografem, lewicowym publicystą i działaczem socjalistycznym

Buntownik wyraża uczucia pominiętych

Myślenie młodych ludzi bywa czarno-białe, ale kryje się w nim często duża odwaga i wiara w szansę na prawdziwą zmianę

Rozmawia Artur Zaborski

Bohaterem „Prime Time” jest Sebastian, zwykły chłopak, który nie ma szansy pojawić się na ekranie, tymczasem bierze broń i włamuje się do studia telewizyjnego w sylwestrową noc 1999 r. To wasz komentarz do filtrowania rzeczywistości przez media?

– Uważam, że temat reprezentacji jest istotny. Był problemem wtedy i nie przestał nim być. Główne media wciąż często pomijają pewne grupy społeczne. To jeden z powodów, dla których Sebastian wchodzi do studia.

Boimy się tego, że świat, jaki znamy, radykalnie się zmieni, a my nie będziemy umieli w nim się odnaleźć.

To, co widzimy w mediach, traktujemy przecież jako odbicie rzeczywistości. Oczywiście jest ono podkręcone, ale szukamy w nim siebie, niezależnie od tego, z której grupy społecznej pochodzimy. Dlatego osoby pracujące w telewizji, czy w ogóle w mediach, nie mogą zapominać, że dysponują ogromną siłą rażenia. Wpływają na życie ludzi, mogą mówić o ważnych sprawach albo o nich milczeć. To drugie zawsze rodzi napięcia, pytanie: dlaczego moje problemy są pomijane, a innych nie? **Sebastian nie chce, by po prostu powiedziano o nim w serwisie informacyjnym, chce sam wygłosić oświadczenie na żywo.**

– Wejście na żywo gwarantuje niezakłócony przekaz. Bohater wie, że tylko wtedy jego wypowiedź ma szansę zabrzmieć bez cenzury. Montaż i oprawa wiążą się z władzą. Od

tego, co z naszej wypowiedzi się zachowa i czym zostanie zobrazowana, zależy wydźwięk materiału. W ostatnich latach możemy o tym się przekonać, bo propaganda powróciła z olbrzymią siłą. Główne stacje wciąż kształtują nasze spojrzenie na wiele spraw, poglądy i wpływają na podejmowane przez nas wybory. Manipulują informacją, wypowiedziami, kreują wizerunki i atmosferę społeczną wokół istotnych tematów. Media nadal potrafią zarówno wynieść na piedestał, jak i zniszczyć. A czasami totalnie pominać, co bywa jeszcze bolesniejsze. Dlatego reprezentacja jest taka ważna.

Telewizja była wtedy głównym źródłem informacji. Mówiło się: nie ma cię w telewizji, to nie istniejesz.

– Bardzo dobrze te czasy pamiętam. Później telewizja ewoluowała, jej rola się zmieniła, wtedy jednak była w centrum świata. Pochodzę z małej miejscowości, a w nich właśnie dzięki telewizji można było się dowiedzieć czegoś o świecie. Zanim zacząłem jeździć do warszawskich kin, ambitne filmy oglądałem po nocach, bo emitowane były o późnych porach. Powiedzenie czegoś na antenie miało ogromną wartość, mogło ukształtować i zmienić rzeczywistość.

Łukasz Czapski – ukończył studia w Instytucie Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego oraz Szkołę Wajdy. Zaczynał w teatrze jako asystent reżysera i dramaturg. Debiutuje filmem „Prime Time”, którego jest współscenarzystą wraz z Jakubem Piątkiem. Film można oglądać od 14 kwietnia na Netflixie.



ŁUKASZ CZAPSKI

– scenarzysta filmu „Prime Time”

Gdyby Sebastian żył dzisiaj, mógłby swoją wiadomość przekazać za pomocą Instastories.

– Sieć i media społecznościowe to potężna siła. Dlatego akcja „Prime Time” dzieje się w 1999 r. Wtedy internet nie miał jeszcze takiego znaczenia ani nie był tak dostępny. Najważniejszym medium wciąż była telewizja. Hasło „na żywo” dotyczyło wtedy tylko anteny telewizyjnej i radiowej. Dzisiaj termin *live* będzie się kojarzył z Instagramem albo YouTube’em. Generalnie z siecią. Powrót do lat 90. był dla nas również podróżą sentymentalną. Zarówno ja, jak i reżyser i współscenarzysta Kuba Piątek oraz producent Kuba Razowski byliśmy wtedy nastolatkami. Ale nie korzystaliśmy wyłącznie z własnych wspomnień. Wykonaliśmy też dużą dokumentację. Przekopaliśmy archiwa fotografii prasowej z tamtych lat, kupiliśmy zestaw gazet

i magazynów z 1999 r., spotykaliśmy się z ludźmi, którzy pracowali wtedy w telewizji i na policji. Chcieliśmy dobrze odtworzyć w scenariuszu nastroje społeczne ówczesnej Polski i na tym tle umieścić doświadczenie młodego człowieka, który wszedł właśnie w dorosłość.

**Te społeczne napięcia widać także wśród innych bohaterów. Ochro-
niarz Grzegorz zaczyna sympatyzować z Sebastianem, bo sam
pochodzi z grupy, którą telewizja
systematycznie pomija. Kolejny do-
wód na to, że klasa wyższa udaje,
że nie widzi niżej.**

– Rozwarstwienie społeczne było jednym z tematów w trakcie pracy nad scenariuszem. Rok 1999 wydawał się nam fascynujący, bo to był czas, kiedy wiele osób w Polsce coraz głośniej zaczęło mówić, że nie są zadowolone z transformacji. Minęła dekada demokracji i przyszła pora na pierwsze rozliczenia. Podziały społeczne stawały się coraz bardziej widoczne, a grupa pominiętych wydawała się rosnąć w siłę. Jak niewiele się zmieniło od tamtego czasu. W filmie pojawiają się materiały reportażowe. Obejrzelśmy wiele archiwaliów i uderzyło nas, że mimo 20 lat różnicy to, co mają do powiedzenia zwykli ludzie, nie zmieniło się. Hasła na transparentach są często takie same, ciągle walczymy o te same prawa. Wtedy też przez kraj przelewały się fale protestów.

Na ulice wychodziły pielęgniarki, nauczyciele sprzeciwiali się reformie szkolnictwa, a rolnicy blokowali drogi.

Jak wspominasz sylwestra 1999?

– Pamiętam, że byłem na domówce, przejęty, że mogę zostać gdzieś do rana. Wiele wcześniejszych sylwestrowych nocy spędziłem przed telewizorem. Telewizja przygotowała dwie spektakularne imprezy tamtej nocy. Na placu Teatralnym Janusz Olejniczak grał Chopina, a na placu Zamkowym śpiewało Boney M. Ale pamiętam tę noc także ze względu na napięcie, które towarzyszyło zmianie

**Młodzi ludzie zastanawiają się, co ze sobą zrobić,
czy jest tu dla nich miejsce, czy ktoś ich zauważa.**

daty w cyfryzującej się rzeczywistości. Widmo „pluskwy milenijnej” oddziaływało na wiele osób. Atmosfera „końca świata” przebudziła wiele lęków, prowokowała pytania egzystencjalne. Ludzie naprawdę zastanawiali się, co dalej. Co, jeśli nagle systemy bankowe i komputery padną? Nastroje były różne. W dużej mierze przypominały te z początku pandemii. Nikt nie wiedział, dokąd nas to wszystko zaprowadzi. Niektórzy gromadzili duże ilości jedzenia na wszelki wypadek.

**Moja babcia inwestowała zwłaszcza
w cukier.**

– Ludzie wyplacali pieniądze z kont, bo bali się, że je stracą. Z naszej perspektywy – przy obecnym poziomie cyfryzacji – to wydaje się szalone, ale wtedy były to ludzkie odruchy wynikające ze strachu przed niewiadomym. W tym strachu było zresztą coś uniwersalnego. Boimy się, że świat, jaki znamy, przeminie, radykalnie się zmieni, a my nie będziemy umieli w nim się odnaleźć. Teraz wiele osób marzy, żeby świat wrócił do normy sprzed pandemii. Ludzie boją się, że powrót do tego, co było, jest niemożliwy, a nowe jest nieznane.

**Czyli robiąc film o przeszłości,
mogliście opowiedzieć o naszym
tu i teraz.**

– Opowieści nie trzeba było aktualizować, bo czas niesamowicie się zapętlił. Nie zmieniły się również odczucia młodych ludzi, którzy zastanawiają się, co ze sobą zrobić, czy jest tu dla nich miejsce, czy ktoś ich zauważa. To chyba zresztą uniwersalne dla najmłodszych pokoleń. Tam najczęściej znajdziemy buntowników, idealistów, którzy wierzą, że można wszystko zmienić. Dostrzegłem to wyraźnie podczas protestów wywołanych wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego czy w obronie sądów. W 20-latkach, a nawet młodszych osobach, drżenie niesamowita energia, do której odwoływaliśmy się w pracy nad postacią Sebastiana. Może myślenie młodych ludzi bywa czarno-białe, ale kryje się w nim często duża odwaga i wiara w szansę na prawdziwą zmianę. Wiara w to, że głośny sprzeciw może na coś się przełożyć. I że przede wszystkim coś znaczy.

**Młodzi mają mniej do stracenia, nie
ryzykują wypracowanych pozycji
jak ich rodzice. To bardzo roman-
tyczna figura.**

– Tęsknota za postacią buntownika była dla nas ważną inspiracją. Dużo rozmawialiśmy o figurze bohatera, który znajduje w sobie siłę, aby powiedzieć, że na coś się nie godzi, wyrażając tym samym pewien nastrój społeczny. Mówi w swoim imieniu, ale oddaje niezadowolnienie



► innych. Jest to bardzo romantyczny, a jednocześnie ludzki akt. Pojawienie się takiego buntownika w konkretnym miejscu i czasie zaburza normę. Wszyscy świadkowie tego aktu zajmują wobec niego jakieś stanowisko. Ta noc zmieni życie nie tylko głównego bohatera.

Twoim zdaniem bunt ma sens? Wydzwięk „Prime Time” jest pod tym kątem raczej pesymistyczny.

– Wciąż wierzę, że ma. I nie chodzi o ostateczny rezultat tego buntu, tylko o sam akt. Bunt wymaga odwagi. Stoją za nim wielka siła, determinacja i decyzja. Często też cierpienie, wykluczenie i desperacja. Energia,

W pewnym sensie jako społeczeństwo nie moglibyśmy funkcjonować bez buntowników, bo to oni w naszym imieniu, z odwagą, której czasem nam brakuje, mówią systemowi głośno: „Nie, nie zgadzam się”.

Nie bałeś się, że pokazanie bohatera, który macha bronią i bierze zakładników, będzie przekroczeniem pewnej granicy? Sam łąpałem się na tym, że empatyzuję z Sebastianem.

– Zależało nam, żeby Sebastian był bohaterem tajemnicą. Nie stawiamy żadnych konkretnych hipotez, dajemy dużo tropów odbiorcom. Rozrzucaamy je w filmie, tak by

obok głównego bohatera i zastanowić się, dlaczego tak się stało.

Widać, że nawarstwily się w nim złe wydarzenia i emocje zbierane przez lata.

– Był to ciąg zdarzeń, które doprowadziły do ostateczności. Interesowało nas, do jakiego stopnia desperacji musi być doprowadzony człowiek, żeby zrobić coś takiego. W tym sensie nasz film opowiada historię zderzenia jednostki z systemem. Na ile nasze romantyczne fantazjowanie o jednej osobie, która pojawi się i zmieni coś na lepsze, jest realistyczne i możliwe? Jaki jest skutek zderzenia jednostki z systemem?

Przedstawiciele systemu w waszym filmie nie są zdemonizowani, ich obraz nie jest czarno-biały.

– System zawsze tworzą ludzie. Zależało nam, żeby uniknąć uproszczeń. Wszystkie postacie konstruowaliśmy jako złożone, uwikłane w życie osoby. Spotykaliśmy się z ówczesnymi pracownikami zarówno telewizji, jak i policji, którzy mogli nam przybliżyć tamte realia. Produkcja stworzyła nam także warunki do licznych prób. To rzadki luksus. Mogliśmy testować napięcia między postaciami, szukać naturalnej dramaturgii scen. Umożliwiło to nam skrojenie tekstu na miarę. Dla mnie jako scenarzysty było to też bardzo cenne doświadczenie uczestnictwa w zbiorowym akcie tworzenia filmu. Bo scenariusz to zawsze tylko pretekst. Film spełnia się na ekranie, w relacji z widzem.

„Prime Time” w relacji z odbiorcą A.D. 2021 naprawdę dobrze rymuje się z rzeczywistością za oknem. Akcja osadzona jest w studiu, nie wychodzimy poza główne pomieszczenie – jakbyśmy oglądali film pandemiczny.

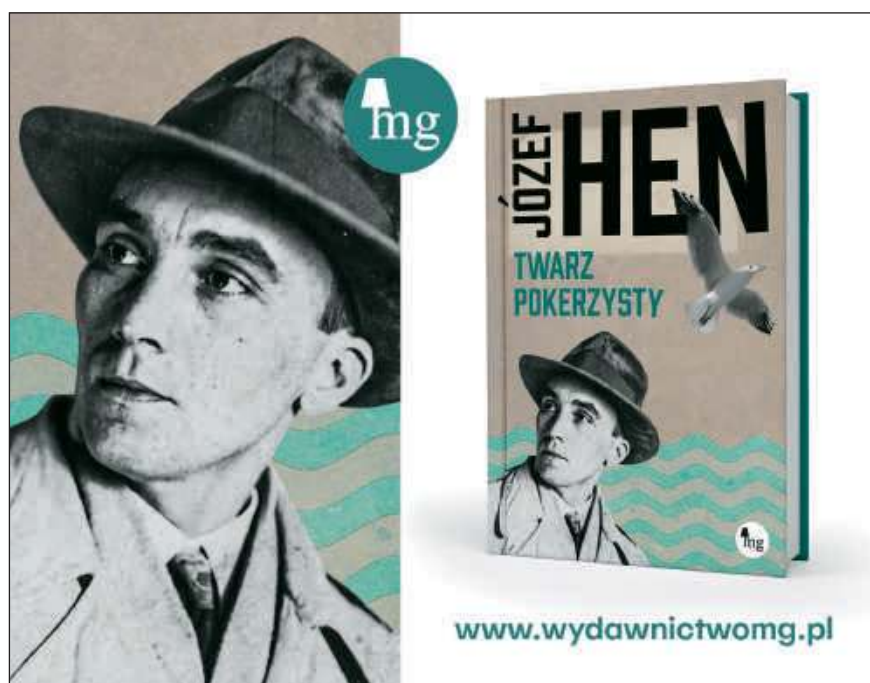
– Scenariusz pisany był wcześniej, zanim komukolwiek przyszło do głowy, że może pojawić się koronawirus. Istotny był dla nas moment wejścia w nowe milenium. Historia dzieje się w zamkniętym pomieszczeniu, jesteśmy odizolowani od świata. Nikt z nas nie mógł przypuszczać, gdzie wylądujemy w 2020 r. Z idei zamknięcia narodził się zatem dodatkowy kontekst – ono wyzwała procesy zachodzące między ludźmi. W ciągu jednej nocy może dojść do wielu zmian.

Artur Zaborski

Montaż telewizyjny wiąże się z władzą. Mamy szansę o tym się przekonać, bo propaganda powróciła z olbrzymią siłą.

jaką wyzwala, zawsze rezonuje z tymi, którzy znajdują się w pobliżu. Potrafi zarażać. Inspirować. A przede wszystkim rzuca światło na zapomniane tematy i problemy społeczne. Buntownik zazwyczaj wyraża uczucia pominiętych, spoza głównego rozdania. W tym sensie większość znanych historycznie buntowników nie skończyła może najlepiej – zderzenie jednostki z systemem bywa bolesne. Nieraz płaci się za to wysoką cenę. Ale fala, którą wyzwala to zderzenie, bywa początkiem zmiany.

nie były łatwe do odczytania wprost. Motywacja Sebastiana jest złożona. Na pewno ważne było dla nas, żeby widz go nie oceniał, tylko spróbował dotrzeć do niego, zrozumieć, postawić się w jego sytuacji. Każdy z bohaterów „Prime Time” ma opinię na temat Sebastiana. Nieraz wykluczają się one i zmieniają. Chcieliśmy, żeby widz wyruszył też w taką podróż z Sebastianem. Żeby poczuł różne emocje. Skoro wspominałeś o empatyzowaniu, to oznacza, że historia działa. Że jesteśmy zdolni stanąć



NA POWAŻNIE

MIŁOŚĆ NA ZAKRĘCIE

Przeniesienie akcji z XIX w. do współczesności nie razi. Także pozbawienie romantycznej opery scen zbiorowych wydaje się naturalne, bo rzecz dzieje się gdzieś na poboczu autostrady. Tu spotykają się Oniegin i Tatiana. Ona wkłada list za wycieraczkę jego samochodu, jakby to był mandat za złe parkowanie. Kameralnej scenerii pomaga opracowanie muzyki Czajkowskiego na zespół kilku instrumentów z fortepianem. Pomysł spektaklu „Zakręt” zrodził się w wyniku obostrzeń pandemicznych, redukujących liczbę osób na scenie i w kanale orkiestrowym. Jest bezpiecznie i nadal bardzo przejmująco.

Bronisław Tumilowicz



„Eugeniusz i Tatiana – Zakręt”, na motywach opery Piotra Czajkowskiego, reżyseria Pia Partum, kierownictwo muzyczne Jerzy Wołosz, Opera na Zamku w Szczecinie, premiera 12 marca 2021

SERIAL



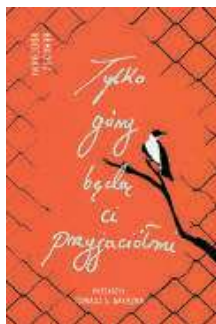
NIEREALNE

prod. USA, HBO i HBO GO, od 12 kwietnia

Serial portretuje Brytyjki w wiktoriańskiej Anglii, które odkrywają w sobie nadnaturalne moce. Niektóre chowają się za nimi, inne chcą za ich pomocą podporządkować sobie zwykłych ludzi, a część wykorzystuje je do walki o lepsze jutro. Podążamy za tymi ostatnimi i oglądamy, jak czyszczą Londyn ze zła. Ale nie mają zbyt wielu fanów, bo jak to w tego typu produkcjach bywa, naznaczone bohaterki uosabiają wszelkie mniejszości – sieją strach, bo uchodzą za wybryk natury, wyróżniają się. Na szczęście dużo tu humoru, a że za produkcję odpowiada Joss Whedon (zwołniono go, zanim praca została ukończona, bo wyszło na jaw, że jest mobberem), który ma na koncie takie hity jak „Buffy: Postrach wampirów” czy „Avengers”, to czekają nas spektakularne pojedynki i wyraziste postacie w akcji o feministycznym wydźwięku (trudno o lepszą metaforę emancypacji niż gorsety, które ściskają talię bohaterek na balach i rautach i pękają, gdy na ulicach trzeba się zmierzyć z wrogami). To wystarczy, by wejść w ten historyczno-fantastyczny świat bezboleśnie.

Artur Zaborski

MIĘDZY OKŁADKAMI



Behrouz Boochani
Tylko góry będą ci przyjaciółmi

tlum. Tomasz S. Gałązka

Artrage.pl, Książkowe Klimaty, Wrocław 2021

Pisałem o tej książce w PRZEGLĄDZIE, gdy wędrowała po świecie jeszcze w wersji anglojęzycznej. Dziś w końcu jest po polsku i chwała za to wydawcom! Historia jej powstania jest niesamowita. Behrouz Boochani wystukiwał ją na ekranie telefonu komórkowego, przysyłając fragmenty WhatsAppem do Omida Tofighiana, przyjaciela i tłumacza z farsy na angielski. Boochani, kurdyjsko-irański dziennikarz, próbując dostać się do Australii, trafił do obozu dla uchodźców na wyspie Manus. Opisywanie koszmaru osadzonych było dla niego formą radzenia sobie z trudami obozu i manifestem politycznym. Tekst będący efektem tej walki literacko zachwyca. Autor sprawnie balansuje między poetyckim studium samotności, brutalnym reportażem, komentarzem politycznym a rozprawą filozoficzną. Za „Tylko góry będą ci przyjaciółmi” Boochani dostał najważniejszą nagrodę literacką w Australii, ale nie mógł jej odebrać osobiście. Dziś – dzięki rozgłosowi, który przyniosła mu książka – cieszy się wolnością w Nowej Zelandii.

Rafał Piłkuła

ZASŁUCHAJ SIĘ

Joanna Sochacka
Grażyna Bacewicz, Piano Music
DUX

Może dla kogoś będzie zaskoczeniem, że nasza najwybitniejsza kompozytorka była nie tylko świetną skrzypaczką, ale także doskonałą pianistką. O tym świadczy płyta, na której możemy posłuchać wyłącznie utworów na fortepian – trzech sonat oraz trzech etud. Są tutaj kompozycje zupełnie zapomniane, które nagrano po raz pierwszy, posługując się rękopisem, ale jest też II sonata, spopularyzowana przez Krystiana Zimermana, w której słyszymy znane rytmy góralskie. Utwory Grażyny Bacewicz wykonuje Joanna Sochacka. Gra mocno, wirtuozowsko, ale z przyjemnością można też posłuchać etudy z 1952 r., delikatnej kołysanki, również wykorzystującej ludowe motywy.

Franciszek Jacik



Włochy

– kraj kawą płynący

Włoskie Ministerstwo Rolnictwa i Polityki Żywnościowej zgłosiło neapolitańskie espresso na listę światowego dziedzictwa UNESCO

Tomasz Skowronek

„Ten napój jest balsamem dla serca i ducha”, mówił o kawie Giuseppe Verdi, XIX-wieczny włoski kompozytor. Verdi, jak prawie każdy Włoch, wiedział, że nie ma nic lepszego niż dobre espresso. To coś, co jest częścią włoskiego codziennego życia: od samego rana – tuż po przebudzeniu – do wieczora, kiedy kawa staje się najlepszym zakończeniem dobrej kolacji. Chyba nigdzie indziej filiżanka kawy nie jest tak zakorzeniona w kulturze narodowej i życiu codziennym jak na Półwyspie Apenińskim. Teraz włoskie Ministerstwo Rolnictwa i Polityki Żywnościowej stara się, by neapolitańskie espresso wpisano na listę niematerialnego światowego dziedzictwa UNESCO.

Przeciętny Włoch tęskni do tego, by jak przed pandemią kawiarnie działały pełną parą. Biznesmeni i menedżerowie mieszały się z emerytami, robotnikami i studentami, którzy wpadali do okolicznych lokali, aby szybko wypić kawę. Stali przy barze, głośno dyskutując. A w wypolerowanych na błysk ekspresach pracownicy przygotowywali espresso, latte, macchiato czy cappuccino.

Dziś kawowe delikacje z reguły można kupić tylko na wynos. Najczęściej zamawianą kawą jest espresso. Cappuccino, choć bez dwóch zdań jest symbolem włoskiego życia, nad Tybrem pije się zdecydowanie rzadziej. Po godz. 12 zamówienie cappuccino w ogóle jest niestosowne, to typowa kawa śniadaniowa.

„Spożywamy 3 mld filiżanek dziennie, daje to pracę prawie 10 tys. osób

i generuje obrót w wysokości 5 mld euro”, zauważa „La Repubblica”, podkreślając znaczenie kulturowe i gospodarcze espresso – i ogólnie kawy – dla Włoch. Warto dodać, że w kraju działa ok. 800 palarni kawy, a wśród nich takie znane globalne marki jak Lavazza, Illy czy Pellini.

Kawa była najpierw uprawiana w Etiopii, skąd później została wprowadzona do Europy przez imperium osmańskie. Jego władcy uznali, że bogaty smak i właściwości energetyzujące uczyniłyby z kawy opłacalny biznes, i zwiększyli uprawę w Jemenie na rynek europejski. Do Włoch ziarna dotarły na początku XVIII w., sprowadzone przez kupców weneckich.

Tutaj kawa jest jak religia.

Napój został dobrze przyjęty przez konsumentów – do tego stopnia, że w 1763 r. w mieście było aż 218 kawiarni. W Wenecji do dziś znajduje się Caffè Florian, założona w 1720 r. Mieszcząca się na Piazza San Marco kawiarnia jest najstarszą działającą na świecie. W XVIII w. znani artyści, tacy jak Johann Wolfgang von Goethe, komediopisarz Carlo Goldoni czy pisarz Silvio Pellico, zatrzymywali się w Caffè Florian na intelektualne rozmowy i rzecz jasna kawę. Stałym bywalcem był też Giacomo Casanova, ponieważ wenecka kawiarnia była jedyną, do której wstęp miały również kobiety. Później lokal stał się ulubionym przystankiem młodych arystokratów, takich jak lord Byron.



Jak zauważa Massimo Cerulo, socjolog z Università degli Studi di Perugia, w rozmowie z „New York Timesem”, kawa była także zwiastunem demokracji. „Sfera publiczna, jaką znamy, narodziła się w kawiarniach”, zaznacza naukowiec i przypomina, że Caffè Florian była miejscem spotkań radykałów politycznych przed rewolucją francuską, a później patriotów weneckich podczas rewolucji w 1848 r. „W miarę rozwoju historii kawy społeczeństwa jednoczyły się w Caffè Florian. Kawiarnia stała się miejscem spotkań ludzi z różnych środowisk, bez względu na klasę społeczną czy przekonania polityczne. Caffè Florian ustanowiła precedens tego, czym może być kawiarnia i jaką rolę może odegrać we współczesnym życiu społecznym. (...) Do dziś przy filiżance espresso masz możliwość spotkania wielu ludzi, bez względu na status, klasę, bogactwo”.

Jednak dopiero wynalezienie w Mediolanie pod koniec XIX w. parowego ekspresu sprawiło, że Włochy dały światu espresso. Od tego czasu ta kawa to we Włoszech

znacznie więcej niż napój – to prawdziwy rytuał, a jej jakość to poważny temat. Każdy ma ulubioną mieszankę, a także stopień prażenia ziaren.

Espresso nie wymaga określonych ziaren ani konkretnego rodzaju palenia. Otrzymywane jest z prażenia i mielenia zarówno arabiki, jak i robusty. Nie ma też czegoś takiego jak jednolita mieszanka espresso dla całego kraju. Według Susanny Tarozzi, kierowniczk ds. badań i rozwoju firmy Coin, palarni z Bolonii, każdy region ma własne tradycyjne mieszanki. „W północnych Włoszech konsumenci doceniają kawę bogatsze w arabikę, ci z południa wolą wyższy procent robusty”, wyjaśnia.

Wynalezienie w Mediolanie pod koniec XIX w. ekspresu parowego sprawiło, że Włochy dały światu espresso.

Espresso to przede wszystkim sposób na bardzo szybkie zaparzenie drobno zmielonej i zagęszczonej kawy bardzo gorącą wodą pod wysokim ciśnieniem. Aby espresso było tradycyjne, musi być zaparzone przy użyciu ekspresu barowego. Kawa powinna być świeżo zmielona i parzona przez 20-27 sekund. Istnieją też ustalenia dotyczące rodzaju filiżanki (porcelana z wąskim dnem), ilości kawy w filiżance (od 13 do 26 g) oraz jej temperatury (od 90 do 96 st. C).

Espresso jest zasadniczo gęstsze niż kawa parzona innymi metodami, co wynika z wyższego stężenia zawieszonych i rozpuszczonych ciał stałych; na wierzchu zaś znajduje się *crema* – pianka o kremowej konsystencji. Wisienką na torcie doskonałego espresso jest właśnie ta spieniona warstwa. *Crema* powstaje, gdy na podłoże działa ekstremalne ciśnienie i gorąca woda, co sprzyja wydzielaniu dwutlenku węgla. Jeśli ziarna zostały odpowiednio zmielone i wypalone, pianka powinna siedzieć na kawie i czekać na jej wymieszanie. Kremowe zwieńczenie napoju, zgodnie z przepisami opracowanymi przez Konsorcjum Ochrony Tradycyjnej Włoskiej Kawy Espresso, „musi być jednolodne i trwać przez co najmniej 120 sekund od momentu wydania kawy bez jej mieszania”. Zgodnie z tymi przepisami pianka musi być „spójna, o ciemnoorzechowym kolorze, z jasnymi smugami”.

W jednym z wywiadów Marco Eskandar, Egipcjanin z urodzenia i wieloletni mieszkaniec Włoch, właściciel rzymskiej kawiarni Er Barretto, zdradza sekret dobrego espresso: „To pięć razy M, czyli: *la miscela* (mieszanka), *il macinadosatore* (młynek), *la macchina* (ekspres do kawy), *la mano* (dłoń, a więc umiejętności baristy), *la manutenzione* (konserwacja)”. Wszystkie te czynniki mają ponoć wpływ na smak, konsystencję i aromat napoju.

W ciągu lat espresso ewoluowało i doczekało się różnych wariantów. Do wyboru jest wiele odmian: od *macchiato* – poplamione mlekiem, po *corretto* – z dodatkiem grappy

lub koniaku. Natomiast na lato opracowywane są odświeżające wariacje, np. *shakerato*, czyli espresso z lodem. Następnie jest *granita di caffè* – mrożona mieszanka kawy, cukru i wody, podawana z porcją bitej śmietany – w ten sposób Włosi zmienili ukocone espresso w deser.

Najczęstszym rytuałem, jak już wspomniano, jest picie kawy na stojąco przy barze. Niezależnie od tego, czy znajdziemy się we Florencji, Bergamo, Rzymie czy Palermo,

kawę, stojąc przy barze, barista najpierw podaje im szklanę gazowanej wody, którą należy wypić, by oczyścić podniebienie. Następnie podawane jest espresso. Do smaku tutejsi często dodają cukier. Podobno neapolitańczycy mogą w ten sposób pić od trzech do dziesięciu filiżanek kawy dziennie, o każdej porze.

Neapolitański rytuał kawowy dał również początek wielu tradycjom, które mają świadczyć o hojności mieszkańców tego regionu. Jedną z nich – *caffè sospeso* – ciągle jest powszechna i polega na płaceniu za dwie kawy w barze; wypija się jedną, podczas gdy druga ma być zaoferowana nieznanemu, który o to poprosi. W ten sposób później, gdy do baru wchodzi osoba, której nie stać na kawę, może zapytać o *caffè sospeso*. Jak pisze portal Stora di Napoli, nie wiadomo do końca, skąd wziął się ten zwyczaj, ale tradycja rozkwitła podczas II wojny światowej i zaraz po niej, gdy Neapol był zniszczonym i biednym miastem. W ostatnim czasie (zwłaszcza w obliczu kryzysu gospodarczego czy pandemicznego) oprócz „zawieszonych kaw” można w ten sposób zamówić kanapki, pizzę czy książki.

Włoska kultura kawowa jest tak zakorzeniona, że nawet Starbucks nie dokonał masowej inwazji na tym terenie. Swoją pierwszą i jak dotąd jedyną lokal otworzył dopiero

We Włoszech działa ok. 800 palarni kawy, wśród nich takie marki jak Lavazza, Illy czy Pellini.

w północnej czy południowej części kraju. Zwyczaj, kultura picia kawy, a konkretnie espresso, są praktykowane w całych Włoszech. Ale za kawową stolicę uchodzi Neapol. „Rozmowa o kawie jest jak rozmowa o pizzy – to część naszej tradycji”, mówił dla „CSB News” Marco Uzzi, przewodnik po Neapolu. Regularnym przystankiem na jego trasie jest Caffè Gambrinus, kultowa kawiarnia, która została założona przed powstaniem Włoch, kiedy Neapol był jeszcze królestwem. „To jak świątynia – powiedział Uzzi. – A tutaj kawa jest jak religia”.

To właśnie w Neapolu najbardziej zauważalne jest picie kawy *al volo* (w ruchu). Gdy miejscowi zamawiają

w 2018 r. w kosmopolitycznym i biznesowym Mediolanie.

Przed pandemią zawód baristy bądź ogólnie pracownika w branży kawowej uchodził za dość pewny i stabilny. W 2019 r. w Rzymie zainicjowano nawet projekt o nazwie „Praca w barze”, który wyuczał młodych migrantów na baristów i kelnerów. Celem inicjatywy było zapewnienie małoletnim cudzoziemcom i młodym dorosłym szansy na uzyskanie niezależności społecznej i zawodowej. W trakcie 100 godzin szkolenia, prowadzonego przez fundację Il Faro, zdobywali umiejętności komunikacji z klientami, zarządzania zamówieniami, organizowania obsługi w barze i parzenia kawy przy

- użyciu niezbędnych narzędzi, przygotowywania produktów do kawiarni, zrozumienia głównych stylów obsługi itp.

Jakie cechy powinien mieć zatem dobry barista? We włoskich poradnikach można przeczytać, że przede wszystkim konieczna jest miłość do tego zawodu i do kawy, udział w szkoleniach, odwiedzanie targów lub innych imprez poświęconych kawie. Taka osoba musi umieć szybko pracować, aczkolwiek sama prędkość nie wystarczy. Bo

należy też rozmawiać z klientami podczas przygotowywania kawy. To właśnie charakteryzuje naprawdę dobrego baristę!

„Bariści rozpoczynają pracę już o 6.00 rano, a ostatnia zmiana kończy się o 21.00”, mówił przed laty pan Luigi, właściciel rzymskiej La Licata, w rozmowie z „The Local”. Czasem za barem trzeba stać cały dzień. Luigi ma za sobą ponad 30 lat działalności, a jego kawiarnia znajduje się rzut kamieniem od Koloseum. „Umiejętność pracy z ludźmi” również jest

postrzegana przez Luigiego jako istotna część branży. Każdy włoski bar istnieje bowiem jako nieoficjalny klub, a bariści znają nazwiska i zawody jego członków. We Włoszech nie brakuje szkół dla baristów. W portowym Trieście działa nawet uniwersytet kawowy, założony w 1999 r. i finansowany przez markę Illy.

Mimo pandemii zarówno konsumpcja, jak i eksport kawy rosną. Całkowita sprzedaż w 2020 r. osiągnęła wartość 3,9 mln euro. Nawet pandemia COVID-19 nie wystarczyła, aby ograniczyć spożycie kawy we Włoszech i eksport włoskich firm. Kraj ten jest także – razem z Niemcami – światowym liderem w branży maszyn do palenia kawy i urządzeń pakujących.

Pandemia wymusiła jednak pewne zmiany w przyzwyczajeniach Włochów. Jedną z głównych jest to, że praktycznie wszędzie można kupić kawę na wynos. Wcześniej było to niemal świętokradztwo, ale w trakcie lockdownu ludzie zwyczajnie nie mieli innego wyboru. Teraz niektóre bary dostarczają nawet poranne cappuccino, espresso czy corretto bezpośrednio do drzwi klientów, i to o stałych porach.

Gdyby espresso zostało wpisane na listę UNESCO, umocniłoby to nie tylko rytualne postrzeganie tradycyjnej włoskiej kawy, lub chociaż kawy neapolitańskiej, i myślenie o niej jako o prawdziwej sztuce, ale też całą kulturę kawową oraz pozycję szeroko pojętych włoskich marek zajmujących się produkcją kawy i sprzętów do jej przygotowania.

Kandydaturę neapolitańskiego espresso poparły wszystkie stowarzyszenia związane z biznesem kawowym, zarówno z północy, jak i z południa kraju. „Kawa jednoczy Włochy i reprezentuje je we wszystkich aspektach kulturowych i regionalnych oraz jest integralną częścią naszej kultury – mówi Maurizio Maccagnani, prezes La Spaziale, firmy zajmującej się produkcją akcesoriów do kawy. – Dlatego ochrona tego niezbędnego skrawka Włoch, jedynego i niepowtarzalnego, ma fundamentalne znaczenie zwłaszcza w trudnym okresie kryzysu zdrowotnego i gospodarczego, którego doświadczamy”.

Tomasz Skowronek



Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Czerstwa dama

Mama zaszczipiona, wreszcie można było się spotkać. Antoś nie widział babci od jesieni, czyli mniej więcej dziesiątą część swojego życia, to tak, jakbym ja jej nie spotkał, od kiedy rządzi PiS; ciężki szmat czasu. Seniorka rodziny szczęśliwie wkracza w 85. wiosnę żywota, czuje się jak zwykle znakomicie, a im lepiej się czuje, tym bardziej wszystkich straszy, że niedługo umrze. Przez telefon nie sposób zweryfikować tych pogrozek, więc Antek przywykł, że babcia jest jedną nogą w grobie; kiedy w końcu ją zobaczył, traktował jak istotę bliższą już zaświatom. Śpiewał na cały samochód piosenki napisane przez tę drugą, sławną babcię, a kiedy moja mama w zachwycie zapowiedziała, że wszystkim opowie, jaki jej wnuczek muzykalny, Antoś zapytał: „Gdzie powiesz, w niebie?”.

Mama lubi trzymać całą rodzinę w permanentnej gotowości na jej ostateczne odejście, udaje się to jej zдалnie, ale kiedy się spotykamy, okazuje się najzdrowsza z nas wszystkich: serce jak dzwon, umysł jak brzytwa, figura dzierlatki. Następuje radość z cofnięcia czasu, bo z rozmów miesiącami prowadzonych wynikało, że matka jest chora na śmierć i chciałaby ostatni raz się nacieszyć spotkaniem rodzinnym, tymczasem staje przed nami jako czerstwa i żwawa dama. Twierdzi, że tak dobrze wygląda, bo jej godzina wybić może w każdej chwili, więc każdego ranka na wszelki wypadek „robi się” do trumny, chce być ubrana na wieczność w to, co lubi. Nie jest konsekwentna, bo kiedy ją pytam: „Oma, niy ma ci zimno?”, odpowiada, że podczas kremacji ogrzeje się za wszystkie czasy. No to trumna czy urna, mammo, wolelibyśmy wiedzieć – twierdzi, że jeszcze ma czas na decyzję. Ta to ma dobrze, na karb wieku może składać np. niekonsekwencję i nieszczelną pamięć, jako i nieznośność – bywa bowiem nieznośna i czerpie z tego powodu szczególną przyjemność: wreszcie jej wolno. Zadbana, atrakcyjna pani, nikt o zdrowych zmysłach nie powiedziałby o niej *per* staruszką; ma swój żywy portret Doriana Graya w postaci rówieśnej szwagierki, mieszkającej po sąsiedzku – nie dla obu czas był taskawy. Ciotka niczego jej nie zawiniła poza tym, że wiek po niej widać – mama, by tak rzec, zerwała z nią relacje wzrokowe z tych samych powodów, dla których nie szukam w mediach społecznościowych dawnych znajomości z podstawówki – pal licha takie zwierciadła metrykalne.

**Dobrze, że łamiące serca śmierci matek
nie łamią piór, ale sam wolę nie ryzykować.**

Matka nawet nie udaje, że boi się śmierci; bała się samotnego wdowieństwa, a okazało się atrakcyjniejsze niż wieloletni mariaż, bała się braku pomocy w razie niedołęstwa, ale płodność dzieci i wnuków zapewnia jej zainteresowanie pokaznego stadka. Powiedzieć, że wszyscy ją sobie wyrwają, byłoby przesadą, bo babcia potrafi dać do wiwatu, ale na osamotnienie narzekać nie może. Wciąż zdrowa, ma zdrowy dystans do swojej metryki, lubi wisielczy humor, cierpi przy tym na całkiem spory zestaw przewlekłych chorób, które tak zamęczyła, że już nie są w stanie jej dopieć. Jedynie hipochondria i nerwica nęka ją – i nas wszystkich za jej pośrednictwem – niezmiennie od lat, ale jest to nerwica w granicach normy, można się przyzwyczaić, rzekłbym nawet jako domorośli diagnosta, że dzięki hipochondrii mama żyje tak długo, lęki i fobie sprawiły, że umierała już tysiąc razy, drobne, lecz liczne dziwactwa nauczyły tolerancji

jej bliskich, a ekspresyjne uzewnętrznianie emocji odciążało jej układ krążenia. Choć może to wszystko zasługa mieszkania na trzecim piętrze bez windy – ilekroć do niej wchodzi, ledwie dy-

szą, matka wyhodowała sobie kondycję przez pół wieku śmigania po schodach i za nic w świecie nie chce nigdy się przenieść.

Innym matki się starzeją i umierają, ich starościom i śmierciom zawdzięczamy wybitne dzieła literackie (Bawolek, Bieńczyk, Wicha, Marcinów) – nie zazdroścę, człowiek nigdy do takiej żałoby nie dojrzeje, nigdy jej nie odczyni ani nie przepracuje. Dobrze, że łamiące serca śmierci matek nie łamią piór, ale sam wolę nie ryzykować – kiedy odejdzie, mogę nie mieć sił, by o niej napisać. Dlatego czynię to teraz, za życia, kiedy się wszystkie zaległe okazje zbiegły na pohybel zdolności i świętujemy razem w kwietniu Dzień Babci, Dzień Matki, imieniny, urodziny i wszystko to, cośmy odkładali od jesieni. Uwaga, mama kichnęła raz i drugi, „Oj, to może być śmierć moja, tak się zaczyna od kataru...”, i już śpieszymy z tłumaczeniem, że to pewnie od kurzu albo pyłków, albo zwykłe przeziębienie, a Antoś mówi z przekonaniem: „Babciu, nie bój się, ty już nigdy nie umarniesz, twoja śmierć umarła ze starości”.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Człowiek jest łatwym celem

Tygrysy bengalskie coraz częściej polują na ludzi

Paweł Drąg

Tygrysy bengalskie wędrują po rozległych lasach namorzynowych w najbardziej wysuniętej na wschód części indyjskiego Sundarbanu. Ich dawne tereny łowieckie zniknęły już w delfie utworzonej przy ujściu trzech rzek do Zatoki Bengalskiej. Koty wybierają życie blisko osad ludzkich i zwierząt gospodarskich, bo to dla nich źródło pokarmu. Z kolei człowiek przenosi się coraz dalej w głąb puszczy, w poszukiwaniu terenów nadających się do uprawy. To potęguje problemy. Tygrys jest bowiem zwierzęciem wykazującym wysoką agresję terytorialną. Nawet mała populacja potrzebuje do codziennego funkcjonowania ogromnych obszarów. Rozbudowa osadnictwa zabiera tygrysom miejsce do życia.

Przebieg tragedii jest zazwyczaj podobny. Mizanur, Ratan i Abu Musa z wioski Koikhali łowili kraby. Z połowu do domu wrócił tylko ostatni. Mężczyźni zostali zaatakowani przez tygrysa, który dwóch z nich poważnie ranił i wciągnął do dżungli. Paresh Mondol również wybrał się na poszukiwanie krabów. Tygrys wskoczył do jego łodzi i zabił go. Babu Raptan wyruszył na ryby z kilkoma kompanami. Połów został przerwany przez tygrysa, który zaatakował jednego z rybaków. Babu próbował uratować towarzysza, ale przytłoczył go. Bohaterski czyn własnym życiem. Kilka lat temu mężczyzna przeniósł się do Bombaju, jednak w ubiegłym roku lockdown zmusił miliony takich ludzi jak on do powrotu w rodzinne strony.

Region Sundarban obejmuje największe na świecie lasy namorzynowe o powierzchni ok. 10 tys. km kw., położone na granicy Bangladeszu, w delfie Gangesu, przy ujściach Gangesu, Brahmaputry i Meghny do Zatoki Bengalskiej. Możliwości zarabiania są tu skromne. Większość osad ludzkich nie ma dostępu do bieżącej wody, elektryczności ani innych udogodnień. Mieszkańcy zajmują się



Sundarban to jedna z ostatnich enklaw dzikiej przyrody na świecie.

łowiectwem lub zbierają miód dzikich pszczoł, ale z roku na rok jest go coraz mniej. Zmiany klimatyczne wpływają na proces zapylania. Rolnicy są więc zmuszeni do łapania krabów w głównych obszarach rezerwatu tygrysów. – Nie tylko wielokrotnie ostrzegaliśmy rybaków, aby nie wchodzili na ten teren, ale i nałożyliśmy na nich grzywny, a nawet tymczasowo zajęliśmy ich łodzie za wpływanie tam bez pozwolenia. Mimo to wciąż wielu naraża się na niebezpieczeństwo – mówi Tapas Das, dyrektor rezerwatu.

Tygrys bengalski jest po syberyjskim największym z obecnie żyjących tygrysów i jednym z najgroźniejszych

drapieżników. Potrafi upolować stworzenie o wiele większe i cięższe od siebie. I w przeciwieństwie do gatunku z Syberii nie ogranicza się do polowań na zwierzynę. Przyczyny częstych ataków na ludzi specjaliści dopatrują się m.in. w pitej przez zwierzęta wodzie, której wysokie zasolenie ma prowadzić do zaburzeń psychicznych. Uważa się też, że tygrysy zasmakowały w ludzkim mięsie. Gdy w 2007 r. cyklon Sidr spustoszył Bangladesz, po kataklizmie do delty spłynęły setki zwłok. Kolejnym argumentem jest ograniczona liczba innych potencjalnych ofiar. Człowiek to łatwy cel. Nie biega i nie pływa na tyle szybko, by uciec. A tygrysy zazwyczaj atakują od tyłu, dlatego rybacy i zbieracze miodu z Sundarbanu zakładają maski z wizerunkiem twarzy z tyłu głowy. Koty na widok oczu ponoć rezygnują z polowania. Innym sposobem na zniechęcenie

tygrysów do ataku na tamtejsze wioski był montaż prostych ogrodzeń elektrycznych. Ale zdawało to egzamin jedynie na początku.

Kobiety, których mężowie zginęli w wyniku ataku tygrysów, są nazywane tygrysimi wdowami. Mówi się, że zaatakowana osoba wywołała gniew Bonbibi, lokalnego bóstwa, opiekuńczego ducha lasu. Wierzą w niego hindusi i muzułmanie. Islam wprawdzie zabrania oddawania czci bożkom, jednak w tym regionie religia przybiera koloryt lokalny. Bonbibi ma swoje świątynie w lesie, czyli miejscu świętym. Puszcza daje życie i je odbiera, więc to w niej najbardziej potrzebna jest łaska opatrności. Tym bardziej że czaić się tam może Dakshin Rai, demon lasu i władca Sundarbanu, który potrafi się wcielić w tygrysa. Wdowy są czasami określane jako *swami-khego*, te, które jedzą własnych mężów. W konsekwencji kobiety nie tylko są skazane na samotne życie, ale i stają się ofiarami ostracyzmu. W dodatku prawo Bengalu Zachodniego im nie pomaga. Ubezpieczenie na życie ma zastosowanie wyłącznie na regulowanych obszarach połowów w strefach buforowych, a nie na głównych obszarach Parku Narodowego Sundarban i rezerwatu tygrysów. W praktyce rzadko otrzymują odszkodowanie, gdyż wszelkie działania kłusownicze opłacają się właśnie na tych najniebezpieczniejszych terenach. W strefach buforowych potrzebna jest licencja, na którą większość rybaków nie stać.

Kobiety, których mężowie zginęli w wyniku ataku tygrysów, są nazywane tygrysimi wdowami.

Od marca 2020 r. w atakach tygrysów zginęło 20 rybaków, dwóch więcej niż w 2019 r. Nikt jednak nie wierzy w oficjalne dane. Rzeczywista liczba jest najprawdopodobniej o wiele większa. Ale w starciach między ludźmi a tygrysami pokrzywdzonymi nie są zawsze ci pierwsi. W 2020 r. urzędnicy Departamentu Leśnego w Sundarbanie oświadczyli, że w ostatnich 20 latach zginęło 38 tygrysów. Spośród nich 10 zostało zabitych przez kłusowników, a 14 zlinchowanych

przez tłum, gdy wtargnęły do ludzkich siedzib. Mimo to w maju 2020 r. przedstawiciel Departamentu Leśnictwa Państwowego poinformował, że liczba tygrysów w rezerwacie zwiększyła się z 88 do 96. Departament ustalił to na podstawie

Nawet mała populacja tygrysów potrzebuje do codziennego funkcjonowania ogromnych obszarów.

spisu prowadzonego od listopada 2019 r. do stycznia 2020 r. Te dane również są kwestionowane. Uważa się, że tygrysów jest mniej.

Indyjska część Sundarbanu składa się ze 102 wysp, z których 54 są zamieszkałe przez 4 mln osób. To statystyka, która gwałtownie się zmienia. Dziesiątki tysięcy ludzi już straciło domy. Każdego roku ok. 160 tys. mieszkańców 43 wiosek na wyspie Sagar staje przed coraz trudniejszymi wyzwaniami w walce z podnoszącym się poziomem wód. Pięć lat temu przyptyw pokonał wysokie, błotniste wały po wschodniej stronie wyspy, niszcząc wiele domów i uniemożliwiając użytkowanie gruntów rolnych z powodu dużego zasolenia.

Przez wieki Sundarban był tworzony przez przyptywy. Wyspy w naturalnym rytmie znikwały pod wodą i ponownie się pojawiały. Jednak w ciągu ostatnich kilku dekad wahania stały się bardziej nieprzewidywalne, a tempo erozji uznano za jedno z najwyższych na świecie. Mieszkańcy nie poddają się, próbując dostosować rytm życia do nowej rzeczywistości. Na wyspie Ghoramara utracono niemal połowę powierzchni lądu. Tyśiące ludzi musiało się przesiedlić. Część została, bo nie stać ich na to, by porzucić cały dobytek i zaczynać wszystko od nowa. Co jednak zrobić, gdy zasolenie gleby uniemożliwi uprawę? Do długiej listy problemów trzeba dopisać również zagrożenie cyklonami. Po Sidrze zaatakował cyklon Aila, który w 2009 r. pozostawił milion osób bez dachu nad głową. W 2019 r. regionem wstrząsnął Fani, a rok później Amphan – najsilniejszy w zarejestrowanej historii Zatoki Bengalskiej.

Sundarban to jedna z ostatnich enklaw dzikiej przyrody na świecie. Drzewa mangrowe zatrzymują kilka razy więcej dwutlenku węgla niż te rosnące w lasach deszczowych. Ganges spływa tu aż z Himalajów, łącząc się z innymi świętymi rzekami Indii.

Po rezerwacie można się poruszać tylko drogą wodną. Na horyzoncie rysuje się już jednak zagrożenie ze strony cywilizacji. Bliskość Kalkuty powoduje stały napływ turystów. Region staje się też polem pod kolejne inwestycje. Łodzie są zastępowane promami, a polne drogi asfaltem. 14 km na północ od lasów namorzynowych budowana jest 1320-megawatowa elektrownia węglowa, największa w kraju. Istnieje poważne zagrożenie, że zmieni krytyczny bilans wodny, zanieczyszczając otaczającą wodę i powietrze. Rząd Bangladeszu zapewnia, że będzie importował wysokiej jakości węgiel. W trakcie budowy mają zostać wykorzystane najnowocześniejsze technologie, aby zminimalizować wpływ na Sundarban. W latach 2013 i 2016 przeciwko pomysłowi budowy elektrowni protestowało ponad 20 tys. ludzi. UNESCO określiło Sundarban jako miejsce „światowego dziedzictwa w zagrożeniu”. Nie przekonało to rządu do rezygnacji z projektu. Machina jest już nie do zatrzymania.

FAKTY PO MITACH



O dwóch takich co żądają krwi

Nowy numer już w kioskach!

Z futbolową kadrą leci pilot, ale...

Bez zachwytów po debiucie
Paula Sousey

Adam Godlewski, Maciej Polkowski

Reprezentacja Polski po zamianie Jerzego Brzęczka na Paula Souse na trenerskiej ławce nie zaczęła grać jak z nut. Portugalski selekcjoner po trzech marcowych spotkaniach eliminacji mistrzostw świata, w których do zdobycia było dziewięć punktów, może się pochwalić jedynie czterema. Stracił zatem więcej, niż zdobył. Po pierwszej turze kwalifikacji daje to biało-czerwonym dopiero czwartą lokatę w grupie I. Na dodatek Wojciech Szczęsny, nominowany na golkipera nr 1 w naszej drużynie, przepuścił aż pięć goli. Czyli dokładnie tyle, ile obaj nasi bramkarze dali sobie wbić w 10 meczach kwalifikacji Euro 2020.

Kosztowne błędy

Trudno zatem rozłożony na trzy akty debiut Sousey uznać za udany. Na takie wyniki, jakie nasi piłkarze osiągnęli z Węgrami (remis 3:3), Andorą (wygrana 3:0) i Anglią (porażka 1:2), mogliśmy liczyć także bez zmiany selekcjonera. Rezultaty w żaden sposób nie usprawiedliwiają roszady na stanowisku trenera reprezentacji przeprowadzonej w styczniu – na wariackich papierach – przez prezesa PZPN Zbigniewa Bońka. Dodajmy, roszady kosztownej, bo do końca czerwca pensję (160 tys. zł miesięcznie) będzie pobierał Brzęczek. Współpracownicy byłego selekcjonera – jeśli byli na umowach o pracę – również pozostają jeszcze w okresach wypowiedzenia. Czyli na utrzymaniu związku. A następnie Brzęczka trzeba słono płacić. Portugalski selekcjoner pobiera ponad 320 tys., jego zagraniczny sześciuosobowy sztab niemal 370 tys. zł. Nasza federacja jest bogata, ale 1 mln zł w skali miesiąca to i dla niej znaczący wydatek.

Na domiar złego są to nakłady na przyspieszoną naukę, prezes Boniek zapominał bowiem dodać do sztabu jednego czy nawet dwóch polskich asystentów, których obecność mogłaby spowodować, że Sousa nie musiałby wyważać otwartych drzwi. Gołym okiem widać było podczas marcowych meczów, że dopiero poznaje zawodników. W efekcie przed spotkaniem w Budapeszcie najwyraźniej „pomylił” Kamila Glika, najlepszego od lat polskiego stopera, niezastąpionego w obronie, z Michałem Helikiem. Ocknął się dopiero po godzinie, gdy było już 2:0 dla Madziarów, po ewidentnych błędach naszego bloku defensywnego. Zresztą w żadnym meczu nie udało się Portugalczykowi trafić w wyjściowy skład. Wspomniany Helik zagrał bardzo słabo z Węgrami, ale to nie zniechęciło selekcjonera do wystawienia obrońcy Barnsley przeciw Anglii. Efekt? To po jego interwencji sędzia podyktował rzut karny dla gospodarzy,

Podczas marcowych meczów widać było, że Paulo Sousa dopiero poznaje polskich zawodników.



piłkarz nie dotrwał także na boisku do końcowego gwizdka. Z kolei Bartosz Bereszyński nie wie zapewne, czy u Portugalczyka jest prawym stoperem, czy raczej prawym wahadłowym. Ani w którym kierunku będzie ewoluowała jego pozycja na kolejnym zgrupowaniu. Kamil Józwiak prezentował najwyższą formę w polskiej ekipie w tej trymeczowej sesji, ale w Budapeszcie i Londynie ubierał – w sumie – raptem 70 minut. Zasadne jest zatem pytanie, czy piłkarza znajdującego się w największym gazie należy obśadczać w roli dzokera.

Błędów i niedociągnięć należało oczywiście się spodziewać, biorąc pod uwagę, że szef PZPN wrzucił Souzê do pracy z polską kadrą w zwiariowanym trybie, ale czy aż tylu? Trudno przecieć pominąć brak Tomasza Kędziory w reprezentacji, na skutek czego Bereszyński pozostawał bez wartościowego zmiennika, czy wystawienie Sebastiana Szymańskiego na lewym wahadle, czyli w sektorze, w którym nie miał prawa sobie poradzić. Albo zastanawiający – i raczej przedwcześnie – debiut Kacpra Kozłowskiego na nominalnej pozycji Szymańskiego, w środku pomocy. Nastoletni piłkarz Pogoni niewątpliwie jest utalentowany, ale dziś to zawodnik jeszcze nieprzygotowany do rywalizacji na międzynarodowym poziomie. W 2021 r. tylko dwukrotnie zmieścił się w wyjściowym składzie Pogoni Szczecin w meczach ligowych. A marcowy termin wyznaczony przez FIFA był zupełnie niewłaściwy do zbierania doświadczeń przez młodzieżowców, którzy są melodią przyszłości wykraczającej poza czerwcowe finały mistrzostw Europy. Zdaje się jednak, że PZPN asekurował się zagranicą PR, że niby jest nowy selekcjoner i od razu wyszukał tak młodego zawodnika. Tyle że nawiązywanie w porównaniach (jeśli chodzi o talent i umiejętności) do Włodzimierza Lubańskiego było kompletnie nie na miejscu. Umówmy się, że obecnie Kozłowski mógłby za legendarnym napastnikiem Górnika Zabrze nosić sprzęt.

Piątka zadebiutowała

Do reprezentacji po dłuższej przerwie wrócił zbierający ostatnio dobre noty w Hellas Verona Paweł

Dawidowicz. Do tej pory zagrał w kadrze raz, 17 listopada 2015 r., w towarzyskim meczu z Czechami we Wrocławiu (3:1). Nowy selekcjoner dał mu 30 minut w spotkaniu z Andorą. Po raz pierwszy powołanie do seniorskiej reprezentacji Polski otrzymali natomiast wspomniany już Helik (Barnsley FC), Kamil Piątkowski (Raków Częstochowa), Rafał Augustyniak (Urał Jekaterynburg), Sebastian Kowalczyk i Kacper Kozłowski (obaj Pogoń Szczecin), Bartosz Slisz (Legia Warszawa) oraz Karol Świderski (PAOK FC). Pięciu z nich zaliczyło debiuty.

Z Węgrami obrońca Helik zagrał od 1. do 58. minuty (zastąpiony przez Glika). 25-letni wychowanek chorzowskiego Ruchu w 2017 r. trafił do Cracovii, a od 9 września 2020 r. gra w klubie z zaplecza angielskiej ekstraklasy. Co ciekawe, nie wystąpił

W chwili debiutu miał 17 lat i 166 dni. Jeśli chodzi o występy w reprezentacji, to młodszym nowicjuszem był jedynie Włodzimierz Lubański, który, mając 16 lat i 188 dni, zagrał w Szczecinie 4 września 1963 r. przeciwko Norwegii (9:0) i zdobył jedną bramkę. A wracając do Kacpra, to zgodnie z prawem oficjalnie nie wiadomo, kto jest jego menedżerem. Notka na stronie Transfermarkt: doradca niepublikowany – zawodnik niepełnoletni.

Karol Świderski w 63. minucie wymieniał Lewandowskiego w starciu z andorskim kopciuszkiem. Potrzebował 25 minut, aby strzałem z kilku metrów podwyższyć wygraną na 3:0. Ten 24-letni napastnik od 18 lipca 2014 r. bronił barw białostockiej Jagiellonii, ale od 20 stycznia 2019 r. zarabia na życie w Salonikach. Świderski: – Od kiedy tylko zacznę się

Następcom Brzęczka trzeba słono płacić. Paulo Sousa pobiera ponad 320 tys., a jego zagraniczny sześciuosobowy sztab niemal 370 tys. zł.

w żadnej młodzieżowej reprezentacji Polski. Można zatem powiedzieć: debiut podwyższonego ryzyka, co potwierdził Paulo Sousa. – Ponieważ ryzyko to element naszej pracy, więc podjęliśmy decyzję o występie stopera ze względu na jego wzrost, bo spodziewaliśmy się wielu bezpośrednich, górnych podań rywali i główkowych pojedynków – wyjaśniał. – Helik jest nowym zawodnikiem, musi śmieiej brać udział w budowaniu akcji, grał zbyt bezpiecznie, nie chciał za dużo ryzykować.

Z Andorą po raz pierwszy w narodowym zespole zagrał Kamil Piątkowski. Od razu 90 minut. Środkowy obrońca skończy 21 lat 21 czerwca. Formalnie jest już zawodnikiem Red Bull Salzburg, ale sezon kończy w Rakowie Częstochowa. Sousa: – Zdecydowałem, żeby Piątkowski zagrał w pierwszym składzie, razem z Glikiem, ponieważ jedną z jego umiejętności jest prędkość, zdolność zmian pozycji i bardzo dobre podania.

Kacper Kozłowski przebywał na boisku w meczu z Andorą od 73. minuty, zmienił Piotra Zielińskiego. Utalentowany pomocnik urodził się 16 października 2003 r. w Koszalinie.

grać w piłkę, marzy się, by wystąpić w reprezentacji i w pierwszym meczu strzelić gola. Cieszę się, że nadszedł w końcu ten moment. Dostałem szansę w drużynie narodowej, zdobyłem bramkę i to zostanie ze mną do końca życia.

Z Anglikami podobnego zaszczytu doczekał się defensywny pomocnik Rafał Augustyniak. W 76. minucie zastąpił Krzysztofa Piątka. W latach 2011-2019 upodobał sobie rolę Jasia Wędrzniczka, bo aż 12 razy (łącznie z licznymi wypożyczeniami) zmieniał barwy klubowe. Dopiero za 13. razem ustatkował się, a być może nawet zawiął do portu docelowego – od 1 lipca 2019 r. jest graczem Urału Jekaterynburg. Reprezentacyjny debiut w wieku 27 lat z reguły bywa sporym zaskoczeniem, ale warto przypomnieć, że znany był zawodnik Henryk Kasperczak w chwili debiutu także miał 27 lat, a zdołał rozegrać w reprezentacji 61 spotkań.

W Polsce mamy inny klimat

Paulo Sousa przyszedł do pracy z naszym zespołem – co trzeba mu oddać – z gotowym pomysłem na ▶



Za mecz z Węgrami Arkadiusz Reca zebrał fatalne recenzje.

► grę. Tyle że takim do zastosowania od zaraz raczej na Półwyspie Iberyjskim niż pod naszą szerokością geograficzną. Chciałby bowiem grać finezyjną i ofensywną piłkę, a przy tym w każdym spotkaniu zdominować rywala. Przełożenie tej pięknej filozofii na drużynę w marcu pozostało w teorii. Być może było za mało czasu, żeby zespół przyswoił i wdrożył wytyczne; nie można jednak wykluczyć, że generalnie może mieć problem ze zrozumieniem oraz realizacją takiej strategii. Hiszpanie i Portugalczycy mają odpowiednią technikę i mentalność, aby grać w opisany sposób. Ba, wręcz mają to zakodowane w DNA. W Polsce mamy inny klimat, inną dietę, inne przyzwyczajenia, również te piłkarskie. I zupełnie inną kulturę gry. Dodatkowo prezes PZPN, marnując czas od listopadowego końca Ligi Narodów do zaskakującej wymiany selekcjonera dopiero w połowie stycznia, nie dał szansy Portugalczycowi nawet na szczegółowe przegadanie niuansów nowej taktyki z zawodnikami. Dlatego wydaje się, że w marcu – choć nie dysponował czasem właściwie na nic – Sousa chciał w zbyt ambitny sposób modernizować reprezentację Polski.

Być może nauczy drużynę tworzoną wokół Roberta Lewandowskiego, najlepszego piłkarza świata roku 2020 w plebiscycie FIFA, takiego futbolu, ale już wiemy, że nie

stanie się to błyskawicznie. Choć logika podpowiada, że nasze środkowoeuropejskie piłkarskie DNA jest inne. Przecież tak naprawdę tylko raz w ponadstuletniej historii mieliśmy generację, tę najlepszą – w czasach Kazimierza Górskiego – potrafiącą zdominować niemal każdego przeciwnika na świecie. Dzięki temu wywalczyła złoto i srebro na igrzyskach olimpijskich, a także brąz na mistrzostwach świata. Już jednak drużyna

Prezes Boniek zapomniał dodać do sztabu Sousy jednego czy dwóch polskich asystentów, żeby nowy selekcjoner nie musiał wywazać otwartych drzwi.

Antoniiego Piechniczka, która w turnieju España '82 również zdobyła miejsce na najniższym stopniu podium, doszła tak wysoko zupełnie inną drogą. Podstawą były solidna defensywa i zabójcze, perfekcyjnie wyprowadzane kontrataki. Piechniczek, widząc, jaki potencjał techniczny ma do dyspozycji, nie siłił się na zdominowanie lepiej wyszkolonych rywali. Można powiedzieć, że czuł nasz zespół, podczas gdy Sousa (jeszcze?) nie.

Dlatego tym bardziej dziwi, że Boniek nie ułatwił startu Portugalczycowi, dodając mu do sztabu polskich trenerów (złośliwi twierdzą, że jako niespełniony szkoleniowiec sobie zarezerwował udzielanie podpowiedzi).

I to w sytuacji, gdy właściwego wzorca postępowania z zagranicznym selekcjonerem nie brakuje nawet w dość świeżej historii PZPN. Przecież Leo Beenhakker przyszedł do pracy ze swoimi asystentami, ale nie pogardził Bogusławem Kaczmarem, Dariuszem Dziekanowskim czy Adamem Nawąką. I źle na tym nie wyszedł. Dzięki temu nie musiał się bawić w ciuciubabkę, podczas gdy Sousa wiele ruchów wykonuje po omacku. A przynajmniej można było odnieść wrażenie, że co prawda w samolocie z polską kadrą leci pilot, ale nie dość, że przejął stery dopiero w trakcie lotu, to wcześniej był kapitanem na tupolewie, a przyszło mu kierować embraerem. I niby ma pojęcie o dowodzeniu załogą, tylko procedury są odmienne od tych, które poznawał na symulatorze lotu.

Nadal wielka niewiadoma

W efekcie na razie zamiast reprezentacji mamy plac budowy. Niestety, roboty się opóźniły i nadal majstrowie umacniają fundamenty, choć wedle harmonogramu powinni już myśleć o zamontowaniu dachu. Sousa nie ma sensu czynić zarzutu o wystawienie Lewandowskiego w meczu przeciw Andorze, z którą powinniśmy sobie poradzić i bez najlepszego gracza świata. Można

natomiast się zastanawiać, czy Portugalczyk nie jest wyjątkowym pechowcem, skoro w starciu z takim outsiderem praktycznie bezawaryjny w ostatnich latach Robert doznał najcięższej od lat kontuzji.

Czego zatem mogą się spodziewać kibice? Pewne jest wyłącznie to, że niezależnie od wyniku na przesuniętym na ten rok Euro 2020 jesienią nadal selekcjonerem będzie Paulo Sousa, którego nowy prezes PZPN odziedziczy w spadku po Bonku. Natomiast gra naszej drużyny narodowej pozostaje jedną wielką niewiadomą.

*Adam Godlewski,
Maciej Polkowski*

Valdštejnská 8

Od roku Polska nie ma w Pradze ambasadora. Pisiśmy już, kto nim może zostać, jaka miernota, może więc parę słów o tym, jak to wcześniej z obasadą placówki w Czechach bywało.

Po aksamitnej rewolucji, przed wyborami do Parlamentu Federalnego Czechosłowacji, wiosną 1990 r. przy al. Szucha minister spraw zagranicznych, prof. Krzysztof Skubiszewski, też zastanawiał się nad kandydatami na nowego ambasadora. Pierwszym był absolwent UW Andrzej Jagodziński, dziennikarz, tłumacz literatury czeskiej i słowackiej, aktywny w Solidarności Polsko-Czechosłowackiej, organizator i tłumacz spotkań opozycji na Śnieżce. Znający wszystkich opozycjonistów po drugiej stronie, od Havla poczynając. Skubiszewski był za! Dopóki kandydata nie zobaczył na własne oczy... Postawnego, brodatego i z włosami do pasa, których nie chciał ściąć. Tego dla ministra było za dużo.

I ambasadorem w latach 1990-1995 został też bohemista, profesor UJ Jacek Baluch (zmarł w 2019 r.), z bardzo podobnymi zaletami jak poprzedni rozpatrywany, ale wyglądający bardziej „konserwatywnie”. Jagodziński z kolei został korespondentem „Gazety Wyborczej” w Czechosłowacji, a w drugiej połowie lat 90. dyrektorem Instytutu Polskiego w Pradze.

Jackowi Baluchowi udało się zgromadzić bardzo ciekawy zespół. Jednym z jego członków był Jan Tombiński. Przyszedł ambasador RP w Lublanie, Paryżu i przy UE, potem ambasador UE w Kijowie i Watykanie. Przez cztery lata w Pradze awansował z II sekretarza na radcę ministra. Zazdrosny kolega twierdził, że awansuje, bo w liceum siedział w jednej ławce z Janem Rokitą, który w pierwszej połowie lat 90. był takim „Jankiem wszystko mogę Rokitą”. Panowie Rokita i Tombiński znali się

z Krakowa, z działalności w NZS, a Rokita bywał w ambasadzie częstym gościem.

Inną bardzo ciekawą osobą był kolejny bohemista, tłumacz, m.in. Hrabala, Jan Stachowski, który był prasowcem. Zmarł kilka miesięcy temu. Czeski Janka był taki, że kopary czeskim dziennikarzom opadały. Do budvaru, becherovki czy białego wina z południowych Moraw.

Jacek Baluch miał telefony do domu i do pracy (komórek jeszcze nie było) do wszystkich. I prezydenta Havla, i ministra spraw zagranicznych Dienstbiera, i ministra kultury Tigrida. Havel był regularnym gościem w naszej ambasadzie na przyjęciach z okazji 3 Maja, ku zazdrości innych ambasadorów oraz irytacji protokołu dyplomatycznego MSZ Czech, który musiał im się tłumaczyć, dlaczego prezydent nie bywa na ich przyjęciach.

A teraz dwa zdania o Czechach. Jesienią odbędą się tam wybory. Bardzo możliwe, że po nich premierem nie będzie już Andrej Babiš. To jeden z najbogatszych Czechów (choć Słowak), raczej niechętny Polsce. Z prozaicznej przyczyny – jego holdingowi Agrofert bardzo zagraża eksport żywności z Polski.

Najbardziej prawdopodobnym zwycięzcą wyborów będzie Partia Piratów. To tacy zieloni wolnościowcy, z uwzględnieniem internetu, feminizmu, równouprawnienia i wszystkiego, czego nasza władza nie kocha. Przewodniczącym Piratów jest Ivan Bartoš. Ma dredy do połowy pleców. I świetnie się dogaduje z Andrzejem Jagodzińskim. Tyle że Andrzej nie chce być głównym lokatorem pałacu przy Valdštejnskiej 8, siedziby ambasady RP w Pradze. Również ze względu na podobne do Ivana poglądy.

Attaché



Kiedy chasydzi przybyli na kazimierski cmentarz Remuh, ten okazał się zamknięty. Część przeszła przez ogrodzenie, mniej sprawni modlili się na ulicy. Kraków, 6 kwietnia.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pół ponumerowanych od 1 do 24 utworzą końcowe hasło.

- wydzielony fragment tekstu
- nie masz go nad warszawiaka
- można mieć do informacji niejawnych
- marzyciel, utopista
- wytwarzana przez świecę zapłonową
- imię Mazepy
- wieloosobowe siedzisko kolejki krzeselkowej
- kick-boxing łączy z nim elementy boksu
- ze Śnieżką i Wielkim Szyszakiem
- coś spletanego, zwiniętego w kształcie kuli
- sportowy to Szaranowicz lub Szpakowski
- Grizabella, Bombalurina albo Jemima
- miasto z Muzeum Bitwy nad Bzurą
- białym obsypana czeremcha
- nazwa tej gry od portugalskiej kolonii w Chinach
- ochroniacz dla pracującego na klęczkach
- kazuar, kiwi lub emu
- miejsce sporządzenia aktu poświadczenia dziedziczenia
- z umieszczonymi z boku literami alfabetu to skrowidz
- skrawane skórki warzyw lub owoców
- oglądane w pinakotece
- bambosz, kapeć
- trudna do wytopienia roślina
- odgromnik
- Polomski lub Mec
- borowik szlachetny
- i zmyślony powód, i sposobność
- pierwowzór postaci lub maszyny
- ogrodowa cała w kwiatkach
- kolarz Roman Siemiński był nim w okupowanej Warszawie
- pomieszczenie na basenie i w zakładzie mięsnym
- ...kapilarna
- Donatello lub Dunikowski
- kostką albo monetą
- jego uczniem był Platon
- o biciu się jeden na jednego
- młode lisa, wilka
- półprodukt do wyrobu papieru
- kraj z Parkiem Narodowym Kilimandżaro
- ojczulek
- z niego gorące kromki
- śluszość oceny, adekwatność
- ...wody – skutek obecności w niej kationów magnezu i wapnia
- różnie zabarwiony i zdrapywany w sgrafitto
- zbrzydła Brytyjczykom
- ognisko na Podhalu
- Salto Angel lub Yosemite
- „...do Yeti” Szyborskiej
- upór i konsekwencja w dążeniu do celu
- ...Narodowy im. Ossolińskich

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1008”. Do rozlosowania książki „Elżbieta i Essex. Historia tragiczna” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 18 kwietnia 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1005” z nr. 13: *Zły dobrego nie pochwali.*

Nagrody otrzymują: Jadwiga Ciechanowicz z Dąbrowy Górniczej, Alicja Kuźniar z Łańcuta, Barbara Paradowska z Poznania.

PENETRACJE

IFORUM **DIDIER QUELOZ,**
ASTRONOM SZWAJCAR-
SKI, LAUREAT NOBLA

Pierwsze miliardy lat na Czerwonej Planecie wyglądały dość podobnie jak na Ziemi. Mamy nadzieję, że życie pojawiło się na Marsie tak samo jak na Ziemi, a gdy zrozumiemy, jak do tego doszło, będziemy także mogli przewidzieć wpływ, jaki życie wywiera na planetę. Jestem przekonany, że znajdziemy życie. Nie mogę uwierzyć, że jesteśmy jedynymi wytworami chemii, jedyną formą życia w całym wszechświecie. Jest zbyt wiele gwiazd, planet i galaktyk, żebyśmy mogli być sami.

DOGMATU **EWA DĄBROWSKA-SZULC,**
PRZEWODNICZĄCA STOWA-
RZYSZENIA PRO FEMINA

Po ćwierćwieczu życia jako uliczna feministka znałam większość osób uczestniczących w demonstracjach, pikietach, blokadach, marszach. W kilkuminutowej wypowiedzi m.in. wspominałam, że mieszkanki kraju nad Wisłą w latach 1956-1989 mogły bezpiecznie i bezpłatnie przerwać niechcianą ciążę w państwowych szpitalach. Kilka dni później na seminarium naukowym podeszła do mnie młoda kobieta, pracownica instytutu historycznego, i spytała: „Czy to prawda, że aborcja była legalna za komunę?”. Zdumiona była niezmiernie, gdy potwierdziłam. Ona nigdy

o tym nie słyszała. Była żywym dowodem skutecznego wymazania ze zbiorowej świadomości prawa kobiet do samostanowienia, dostępnego przez 33 lata.

PISTYL **JAN ENGLERT,**
DYREKTOR TEATRU
NARODOWEGO

Nie ukrywam, że jestem zbudowany przez kobiety. Mało tego, uważam, że kobiety to lepszy gatunek człowieka. Mężczyzna jest w gruncie rzeczy wyciosany z kawałka drewna, czasem powstaje z tego jakaś rzeźba, czasem nie. Kobiety są dużo ciekawsze. Światopogląd, sposób traktowania przeciwnika zawdzięczałam kobietom, szczególnie tym bliskim, które były dla mnie ważne.

zwierciadło **LIDIA POPIEL,**
FOTOGRAFKA

Myślę, że ludzie zdali sobie sprawę, że szli schematami i układali sobie życie według tego, co inni mówią, że trzeba robić. Może to było łatwiejsze, a może wygodniejsze. Wreszcie zrozumieliśmy, jak wiele osób ma wpływ na nasze życie, jakie niewidzialne siły nami kierują, i zadaliśmy sobie pytanie: czy nasze wybory są rzeczywiście nasze? Myślę, że nie wszyscy chcą „wrócić do normalności”, bo ta nasza normalność miała bardzo dużo wad. To, co możemy teraz zrobić, to walczyć o lepszą normalność.



Zniszczony katowicki mural z wizerunkiem Krystyny Bochenek, dziennikarki, senatorki, tragicznie zmarłej w Smoleńsku.

Aby język giętki...

ADAM MICHNIK O ATEIZMIE

Nie umiałbym powiedzieć, że jestem ateistą. Ja wierzę w tajemnicę. Nie wiem do końca, jak to jest z istnieniem Boga.

JERZY URBAN O SWOICH ZASTĘPCACH

Obaj moi zastępcy robiący „Nie” wywodzą się z „Gazety Wyborczej”.

LECH WAŁĘSA O ŻONIE DANUCIE

Poszła trochę za daleko. Nie mówię, że nie ma racji, ale ta prawda powinna siedzieć w rodzinnym sosie.

KATARZYNA DOWBOR O LOJALNOŚCI

Gdyby mnie nie wyrzucili z publicznej telewizji, tobym nie poszła na casting do Polsatu.

AGATA KULESZA O EKIPIE FILMOWEJ

Nie toleruję jednego – komórek na planie. Przerwę ujęcie, jeśli zobaczę, że ktoś siedzi w telefonie.

JERZY STUHR O SYNU MACIEJU

Uderzyłem go tylko raz, ale w sposób okrutny. W środę powiedziałem, że będzie bitý w sobotę, i musiał z tą świadomością przetrwać dwa dni.

HANNA BAKUŁA O AGNIESZCE OSIECKIEJ

Bywała głęboko zakochana i zawsze potrafiła się z tego śmiać.

MAREK PIWOWSKI O ABSURDACH

PRL nie miała monopolu na absurd i współczesna Polska także pełna jest absurdów, które aż się przelewają.

O. LEON KNABIT O TRUDNOŚCIACH

Są zawsze. Ale trzeba być głupim, żeby być pesymistą.

MONIKA BRODKA O ZAPALE

Póki mam ten zapal, to będę pracować tak, jakby jutro miało nie być, żeby zapisać się jakoś w tym leksykonie polskiej muzyki.

ANDRZEJ DEPKO O SEKSIE

Może być pozytywną sferą napędową do osiągnięcia sukcesów w innych obszarach życia.

ANNA STARMACH O CÓRCIE JAGNIE

Lubi gotować, ale nie przepada za jedzeniem. Jest pierwszą osobą, która grymasi, gdy ja gotuję.

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Muszę lecieć, szwagier szłocha

Zdarza ci się potrzebować wymówki, by urwać się z nudnej videokonferencji? Z pomocą przychodzi Zoom Escaper. Jak tłumaczy jego twórca, narzędzie to pozwala na „samodzielne sabotowanie rozmowy, sprawiając, że Twoja obecność jest nie do zniesienia dla innych”. Imituje dźwięki nagłego problemu, takiego jak męski płacz, hałaśliwe prace budowlane czy zła jakość połączenia internetowego; ich natężenie można regulować specjalnymi suwakami. Wymyśliłiśmy nazwę dla tej nowej kategorii oprogramowania: edytory pretekstów.

Helweci równają krok

Szwajcarska armia zdecydowała, że jej wyposażenie wzbogaci się o damską bieliznę – do tej pory żołnierzom wydawano męską. Marianne Binder, członkini niższej izby parlamentu, pochwaliła decyzję i wyraziła nadzieję, że będzie ona dla kobiet dodatkowym argumentem, by zaciągnąć się do wojska. Z kolei rzecznik sił zbrojnych Kaj-Gunnar Sievert poinformował, że rozważane są zmiany w innych elementach wyposażenia, takich jak odzież bojowa, kamizelki kuloodporne i plecaki. O równouprawnienie w przydziale granatów, jak rozumiemy, zadbano już wcześniej.

Amnestia na 102

W Czechach od 30 stycznia do 31 lipca osoby, które nielegalnie posiadają broń lub amunicję, mogą bez żadnych konsekwencji przekazać ją najbliższej jednostce policji.

MEMY BEZ ŚCIEMY



Piąta już odsłona akcji amnestyjnej skłoniła jednego z obywateli do pozostawienia na komisariacie w mieście Hradec Králové czotgu i działa samobieżnego. Może gdyby u nas zorganizować podobną kampanię, odnalazłby się wreszcie ORP „Orzeł”?

Kuchnia pełna niespodzianek

Główną bohaterką nowego programu kulinarnego, emitowanego na Discovery+, będzie marihuana. Widzowie „Chopped 420”, stanowiącego wariację na temat popularnego „Chopped”, ponownie zobaczą, jak kucharze rywalizują o nagrody pieniężne, szykując dania z wyznaczonych składników. Twórcy programu dodają jednak, że będzie to „pierwszy raz w historii, kiedy szefowie kuchni będą używali konopi do ulepszania swoich potraw”. 10 tys. dol. otrzyma tylko zwycięzca, za to wszyscy uczestnicy mają zagwarantowany uśmiech na twarzach jurorów.

Będzie garować

Mariaż narkotyków oraz gotowania nie zawsze jednak daje dobre efekty, o czym świadczy przypadek byłego członka kalabryjskiej mafii. 53-letni Marc Feren Claude Biart ukrywał się w Dominikanie, skąd prowadził kanał na YouTube, na którym uczył przygotowywania dań kuchni włoskiej. Choć nie pokazywał twarzy, na filmach instruktażowych widoczne były jego charakterystyczne tatuaże. Policja połączyła kropki i zatrzymała mafiosa, mającego na sumieniu handel kokainą w Holandii. Chyba może już się gotować do odsiadki.





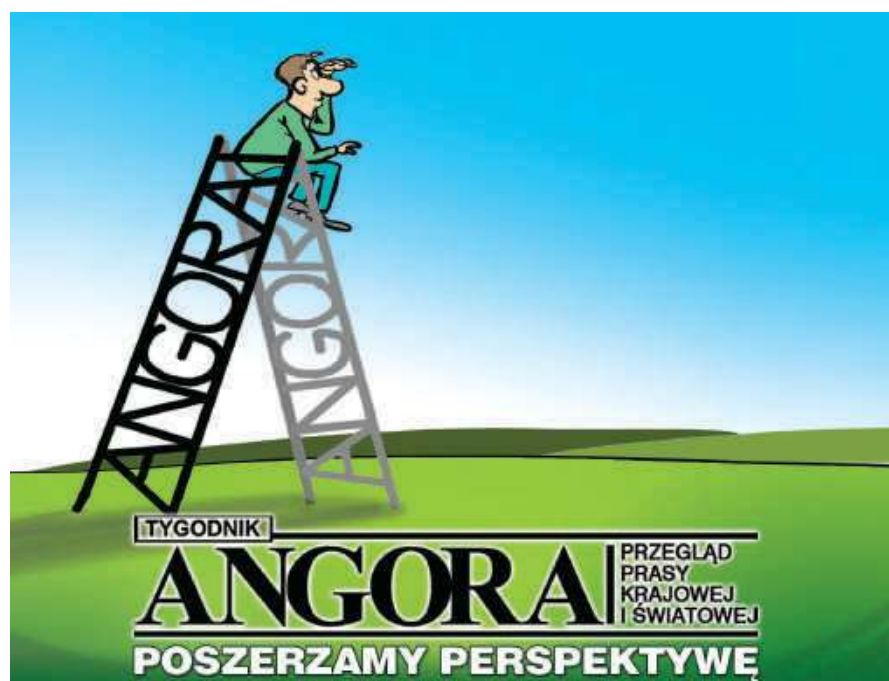
Drogi dzikich zwierząt i ludzi zbyt często się przecinają – słonia na przedmieściach lankijskiego Kolombo i żyrafa w kenijskim rezerwacie Kimana.

Apetyt czyni zatrzymanego

Poczet nieroztropnych smakoszy uzupełniają albański włamywacz działający w Niemczech i 30-letni złodziej sklepowy grasujący w Lublinie. Pierwszy podczas rabowania mieszkania w 2012 r. ugryzł kawalek kiełbasy, zostawiając ślad genetyczny, który po dziewięciu latach pozwolił zidentyfikować go jako sprawcę (na jego szczęście sprawa uległa przedawnieniu). Drugi, napędzany dwoma promilami alkoholu w organizmie, ukradł 43 tabliczki czekolady. Mężczyzna nie doszacował wartości łupu, w związku z czym zamiast otrzymać mandat za wykroczenie, usłyszy zarzut kradzieży, a że był już karany, grozi mu nawet siedem i pół roku odsiadki. Obaj gagatkowo ewidentnie zapomnieli o kryminalnej wersji siódmego przykazania, która brzmi: nie kradnij na czczo.

Łże-cyklista

Sekretarz transportu w administracji Joego Bidena, Pete Buttigieg, został przyłapany na udawaniu, że jeździ do pracy rowerem. Ktoś nagrał, jak wraz z agentami Secret Service przyjeżdża SUV-em, wyjmując z niego jednośląd i pokonuje nim odległość z parkingu do budynku resortu. Sprawa budzi wiele emocji, ponieważ polityk, będący zwolennikiem m.in. nowego podatku transportowego, jest uważany za jedną z twarzy zapowiadanej proekologicznej polityki nowej administracji USA. Czyżby ta twarz miała dwie twarze?



FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA, ANONIMOWY INTERNauta, POLSKA ORKA POLITYCZNA, LAKRUWAN WANNIARACHCI/AFP/EAST NEWS, THOMAS MUKOYA/REUTERS/FORUM



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeгляд@tygodnikprzeгляд.pl

www.tygodnikprzeгляд.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeгляд.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeгляд.pl
Zastępca redaktora naczelnego: Robert Walenciak
e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeгляд.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeгляд.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeгляд.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna
(Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Adam Godlewski, Beata Iglińska, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Maibork), Paula Leśniewska,
Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski,
Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Piłkuła, Maciej Polkowski,
Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-
Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumilowicz,
Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,
Elżbieta Wojtalik-Soroczynska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,
Edward Mikołajczyk, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Władcki,
Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbielka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska,
Karina Krystosiak, Rafał Pynzar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeгляд.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeгляд.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeгляд.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeгляд.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeгляд.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtusza 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

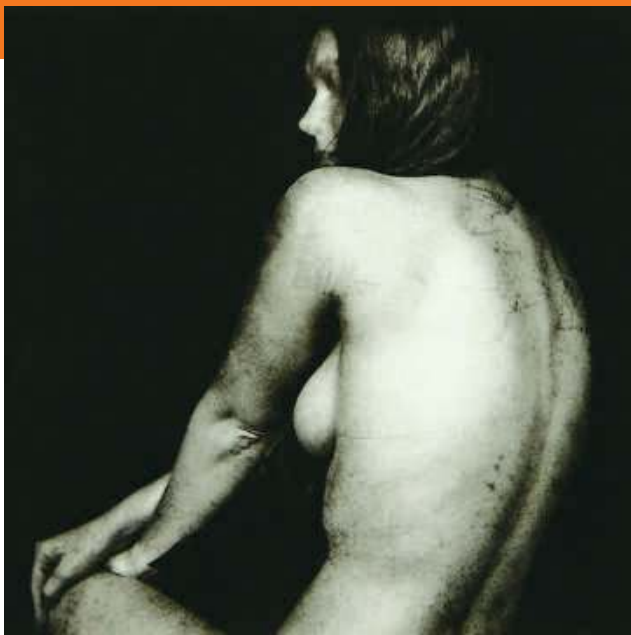
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Międzynarodowe Biennale Miniatury



Olga Szewczuk



Marzena Palka



Sylwia Perczak



Anna Kaleta



Victor Lipkin

Formuła 11. Międzynarodowego Biennale Miniatury w Częstochowie zakłada prezentowanie prac z ostatnich dwóch lat, nie nakładając ograniczeń co do kierunków artystycznych, tematyki ani technik wykonania. Miniatura to wyjątkowa, samodzielna forma – artyści potrafią w niepozornym formacie 10 x 10 cm zamknąć całe światy, budując kompozycje pełne emocji i fascynujących historii. Niejednokrotnie miniatury przyćmiewają głębią realizację wielkoformatowe, zadziwiają jakością wykonania i precyzją szczegółu. I nagrodę przyznano Annie Szumigaj-Badziak, II nagrodę otrzymał Jakub Zdejszy, III nagrodę *ex aequo* Łukasz Chmielewski i Marcin Szymielewicz.

Nowohuckie Centrum Kultury w Krakowie
al. Jana Pawła II 232
do 20 kwietnia

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Oksana Budna

AURORA FILMS POLECA

Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej „Kultura Europejska”

AURORA

w roli głównej AGNIESZKA GROCHOWSKA

MOJA CUDOWNA WANDA

POKAZ SPECJALNY 14 KWIETNIA



ZŁOTY NIEDŹWIEDŹ 70. MFF w Berlinie

ZŁO NIE ISTNIEJE

POKAZ SPECJALNY 15 KWIETNIA



ekranizacja powieści HERMANA HESSEGO

NARCYZ I ZŁOTOUSTY

POKAZ SPECJALNY 17 KWIETNIA



reżyseria GABRIELE MUCCINO
(„W pogoni za szczęściem”, „Siedem dusz”)

NAJLEPSZE LATA

POKAZ SPECJALNY 18 KWIETNIA



w rolach głównych ÉRICA RIVAS („Dzikie historie”)
NAHUEL PÉREZ BISCAYART („120 uderzeń serca”)
CECILIA ROTH („Anioł”)

INTRUZ

POKAZ SPECJALNY 20 KWIETNIA



KINO ONLINE w TWOIM DOMU na platformie wirtualnych kin

[MOJEOKINO.PL](https://mojekino.pl)

Z MOJEOKINO.PL wspierasz kina


stowarzyszenie
kin
studyjnych



FUNDACJA
DAJEMY
DZIECIOM
SIŁĘ

MAJ 05 1991

**Dzieci wykorzystywane
seksualnie są bezsilne,
pomagamy im od 30 lat.**

**Przekaż 1%
i daj dzieciom siłę!**

KRS 0000 20 44 26

REC ●

FDDS.pl